



<http://rcin.org.pl>







P.T. 659



# NIEZAPOMINAJKI.

Rok szósty.

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.*

*Nakładem Wydawcy.*




Drawn by J. E. Collins R.A.

Engraved by H. T. Syll.

*Thersina*  
(mułose i zenaista artysty)







**NEZAPOMINAJKI.**

**NOWOROCZNIK**

NA ROK

**1844**

WYDANY

przez

**Karola Korwella.**

Ozdobiony pięciami rycinami i drzeworytami.



**WARSZAWA.**

W Drukarni S. Strąbskiego.



~~P.I. 108~~

P.I. 659

**Korekta Wydawcy**



## NIEZAPOMINAJKI.

### WSPOMNIENIE

#### Z PODRÓŻY DO GASTEJNU.



O, te skarby, te obrazy,  
I natury i swobody:  
Chwytaj, pókiś jeszcze młody,  
Póki w sercu jeszcze rano!  
Bo nie wrócą ci dwa razy,  
A schwycone pozostaną . . . .  
W. P.

Sto lat upływa, jak uzdrawiające wody Gastejnu zwabiać zaczęły do siebie znaczną liczbę okolicznych mieszkańców. Wody te znane już w starożytności, z powodu cudownych swych skutków, uważane były podówczas za coś świętego, i zwracały uwagę osób poświęcających się cierpiaczej

ludzkości. Doświadczony w późniejszym czasie pomyślny ich wpływ na zdrowie, sprowadzał do Gastejnu mnóstwo osób z rozmaitych stron i części świata. Ale nie sama tylko potrzeba leczenia się, była do tego powodem. — Zachwycające położenie Gastejnu i jego okolic, ściągały tu ciekawych, pragnących widzieć i podziwiać cuda natury.

Nic wprawdzie tak nieusposabia i nie wznosi uczuć człowieka, jak wspaniałe widoki przyrodzenia, lecz aby je skreślić z całą mocą, trzeba myśli młodej, swobodnej, trzeba nakoniec wyłącznie temu celowi podróż swoją poświęcić — a celem mojej podróży, niestety! nie była ciekawość: szukałem w wodach Gastejnu poprawy zwałtonego zdrowia.

Już nie jedno pismo głosi pochwały Gastejnu; doświadczenie przekonywa, że jego wody najskuteczniej działają na choroby uporczywe, a te dzisiaj są najczęstszymi; — może więc i ten lekki obraz jaki tu przedstawię, zachęci kogo do głębszego zastanowienia się nad tą stroną, zadziwiającą pięknoscią widoków natury, i błogosławioną z posiadania źródła, leczącego cierpienia ludzkie.

Gastejn leży w Cesarstwie Austryackim, o 13 mil od Salzburga, z którym też najbliższe ma stosunki. Droga z Salzburga do Gastejnu, wiodąc pomiędzy górami i skałami, rozmaitych, dziwnych kształtów, zajmuje do tyła umysł podróżnego, iż



prawie wdzięczny jest nieznośnej jeździe austriackiej, która daje dosyć czasu do przypatrzenia się tym prześlicznym obrazom. Zbliżając się do Gastejnu, kraj coraz staje się górzystszym i droga trudniejszą. Gastejn położony w dolinie, otoczony jest górami Alpejskimi i skałami zasutymi wiecznym śniegiem, a góry w chmurach pogrążone, nadają temu miejscu widok tak dziki i ponury, że w pierwszej chwili przerażeniem podróznego przenika.

Gastejn leży na 3,226 stóp nad powierzchnią morza. Powietrze na tej Alpejskiej wyżynie czyste i świeże, podnosi i wzmacnia działalność życia, i wielki wpływ wywiera na zdrowie mieszkańców. Tak powietrze jako i woda zwyczajna, która tam spada z gór przez granity, przezroczysta jak kryształ i nadzwyczaj zimna, przyczyniają się wielce do zdrowia, wiadomo bowiem, że sam ojciec medycyny Hipokrates uznawał i wysoko cenił działanie na zdrowie ludzkie, powietrza, wody i miejsca, w rozmaitych chorobach.

Nie więcej jak 20 domów, w tej liczbie: dom rządowy na pomieszkanie dla Doktora i Władzy Policynnej, szpital, kościół murowany z plebanią i szkołka elementarna, do głównych liczą się zabudowań Gastejnu; dzisiaj coraz więcej nowych i wygodnych przybywa. Środkiem Gastejnu leci kaskada z gór od topniejących śniegów i wpada do

rzeki, bawi to wzrok, lecz nieznośném jest dla ucha. Z gór otaczających Gastejn, rozmaitemi źródłami wytryskują ciepłe uzdrawiające wody różlicznej temperatury, od 27 do 38 stopni. Woda ta nie ma żadnego zapachu ani smaku, zupełnie jest przezroczystą jak najczyściejszy brylant, i dlatego w starożytności uważano te wody za coś cudownego, bo dotąd nie wytłumaczono jeszcze dokładnie ich zadziwiającego, leczącego działania. Kąpiele Gastejnu, z powodu dzikości ich położenia, przewano dzikimi, *Wildbad-Gastejn*.

Równie jak sam Gastejn, tak i okolice nader są malownicze; skały i góry w rozmaitych kierunkach, osypane śniegiem, wznoszą się aż pod obłoki. Ciekawi podróżni zwiedzają te góry na osłach, których umyślnie w tym celu mieszkańcy utrzymują, małe nawet dziecko zna drogę i służy za przewodnika. Wsi dokoła Gastejnu leżą w znacznej nad tém miasteczkiem wysokości; góry pokryte są domami włościańskimi i budynkami gospodarskimi, prawie po sam wierzchołek.

Czarujący wśród tych gór jest zachód słońca przy pięknej pogodzie; drzewa ponure, spokojne, ocienia pomroka, najmniejszym szelestem nie przerywają one ciszy natury. Pasterze przyzwyczajonym hasłem zwołują pasące się po górach trzody, które jakby rozumiejąc mowę ludzką, na to hasło się zbierają. Spracowani wieśniacy całodziennym tru-

dem wracają do domów, najpierwszą tam myślą ich jest złożyć dzięki Najwyższemu, za szczęśliwe dnia ukończenie. Przed każdym domem wystawiony jest obraz świętego patrona, lub wyobrazenie męki Zbawiciela. Ojciec rodziny złożywszy narzędzia rolnicze za powrotem z pracy, kęka przed obrazem, otoczony rodziną i zanosi dziękczynne modły do Boga, a za nim wszyscy głośno je powtarzają. Echo gór, odbija ostatnie słowa starca i powtarza ciężkie i głębokie jego westchnienie.

Mieszkańcy Gastejnu i okolic są sami włościanie, każdy z nich umie czytać i pisać, trudnią się gospodarstwem i rolnictwem, dziś zjazd wielu osób na kuracją nastreczył im nowy rodzaj spekulacji; we wszystkich prawie domach są kąpiele dla chorych, woda sprowadza się z gór rurami drewnianymi. Twarze mieszkańców są bardzo brzydkie, osobliwie kobiet, rzadko można zobaczyć, chociażby cokolwiek przystojną; kobiety, szczególnie zbliżając się ku starości, dostają szpetnej nabrzmiałości gardła czyli woli.

Lud tameczny jest poczciwy i rozsądny; rozrzewnia jego pobożność. Prawda, że sama natura tak wspaniała i majestatyczna, musi koniecznie podnosić myśl do Stwórcy tych cudów, umysł się korzy, człowiek otoczony wielkością dzieł Boga, jego tylko samego widzi przed sobą. Zapomina, że jest świat ziemski, że są inne uczucia oprócz miło-

ści Boga, zdaje się stawać przed trybunałem Najwyższego Sędziego, i poznając swoją nicość, czołem bije przed wielkością jego.

Ze szczególną przykładnością dochowują tam zwyczaje naddziadów, najmniejsze odstępianie od takowych, wzgardą powszechną jest karane. Bywał wydarzenia, że rodzice szczęście dzieci swych poświęcali, aby tylko od wieków przyjętemu zwyczajowi zadosyć się stało: podobny tego przykład niżej opowiem.

Jakkolwiek wszystkie wsi otaczające Gastejn, mają szczególny powab, najpiękniejszą jednak jest wieś Beksztejn. Pasma okiem niezmiernych gór i skał śniegiem pokrytych, ciągnie się dokoła, tam też leżą góry z których wydobywają złoto, a nieco dalej ołów. Jestto prawdziwa dolina Niemieckiego życia, z długą ulicą, długimi domami, zamieszkałymi po większej części przez górników. Na wzgórzu przy drodze stoi kościół, od rana do nocy napelniony pobożnym ludem. Ze wszystkich jednak zabudowań uderzył wzrok mój dom niegdyś, jak mogłem się domyślać, do zamożnej rodziny należący, dziś opuszczony, ogrody zarosłe chwastem, wszędzie ślady zniszczenia. Oprowadzający mię po tych okolicach, sługa kościelny, jako najdawniejszy świadek wszystkiego, spostrzegłszy, że się pilnie nad tem zastanawiam, oświadczył, iż zaspokoi moję ciekawość, opowiedzeniem smutnego wypadku, który



stał się przyczyną zniszczenia i nieszczęścia cnotliwej rodziny.

W kilka dni potem gdy przybyłem do tego samego miejsca, przewodnik mój w następujący sposób opowiadać zaczął:

„Jak oto Pan widzisz tę piękną wieś naszą, nie było w niej przed laty piękniejszego i okazalszego domu, nad dom pana Kremera. Pan i pani Kremer byli to sobie poczciwi koloniści, odznaczający się pobożnością i ścisłym zachowywaniem zwyczajów swych przodków. Żyli jak poczciwi Niemcy, pilnowali gospodarstwa i w każdą Niedzielę chodzili do Fary w Gastejnie; latem zaś przygotowywali czyste izdebki na mieszkania, dla przybywających na kuracyą gości — ma się rozumieć dla żonatyh, albowiem posiadali oni — piętnastoletnią Maryą, wysmukłą jak topol, rumianną jak brzoskwinia.

Dawno już bardzo temu, kiedy Pan Kremer wydalil się był z domu, dla jakiegoś interessu handlowego, przybył do wsi naszej młody cudzoziemiec, który ukończywszy kąpiele w Gastejnie, potrzebował jeszcze parę miesięcy przemieszkać w górach, dla wzmocnienia się świeżem powietrzem Alpejskiem. Upodobał on dom Kremerów i zaraz poszedł ułożyć się o najęcie w nim mieszkania. — Niezawsze i u nas sprzyja pogoda leczeniu, ztąd też mała liczba bywa gości; tak się i wtedy zdarzyło, państwo Kremer nie mieli już nadziei wy-

najęcia swoich pomieszczeń, gdy więc niespodziany traf sprowadził cudzoziemca, pani Kremer zapomniawszy ostrożności przez męża zachowywanej, skwapliwie je wynajęła nieznanemu. Za powrotem pan Kremer mocno strofował żonę, jednak grzeczność dla gościa niepozwalala cofnąć zawartej umowy.

Kto był ów cudzoziemiec, niewiedzieliśmy, podobał się on bardzo wszystkim, nazywaliśmy go tylko po imieniu pan Ferdynand, był bardzo skromny i grzeczny, lubił namiętne kwiaty, i zaraz po przeniesieniu się, całe swoje mieszkanie i podwórze niemi przyozdobił. Najulubieńszém jego zatrudnieniem była przechadzka po górach i pielęgnowanie kwiatów, — a Marya jego sąsiadka, lubiąc także kwiaty, z przyjemnością przypatrywała się ich piękności.

Maryi nie lubiły towarzyszki, w jój wdziękach znajdowały dużo do zarzucenia. Niepodobał się im kolor włosów Maryi, — a obwinały ją o nieskromność, że ledwo licząc lat piętnaście, pozwalala już sobie bez pytania zaglądać na grzędę kwiatów Ferdynanda.

Kiedy doszły do uszu Maryi pokątne poszepty towarzyszek, na przekorę przypatrywać się zaczęła i samemu Ferdynandowi. W słoniannym kapeluszu, w kurtce, zawsze przy swoich kwiatach, dobry dla wszystkich, skromny, milczący Ferdynand podobał

się Maryi; postanowiła więc, iż choć się zarumieni, ale przemówi do niego, i każdego poranka i wieczorem przyjdzie bawić się z jego kwiatami. Bawiła się, śmiała, żartowała jak dziecię; lecz Ferdynand na wszystkie te żarty, na wszystkie pytania dziewczicy, odpowiadał jak nieprzytomny.

— „Czyś zdrów P. Ferdynandzie?” zapytywała dziewczica.

Ferdynand skinął głową.

— „A ja słyszałam od ojca, żeś Pan niezdrow.”

Ferdynand znowu kiwnął głową.

Zdarzało się, iż widziano ją po całych godzinach mówiącą do Ferdynanda, a on stał w milczeniu wzrok tylko w nią utkwivszy.

Z dwumiesięcznej ich znajomości, jeden dzień wypadł dla niej szczęśliwy — był to dzień 15 września.

— „Dzisiaj czekałem ciebie niecierpliwie Panno Maryo,” przemówił Ferdynand po raz pierwszy. „Czy zdrowi są twoi rodzice” dodał, i upuścił z rąk fajkę.

Marya zadrżała, potem spuściła oczy, potem tak coś ścisnęło za serce biedną dziewczynę, że westchnęła — i znowu spojrziała na Ferdynanda. „Pan Ferdynand czekał na mnie?” rzekła, „czegóżby miał na mnie czekać?” i złąła się rozbiierając znaczenie téj myśli, i stała nieporuszona, nieśmiejąc spojrzeć na niego. Ale jakże była ładną w tém

wstydliwém pomięszaniu, z powodu niespodzianych słów milczącego zawsze Ferdynanda, jak śliczna była w czarnej chusteczce na głowie, w krótkiej jubce ściągającej na sznurek, około bielutkiej szyjki.

Ferdynand milczał — zachwycał się pięknnością i wstydliwością Maryi, — westchnął. Marya jeszcze się bardziej strwożyła: wlepiła czarujące oczy w Ferdynanda, a on nie mógł od niej swoich odwrócić. Marya westchnęła.

— „Czy to prawda Panno Maryo, co mnie mówiono, iż wyszły zapowiedzi twoje z Panem Szrekiem?”

— „Tak.... Dla czegoż to się Pan dziwisz?”

— „Dla czego? Panno Maryo! zawołał Ferdynand, i zamilkł.

— „Ja będę tak jak i dawniej przychodziła bawić się widokiem twoich ślicznych kwiatów, Panie Ferdynandzie.”

— „Otóżto że już niebędziesz!..” powtarzał Ferdynand.

— „Dla czegoż niebędę? ja tak przywykłam do Pana, ja Pana tak...kocham....”

Ferdynand na zapytanie Maryi: Dla czegoż? chciał ję wszystko wytłumaczyć, wszystko.... lecz po ostatnim wyrazie: ja Pana kocham, porwał ją w pół i namiętnie pocałował.



Pan Kremer, Pani Kremer, narzeczonny Pan Szrek stali w oknie.

— „Co to znaczy? zawołał Kremer, Ferdynand moje córkę całuje?”

— „Co to jest! krzyknęła Pani Kremer?

— „Panie Ferdynandzie!” wołał ojciec.

— „Maryo!” powtarzała matka.

Ferdynand ani się ruszał z miejsca, niewypuszczając z objęcia Maryi, i dawniej obojętny, teraz namiętnie ścisnął biedną dziewczynę, dawniej milczący, teraz wymowny był językiem namiętności, teraz, kiedy Marya należeć miała do kogo innego. „Maryo! przyrzeknij być moją na zawsze, na zawsze moją, droga Maryo!” i ścisnął ją z zapalem.

Lecz ona słyszała głos matki, lecz ona widziała w oknie rozgniewanego ojca i Pana Szreka. Zarumieniona od pierwszego pocałunku mężczyzny, szybko wbiegła do izby.

Boże! co za okropne spotkanie! Szrek zimno pokłonił się Państwu Kremer i wyszedł, matka się odwróciła, ojciec zatrzasnął drzwiami przed wchodzącą Maryą.

— „Cóżem uczyniła? idąc za niemi powtarzała biedna dziewczyna, co ja uczyniłam? Ferdynandzie! Ferdynandzie! dla czegoś ty mię ścisnął, dla czegoś mię całował! Jabym przychodziła do ogródka

z P. Szrekiem, wówczas byłabym szczęśliwa, a teraz, o niegodziwy Ferdynandzie!... i Marya zalała się łzami.

---

Gdy się to działo w Beksztejnie i towarzyszki Maryi ucieszyły się z jej nieszczęścia, a odgłos tego wypadku z ust do ust przechodził: na drugim końcu wsi naszój, w małym domku pokrytym dachówką, przytrafiła się scena innego zupełnie rodzaju. W domu tym, dawniej tak cichym i spokojnym, zaszło teraz coś okropnego. Słychać było hałas, krzyk, i kiedy niekiedy pokazywały się w oknach dwie głowy, jedna w peruce, druga w czépku. Był to P. Szrek i jego gospodyni Pani Kryps.

P. Szrek właściciel tego domu, burmistrz i narzeczony Maryi, człowiek najlepszego charakteru, był jednym z najsprawiedliwszych ludzi. Zajęty urzędowaniem, wszystkie sprawy domowe zdał na gospodynię. „Grzéchem jest, mawiał zawsze, i wstydem wtrącać się do spraw kobiecych, a nawet i czasu na te fraszki niema, gdy służba wymaga całej uwagi, całej akuratności.”—I dlatego życie jego upływało spokojnie. Każdego dnia jedno i toż samo; w godzinie przepisanej wstawał, kładł się, palił fajkę, jadł śniadanie i obiad, pił kufel piwa, zajmował się czynnościami urzędowymi, przechadzał się, odpoczywał,

słowem gdyby w Niedzielę niechodził do kościoła na mszę św., toby i nie wiedział kiedy bywa sobota a kiedy poniedziałek. Dni, godziny, minuty; śniadanie, obiad, fajka, piwo i on sam, wszystko było pod opieką i rozkazami gospodyni.

Lecz spokojne, ciche życie Burmistrza, zakłócone zostało z powodu zaręczyn z Maryą. Od tego najuroczystsze dnia w życiu jego, wszystko inny wzięło obrót, sam niepojmował, jak dotąd nie spostrzegł samowolności i złośliwości Pani Kryps, — on, który od lat tyłu czuwał nad spokojnością i dobremi obyczajami w Beksztejnie, przed którym nie są skryte nietylko uczynki, ale i myśli poczciwych kolonistów. — „To nienapróżno, to coś znaczyć musi”, mawiał, przysłuchując się gderaniu i złości gospodyni. Gdy zaś widział, iż Pani Kryps, gniewie, rwie i rzuca, co tylko wpadnie pod ręce, iż gotowa jest z nim samym rozpocząć wojnę, Bóg wie za co i po co? to najsprawiedliwszy burmistrz tak się zamyślił, iż zapomniał godziny obiadu, śniadania, zamiast okularów kładł czépek na głowę, a obawiając się wyjść z domu, posłał po proboszcza, chcąc się z nim w tej mierze naradzić.

Pani Kryps tryumfowała z jego kłopotów, korzystając ze swojej władzy, mawiała: „Zapłacisz mi to dobrze, stary oszuście! Otóż kiedy namyślił się żenić, na stare swe lata!”

Pani Kryps, była to Niemka już podstarzała. Okrągłych lat 30 przeżyła u samego burmistrza, przywykła do niego, do jego nałogów i chęci, oswoiła się z t $\acute{e}$ m życiem kawalerskim, z ka $\acute{z}$ dym kątem w pokojach; o $\acute{w}$ ładnęła samym burmistrem, i do takiego stopnia przyuczyła go do spokojnego, niekłopotliwego życia, do posłuszeństwa dla siebie, iż niewidział możliwości wybicia się kiedy z pod jej opieki, i myślał i jadł i pił za j $\acute{e}$ y tylko natchnieniem i pozwoleniem.

Pani Kryps umiała korzystać ze swego stanowiska, z tego uszanowania jakie j $\acute{e}$ y okazywał; a że on będąc burmistrem, urząd zaszczytny w kolonii, posiadał miłość i szacunek mieszkańców, tedy i ona miała znaczenie, przewagę w ich gronie; słowem, z paciorkami i pończoszką w r $\acute{e}$ ku, dokazała tego, iż ją nieinacz $\acute{e}$ j nazywano jak Panią Szrek.

Ale oto plany j $\acute{e}$ y zniweczyły się zapowiedziami małżeństwa Szreka z Maryą. — „Co mówić będą o mnie, co się stanie ze mną, mawiała ciągle, a jak się to ziści wówczas choć do kościoła niecho $\acute{d}$ zić,” — tak rozmyślając poszła do burmistrza, chcąc mu cały żal swój wynurzyć. Ale widząc, iż go niewzruszają ani łzy, ani wyrzuty, ani skargi, udała się do pogrózek. W t $\acute{e}$ j wła $\acute{s}$ nie chwili weszli do mieszkania Szreka: ksiądz Proboszcz i Ferdynand, i zatrzymali się zdumieni tym obrazem domowej kł $\acute{o$ t $\acute{n}$ i.



Ferdynand śmiał się z radości, słysząc burmistrza, który przytuliwszy się w kącie, zapewniał Panią Kryps, że się nieożeni z Panną Maryą. Usłyszał na samym wstępie to, po co przychodził, co chciał wymódz na nim, co postanowił choćby z życiem mu wydrzeć. Na te słowa wyrzeczone przez Szreka gotów był rzucić się w objęcia jego i ucałować.

Uszczęśliwiony Szrek przybyciem proboszcza, „ach! jesteś tu najszanowniejszy ojcze,” zawołał, „bądźże moim pojednawcą. Oświadczam, iż się zrzekam od-tąd ręki Panny Maryi, a za całą opiekę, wszystkie trudy Pani Kryps, ofiaruję jej moje nazwisko, mój majątek, mój... pisz księżu proboszczu!”

— „Ale, pozwól Panie burmistrzu,” rzekł proboszcz, „zapomniałeś, iż zrzekając się ręki Maryi, przyniesiesz hańbę pannie i znieważysz jej rodziców, wszakże wiesz, że zostawując tę rzecz bez należytego wytłómaczenia się, podług tutejszych obyczajów, przypiszą to niekorzystnie na stronę panny.”

Szrek w zadumieniu spoglądał, to na Ferdynanda, to na proboszcza.

— „Cóż mam czynić?” zapytał.

— „Wytłómaczyć się przed jej rodzicami i usprawiedliwić...”

— „O ja usprawiedliwię... przerwał w uniesieniu burmistrz, bez żadnej wątpliwości usprawiedliwię, i to natychmiast, natychmiast, powtarzał. Bądź-

cie zdrowi księżu proboszczu, do widzenia Panie Ferdynandzie.

— „Gdzież to, gdzie? krzyčeli biegnąc za nim Proboszcz i Ferdynand. Lecz burmistrz niezwracając na nich uwagi, pędził przez ulicę Beksztejnu w szlafroku i szlafmicy, z największém zgorzeniem całej kolonii.

Ferdynand wracając od Szreka, uszczęśliwiony iż tak łatwo otrzymał od burmistrza rzeczenie się ręki téj, za którą był gotów poświęcić życie i wszystko w świecie. O wkrótce, wkrótce! wołał, Maryo, przycisnę cię do mojego serca, ażeby już więcéj nigdy się nierozstawać, moja droga! Ty jeszcze nie znasz twego szczęścia, Maryo! Ty będziesz tak szczęśliwa, jak jeszcze nie była żadna z twoich towarzyszek. Ja będę miał o tobie najczulsze staranie, ty mój najśliczniejszy kwiecie, ty moja nieoceniona rózo, ty moja *viola mirabilis!* Każdy ranek, każdy wieczór napawałem się aromatycznym jej zapachem, ale wówczas nieznalem jeszcze twego pocałunku Maryo!

Upojony temi marzeniami wpadł do domu Kremiera, rzucił się do drzwi i pierwszą co spostrzegł była jego Marya, smutna, blada. Skłoniwszy głowę, jak przekwitła lilia, zamysłona siedziała w krześle ojcowskim, a nawet nie spojrziała na Ferdynanda.

— „Co się dzieje z tobą, moja Maryo!” z cicha wymówił Ferdynand, skłoniwszy się ku miłej dziewczynie, lecz Marya odwróciła się od niego.

— „Niegodziwy Ferdynandzie! mówiła, dla czegożes mię pocałował? czyliżes zapomniał, iż zaręczonych nie wolno całować!”

— „Lecz już nie jesteś zaręczoną moja najdroższa. Tyś teraz moją, moją Maryo!...”

— „O nie, ja jestem zaręczoną ze Szrekiem, i mnie kazano unikać ciebie.”

— „Unikać mnie... niekochać?....”

— „Ja kocham ciebie, drogi Ferdynandzie, lecz będe cię unikała.”....

„Maryo! Maryo! cóżem ci uczynił, ja nie mogę żyć bez ciebie, ja umrę, a ty chcesz mię unikać, Maryo!”

— „Mnie kazano....”

— „Kto kazał, kto?... wymień mi go, powiedz jego imię! Ale nie, tego nikt niemoże uczynić, nikt nieośmieli się nas rozłączyć, tyś moją naręczoną, tyś moją Maryo! Nie troszcz się o siebie, niełękaj się niczego. Przyniosłem ci właśnie odmówną odpowiedź Szreka.”

— „On odmawia ręki mojej.... Nie... mój miły,” rzekła potrząsając głową, „jeszcze byłam dzieckiem, gdy słyszałam powieść o jednej biednej dziewczynie z naszych okolic. — Była zaręczoną, ale nieszczęśliwą, bo kochała kogo innego, a

narzeczony dowiedziawszy się o tém, wyrzekł się jej. Biedna dziewczyna niemogła już więcej chodzić do kościoła, bo wszystkie towarzyski unikały jej, najgrawały się z niej, i ona... umarła z tęsknoty. O nie! on tego nieuczyni, on zna obyczaje nasze.“

— „Kto ci to mówił, moja miła? I niebo nie-sprzeciwia się niewinnej miłości, a nasza miłość... cóż ona zawiniła ludziom? cóżeśmy im zawinili?“

— „Czemeś Pan zawinił, rzekł Kremer, podchodząc do Ferdynanda, czemeś zawinił Pan? Czyliż i ten ostatni postępek usprawiedliwia cię? Wszedłeś tutaj jako łotr po kosztowną zdobycz, porwałeś serce biednej dziewczyny, odeгнаłeś od niewinności anioła, i zapomniałeś że jest ktoś, co włada tym skarbem, iż jedno tylko małżeństwo daje prawo na miłość, — iż jej anioł stróż będzie twoim oskarżycielem w dzień sądu ostatecznego. I teraz w dodatku wszystkiego, mówił dalej, wymagasz jeszcze, ażeby córka była nieposłuszną ojcu. Myślisz, iż po-tém, czegoś ją nauczył, byłaby jako żona z uszanowaniem i posłuszeństwem dla ciebie? Nigdy! Piękneż zasady wpajasz w tę, którą, jak powiadasz, kochasz niewiuną miłością... Panie! proszę nas opuścić!... A ty moja Maryo, nie wierz mu, zapomnij o nim!... Biedna, biedna, mówił ciągle Kremer, przyciskając ją do łona, nie płacz moje dziecię, nie płacz! I całował dziewczę z zapalem ojca,



któremu chcą porwać skarb najdroższy. Jak złękniąca gołębnica, Marya przytuliła się do niego, i wzruszający był widok ojca, pojedynującego się z córką; cicha pokora dziecięcia, niewinność i dręczący smutek, uspokoiły się na sercu, które biło miłością rodzicielską i wzdardą krzywdzącego.

Ferdynand porównywał siebie z nim. Co za porównanie i w czém? ojciec i kochanek! przywiązanie, tkliwość, miłość dziecinna, — namiętność, uprzedzenie, przywyknięcie i chwilowe zapomnienie się! o! on postanowił rozłączyć się z Maryą, może być nazawsze.

Surowy wzrok ojca przeniknął do jego duszy, serca i myśli: — „Oczekujesz na wybór? chcesz aby ta niewinna istota postanowiła pomiędzy mną i tobą... rzekł starzec, i wlepił surowy wzrok w Ferdynanda.

Wycieńczony myślami, pogiębiony słowami i sprawiedliwym gniewem starca, Ferdynand zatrzymał ogniste spojrzenie na Maryi, tulącój się do ojca i bolesny głos wydarł mu się z piersi: — „Maryo! moja droga Maryo!”

— „Córko moja, rzekł znowu Kremer, oto jest ten, którego tak gorąco, tak namiętnie kochasz, on się urąga mojej starości, mojej siwiznie, on mnie ciężko obraził... Dziecię moje, Maryo! ja nie chcę zniszczyć miłości twojej, głę-

boko czuję boleść, lecz nie podzielę się czystą niewinną, anielską miłością z nim.... on nie wart jest ciebie, i teraz musisz postanowić, albo pozostać przy ojcu, albo wlec gorzkie życie z nim, nieznanym, gdzieś tam daleko odemnie. Wybierz jedno... Od twego wyboru zależy szczęście ojca i kochanka; czy słyszysz Maryo! szczęście ojca!... Rzeknij słowo i przyjmij błogosławieństwo."

Starzec zamilkł — czytał on odpowiedź w zapłakanych oczach córki. Zwolna skłoniła głowę na ramię ojca, i niemógł już wytrzymać jęj niewinnych pieszczot. Z zapalem przycisnął do serca miłą dziewczynę. Ale chwilową była ta spokojność i radość, która błysnęła na czole starca, wszystkie burze uczuć, powstałe w duszy, odbiły się w spojrzeniu, wzrok wlepiony w Ferdynanda wyrażał razem nienawiść, wstręt i wzgardę: — „Tyś! zawołał, tyś, pozbawił córkę moje narzeczonego, dobrego imienia i szacunku w oczach innych!....”

Wziął za rękę Maryą i wyszedł.

Biędny Ferdynand, przygnębiony tém co słyszał, sam nie wiedział jak sobie postąpić. Lecz tonący, jak mówi przysłowie, chwycił się słomki; i w jego głowie błysnęła myśl szczęśliwa — pomoc samego Szreka. Udał się więc natychmiast do burmistrza, lecz u narzeczonego Maryi, Pani Kryps po niespodziewaném przejściu ze smutku do we-

sołości, nie żartem zasłabła, i biedny Ferdynand widząc Szreka zakłopotanego gwałtowną chorobą gospodyni, wyszedł bez nadziei na jego pomoc.

Upłynął tydzień, drugi... Ferdynand tylko dumiał i myślał o Maryi.

Lecz o czémże myślała Marya?

Wytrwała rozłąkę. Oczy jej więcej łzów niewylewały, wypłakała wszystkie; nie wzdychała, boleść jej zataiła się w głębi serca. Względna na ojca, kochana przez niego, obawiała się zasnąć jego zgrzybiałe lata... A tak wiele kosztowało biednej dziewczynie, ukrywać smutek i męczarnie serca! Nie miała już ani jednej istoty na świecie, przed którą mogłaby zwierzyć się ze swoją boleścią i ulżyć przez to sobie. Dawniej były przyjaciółki i towarzyszki, ale wówczas nie miała z czem się im zwierzać, teraz zaś, ciężko było na sercu, lecz na nieszczęście nie miała komu powierzyć swoich uczuć i łez, pocieszać siebie płaczem. Jakże jej było gorzko, gdy widziała dawne towarzyszki, odwracające się od niej, ich szepty pomiędzy sobą gdy wchodziła do kościoła, jak unikały od niej i złośliwie uśmiechały się, i zawsze w czasie nabożeństwa Marya sama jedna stać musiała. Stary Kremer widząc ją opuszczoną przez wszystkich, lękając się dać poznać, że to spostrzeża, pieścił nieszczęśliwą bardziej niż przedtém, lecz pieczyoty te boleśnieszsze dla niej były, niż wzgarda towarzyszek. Z przy-

musem odpowiadała na nie, i troskliwość odpłacała uśmiechem. Niebo i przestępcy przebaczyłoby za podobny uśmiech. — Biedna Marya mogła powiedzieć: patrzcie, w nim cała gorycz łez moich, on jest cięższy od westchnień konającego, i czyliż ja tak bardzo jestem występna, iż mi Niebo przeznaczyło tak okropne męczarnie? Cóżem ja przewiniła?”

— „Biedną dziecię” mawiał nieraz Kremer „o jakże się ona dręczy i ukrywa te męki, nie, ja tego niezniosę! Ferdynandzie! Ferdynandzie! tyś winien wszystkiemu, ty zdasz rachunek przed nieubłagany sędzią. Wówczas i ja stanę się twym oskarżycielem, z krwawemi łzami Maryi!”

Lecz Ferdynand usprawiedliwiał okrucieństwo ojca, sam sobie pozostawiony, tulał się jak obłąkany po ulicach Gastejnu, każdego się radząc, każdemu opowiadając swoje nieszczęście.

Gdyby Ferdynand był sam tylko nieszczęśliwy, o wtenczas łatwoby jemu przenieść męki serca, wszystkie katusze; lecz serdecznie cierpiący on cierpiącym sercem żył nierozdzielnie z Maryą, czuł wszystkie jej boleści i męczarnie. Często mu objawiała się Marya ze łzami w oczach, uśmiechała się do niego — a smętny uśmiech nikł przed groźnym spojrzeniem ojca. Potem dobre dziecię modliło się i modliło się gorąco... długo. Ferdynand wiedział że się modli za niego, i myślał wówczas: módl



się aniele! modlitwa za samego siebie daje nam nie jedną chwilę szczęścia, lecz mało jest wieczności za modlitwę za nas bliznich — za twoją modlitwę niewinna Maryo! Potém widział ją bez uśmiechu i modlitwy, nadzieja już niepanowała w jej sercu. Marya nieuskarżała się, nie zlorzeczyła; w milczeniu poddała się losowi, ale boleśnie było nieszczęśliwój, kiedy ukradkiem spostrzegła łzę wyciśniętą z zapadłych oczów ojca z jej powodu, albo podsluchiwała ciche, mimowolne westchnienie. Pojmowała co może cierpieć serce, kiedy odepchnięta od wszystkich, oddana cierpieniom, nie narzeka, nie skarży się, lękając się rozdrażnić świężą ranę i smutkiem znieważyc siwiznę starca.

Tymczasem Pani Kryps umarła. Szrek mógł więc znowu starać się o rękę Maryi. Tak też i uczynił, wnioskując, iż korzystniój będzie mieć gospodynię w domu, niż żyć samotnie, a do tego jeszcze taką gospodynię, która i własny dom posiada. Nakoniec i Marya uległa łzom ojca, błaganiom matki, i postanowiła poświęcić siebie. Chciała zamężciem ucieszyć ojca, spełnić nadzieję matki — lecz czyż mogła zapomnieć Ferdynanda?

Stary Kremer uszczęśliwiony był z dojścia do skutku małżeństwa córki, i córka niesprzeciwiała się — bo dla czegóżby opierać się miała woli ojca? Czy Szrek, czy ktokolwiek inny, zaprowadziłby ją do ołtarza, dla niej to było wszystko jedno. Matka

uradowała się, że rozerwie i pocieszy starca, który sądził, iż przez małżeństwo, usprawiedliwi córkę, pogodzi ją z ludźmi i światem.

Wkrótce potem Ferdynand ujrzał Maryą przy ołtarzu, i w niemej boleści, bez łez i bez wyrzutów, jak obłąkany poglądał na nią. Była ubrana w białą suknię, a na bukiet z białych róż przypięty u boku, spadały łzy gorące. Błada i smutna, obumarłym wzrokiem patrzyła na narzeczonego.

Stary ojciec oczekiwał dzieci z kościoła, niespokojność malowała się w oczach jego, smętne zadumanie na czole.

Bez czucia przynieśli Maryą do domu, lecz już wymówiła była wieczne słowa przysięgi.

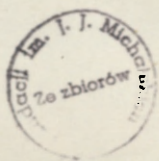
Rozpoczęły się męki biédnego, pozbawionego zmysłów Ferdynanda.

— „On posiada mój skarb najdroższy!” wołał, z życiem wydrę mu ze skostniałego objęcia Maryą. Nie pozwolę się urągać z mąk moich. Ale czyliż on mniej się dręczy odemnie? Ja mogę rzec, iż Marya myśli o mnie i tém się pocieszam. A on cóż odpowie? cóż powie na to? powtarzał ciągle w zapale. Niech się więc prędjéj dowié o prawdzie, gorzką nierozsądną zazdrością zatruje sobie wszystkie chwile życia. Droga Maryo! opowiedz mu o miłości naszej, i tym sposobem ulżyj sercu mojemu! Nieobawiaj się moja luba, zrozumie on, iż dla ojca poświęcił się i nie będzie cię dręczył

pieszczotami. Lecz niech wie o naszej miłości, a ja jak cień będę mu towarzyszył. O niechże się dręczy! i przysłuchuje w nocy twojemu oddechowi, twoim cichym słowom. Tyś wymówiła moje imię! Po tysiąc razy powtarzaj mu o tém moja Maryo, powtarzaj, iż kochasz mię zawsze, tak jak dawniej kochałaś.

Lecz nakoniec uległ cierpieniom i w ciężką wpadł chorobę, a gdy zaczął przychodzić do zdrowia, ważne otrzymane wiadomości, zmusiły go do rychłego odjazdu z Gastejn.

Zdawało się, że tak długo zakłócony w rodzinie Kremerów pokój, wróci nareszcie. Wszystko to obiecywało. Marya nie słyszała już więcej swojego Ferdynanda i myślała że czas wygładzi jego obraz z jęj pamięci, iż ciche małżeńskie pożycie, przyniesie ulgę zbolełemu sercu; — milczała, cierpiała, a milczenie i cierpienie wysuszało serce i przygniatało całym ciężarem duszę pozbawioną nadziei. Mąż niepojmując tajemnicy zgrzytot żony, sam cierpiał, niemogąc ulżyć jęj cierpieniom. Był jej panem, mężem, ale nie był przyjacielem. Nazywając pićrwszą miłość Maryi dziecinnęm obłąkaniem, nigdy nawet nie wspomniał o tém. Postępowanie zimne żony, ostudziło w nim ostatnie przywiązanie



do niej, skargi męża przykre mi były dla niej, na koniec samo życie stało się obojgu nieznośnym.

Tak przeszła zima, tak i zaczynająca się wiosna, gdy nagle zjawienie się Ferdynanda w Gastejnie, obudziło na nowo życie Maryi. Tenże sam co dawniej, namiętny, zawsze rozkochany, gotowy uprzedzać wszelkie chęci Maryi. Ona późno już poznała co utraciła, tracąc Ferdynanda, zaczęła mocno żałować siebie, ale jeszcze więcej jego.

Mogła była zerwać już z nim stosunki od razu, zniewolić go do oddalenia się i zapomnienia o niej, unikać jego spotkania, powodu do rozmowy, to mogła uczynić; lecz mawiała do siebie Marya: cóż on pomyśli o mnie, być może iż oziębłość moją weźmie za udanie, obawę wytłómaczy na swoje korzyść. Lepiej, będę go przyjmowała, pozwolę mówić o miłości, przywyknę do niego, a przywyknienie widzenia go ciągle, słyszenia, osłabi miłość moją, — wówczas pieczyoty męża zamienią namiętne słowa kochanka. Marya jak mówiła, tak też i uczyniła. Nieodmawiała przyjmowania Ferdynanda. Mąż zgola się o to niefrasował, doświadczył już oziębłości żony, lecz wiedział, że ona nigdy nie przyniesie plamy swojemu honorowi, a nawet rad był z gościa, który wybawił go od konieczności ciągłego narzekania. Ferdynand nie opuszczał żadnej sposobności do widywania się z Maryą.



Często znajdowali się sam na sam. Wówczas spominał jój o swojej miłości i Marya odpowiadała mu tklivością, zaufaniem; lecz w niój, nie mówiła już 15-letnia dziewczyna, ale kobiéta, a kobiéta ta myślała wygładzić z serca Ferdynanda obraz dziewczyny! Nie spostrzegła się, iż wpadała w przepaść, którą sama przykryła kwiatami—i była szczęśliwą, niedowierzając swojemu szczęściu. I czegoż więcj mogła oczekiwać? Ferdynand kochał ją z całym zapalem piérwszej miłości, u nóg jej zapomniál, że jest ten, który stanąć może pomiędzy nimi, zażądać życia za zniewagę. „Ja go nienawidzę, mawiał Ferdynand, i mam prawo nienawidzenia.”

— „Nigdy niezłamię przysięgi mojej,” odpowiadała Marya. Jednak niedługo duma kobiéca walczyła z miłością, ustąpiła wreszcie, jak to zawsze bywa i — z objéc kochanka, oślepiiony mąż, wyrwał niewierną żonę.

Czegoż się miała spodziéwać Marya?

Są męki okropniejsze od mąk zajadłego oprawcy. Ludzie wymyślili je dla podobnych sobie, ale czyż odkryli tajemnicę męki długiéj, wiecznych zgrzyzot sumienia? To kara nie dla samych zbrodniarzy, bo i cóż znaczy kara, w porównaniu z jój mękami!

Czyli to była obłuda, czy zły zamiar, lecz mąż pozostał dla Maryi takim, jakim był dawniej, i ani

żaden wyrzut, ani najmniejsza oznaka niechęci, niewykryły tajemnicy duszy, nawet więcej stał się uprzejmym teraz dla niej, aniżeli wprzódy, kiedy ani cienia przestępstwa niebyło widać na świetlém zwierciadle jój duszy. A Marya pieszczona przez niego, uprzedzana we wszystkich swych chęciach, niezdawała się być szczęśliwszą, i niemogła nią być nawet, zgoła niepodobną stała się do dawniejszój Maryi, mocnej w swych zamiarach, myślach, postępkach, do tej kobiety, która samemu losowi gotowa była opierać się, która nawet namiętność wyzywała do passowania się z sobą. Widocznie już poddała się namiętności, dręczyła się, schła, jak kwiatek od palącego słońca, który nieuskarża się na los swój, ale umierając wyciąga do jasnego słońca poblądłe listki, roztwiera się z miłością i oczekuje ostatniego śmiertelnego promienia. Tak i Marya umierając zwracała swe myśli ku Ferdynandowi i zapragnęła jego spojrzenia, głosu, uczuć, serce jój otwartém było na zawsze dla miłości Ferdynanda.

I on ją ujrzał — ujrzał cień dawnój Maryi. Był śliczny letni wieczór. Zachodzące słońce, kryjąc się za góry Alpejskie i żegnając się z ziemią oddawało ją, swoje tysiąco-letnią narzeczoną, w objęcia nocy, i wienoczyło czoło jój purpurą wieczornej zorzy. Pan i Pani Kremer odmówiwszy przed domem modlitwę, wzywając łaski Boga miłosierdzia dla je-

dynego dziecięcia swojego, życzyli sobie nawzajem dobrej nocy. Mąż Maryi był wyjechał z samego rana do proboszcza parafii, gdzie pogrzebioną była Pani Kryps, jako w rocznicę jej śmierci, na nabożeństwo żałobne; — a Marya wyszła z izby blada i znędziała, dla odetchnienia świeżem powietrzem, bolesnym wzrokiem poglądając na słońce.... W tém stanął przed nią Ferdynand.

— „Maryo!“ rzekł, „przebacz, iż złamałem przy sięgę, że niebędę cię widział, nie zakłócę już nigdy pokoju twego domowego pożycia.... ale odjeżdżając...”

— „Pokoju!” przerwała Marya, „tak, pokoju!.. oto są jego ślady” pokazała wyschlą ręką na twarz wychudłą.

— „Maryo! głos wewnętrzny, uczucie, wzywały mię do ciebie....”

— „I ja też chciałam cię widzieć, chciałam się z tobą pożegnać. Przystąp do mnie, nie lękaj się swojej dawnej Maryi i wysłuchaj mię... Tu na tém miejscu, po raz pierwszy ujrzałam ciebie. Ale wówczas byłam tak młodą, tak niedoświadczoną, a teraz, teraz, tak nieszczęśliwą!“

„Nie unikałam cię, i dla tego nieunikałam, iż nie myślałam zgola, że dziewczyna w moim wieku może pokochać mężczyznę, albo być dla niego czemś więcej jak siostrą. Z samej tylko ciekawości przychodziłam rozmawiać z tobą, nie rumieniąc się,

i mnie kwiaty w grzędach twoich, podobały się więcej niż ty sam; bawiłam się niemi, pieściłam je, a nawet zazdrościłam, iż sam tylko koło nich masz staranie. — Ferdynand musi być szczęśliwy, myślałam sobie, on ma tak wiele pięknych kwiatów, musi być dobry, gdy tak bardzo je lubi; że-  
bym też ja była, choć jednym z nich, — i wówczas tak myśląc, patrzałam na ciebie, starając się odgadnąć myśl twoją, przywykałam do ciebie — i pokochałam, sama o tem niewiedząc. Moja miłość była spokojna, moja namiętność niewinna; a do tego zostawiałeś mi wolność cieszenia się kwiatami, nie mówiłeś do mnie ani słowa, nie zmuszałeś rumienić się. Zaręczono mię ze Szrekiem. Nigdy go niewidziałam, nigdy nie słyszałam o nim, i pierwszy raz ojciec zaczął mówić ze mną o mężu. Mówił długo, lecz mówił tak, że ja nic nie mogłam zrozumieć i objaśnić sobie słów jego. Tak jak nasz dobry proboszcz powtórzył on kazanie o nowych obowiązkach, o następnej przemianie życia. Smutek mię ogarnął i pobiegłam do ulubionych kwiatów. Ferdynandzie! wówczas pierwszy twój pocałunek objaśnił mi słowa ojca i to czegom niepojęła z jego rozmowy — i rozumiałam ciebie i sercem cię moim wybrałam! Resztę wiesz o wszystkim. Ojciec nie chciał słyszeć o miłości i namiętności, być może występna, długo walczyłam z tkliwością dla ojca — i nakoniec postąpiłam jak córka. Straszno,



gorzko było podówczas sercu, lecz wszystkie męki odważnie przeniosłam. Jeżeli myśląc o nim, jeżeli kochając go, będę niewierną żoną, to jednak zawsze nie będę żoną występłą: takem mówiła do siebie. Wówczas stanąłeś przedemną i uczyniłeś mię występłą! Teraz względem ciebie w niczem niejestem winną Ferdynandzie! Będąc posłuszną ojcu, zdradziłam ciebie, lecz niewierność dla męża usprawiedliwia mię. Kochając cię, myśląc o tobie, stając się żoną występłą, myliłam się bardzo, bardzo się omyliłam. Pogrożek, przekleństwa, wzgardy oczekiwałam od znieważonego męża, a znalazłam go dla siebie takim, jakim był w początkach, uprzejmym, delikatnym, dobrym. O mój Boże! czyliż zasłużyłam na to! Czy wierzysz Ferdynandzie! dla mnie tysiąc razy lepszą byłaby jego nienawiść, wzgarda, zniosłabym to mężniej, bez szemrania, skarg, jako rzecz zasłużoną, jako karę za wielkie przeciwko męża wykroczenie.

Ale pobłażające jego postępowanie ze mną, kosztowało mię wiele łez gorzkich, dobroć jego odebrała mi pół życia, a ta dobroć pozbawiła mię pociechy ostatniej, umrzeć w twoich objęciach! Czuję, iż już niedługo żyć będę, niedługo będę się dręczyła. Już śmierć gości tu w zlodowaciałym sercu, noszę ją i pieszczę jak dobra matka zakład macierzyństwa. Nieoceniony jest dla niej, przypomina wiele chwil szczęśliwych: tak i ze mną teraz się

azieje, bliska śmierć przywiodła mi na myśl całą przeszłość, moje utracone szczęście; cieszę się ze śmierci, bo ona rokuje mi szczęście w życiu przyszłym, gdy umieram z tą wiarą, iż się połączę z tobą, tam.....

W milczeniu słuchał Ferdynand.

Znowu dawna Marya zmartwychwstała dla niego, też sama ze świeżym rumieńcem na twarzy, miła, niewinna! Upojony szczęściem rzuca się w jej objęcia. O Maryo! zawołał..... ale już tylko ścisnął martwe zwłoki, dusza Maryi przed chwilą uleciała do lepszego świata!

Nieszczęśliwy Kremer wpadłszy w odrętwiałość na wiadomość o śmierci córki, wkrótce sam spoczął w grobie.

O Ferdynandzie niesłyszano już nic więcej, i od chwili zgonu Maryi nie ujrzano go już w Gastejnie. Długi czas rozchodziła się tu wieść, iż kiedy słońce zajdzie za Alpy, a księżyc blaskiem swym oświeci te wspaniałe góry, na grobie Maryi spostrzegać się dawał cień człowieka, pogrążonego w głębokiej modlitwie, a w rocznicę jég zgonu, znaleziono grób osadzony najulubieńszymi Maryi kwiatami.

Gastejn,  
dnia 15 sierpnia 1843 r.

*Karol Horwath.*



*Pozar Okretu!*





## NAPIS W OJCOWLE.



Tu myśl Boga skamieniała  
W fantastycznych skał urwiska,  
Tu się potok z szumem ciska  
Jakby ludzkość go pognała!  
Tu natura kwitnie cała,  
W kwiatów woni, w lasów wianku,  
Świeża, jakby dziś w poranku  
Z dłoni Boga wyleciała! —

Tu czas usnął w dnie pieczary  
Bo nie zdołał skał tych pożyć,  
Lecz zgruchotał zamek stary,  
Który mu chciał jarzmo włożyć,  
Na doliny dumą plunąć,  
I przedrzeźniać się naturze,  
A choć musiał w gruzy runąć,  
Gruzami kark przygniótł górze!

Z duszą swoją jakby z grzechem  
 Ukrył się w przepaściach studni,  
 Rzuć tam kamień, tak zadudni  
 Tak bolesnym stęknie echem,  
 Jakby wszystkie jęki skonu  
 Do jednego zbiegły tonu! —

Stercz sobie trupie olbrzyma  
 Groźny jeszcze w swój ruinie,  
 Z twoich Władzców śladu niema,  
 I dla ciebie byt przeminie,  
 Byt ruiny nawet zginie!.....

*E. W.*



## ŚWIĘTA POLAKÓW POGAN,

PORÓWNANE Z TAKIEMIZ UROCZYSTOŚCIAMI U INNYCH SŁOWIAN.

---

**B**ajał gmin na Rusi (1), że bóstwo żniw utyskiwało niegdyś w radzie bogów, na wielką ilość świąt, przeszkadzających ludziom w zbieraniu plonów ziemi. Jakoż świętował Słowianin i sejmikował chętnie, bo na uroczystych, czy to religijnych, czy politycznych obrzędach, wesoło się bawił. Za pogańskich i chrześcijańskich czasów nie były te święta z obchodami politycznymi, jak u Germanów połączone, lecz osobny czas służył dla chwały boskiej, osobny dla rady i zwady, czyli spierania się sądowego. Wszystkie zaś bez wyjątku święta, wielki miały związek z rolnem go-

(1) Rusalka Aleks. Grozy II str. 283.

spodarstwem. Gdy dwakroć odmieniało swój bieg słońce, po zimie wstając a spadając po lecie, przeto też dwa rodzaje były świąt, a z nich każde podzielało się rozmaicie. Były święta wiosenne, które w miesiącu Jarym (1) rozpoczynały się. Dochowała się nam czystsza pamięć o tych, aniżeli o drugiego rodzaju, to jest o zimowych świątach. Chrześcijańskie wyobrażenia, z powodu odrębnego charakteru świąt, które obchodził kościół katolicki, nie mogły wiosennych uroczystości tak łatwo jak zimowe zwichnąć, a z tego powodu, tudzież i z tej przyczyny, że gmin mógł łatwiej tu, niż do zimowych, piosnki swe i podania przyczepiać, doszła do późnej potomności pamięć o świątach wiosny, majówek, rusalek, sobótek i dożyneków. Pomówmy o nich szczegółowo.

Marzanna czyli Morana, bogini śmierci, wyobrażana przez porę roku, zwaną zimą, stykała się z wiosną. Jak tylko promienie słońca zaczęły zwiastować cieplejsze czasy, strojono bałwana (który złą dolę czyli zimno, powietrze i wszelkie choroby miał wyobrażać), z uroczystym pochodem niesiono go ze wsi do pobliskiej wody, i topiono tamże, stosownie śpiewając. Wypychany ze wsi bałwan, mszcząc się na bluźniercach, wróżył śmierć temu, który po skończonym obrzędzie wracając od wody

(1) W Maju, vita s. Bonifacii u Pertz II. str. 340.



miał nieszczęście obalić się na ziemię. Jeszcze za czasów Marcina Bielskiego; a więc w XVI wieku, czyniono ten obchód, i dotąd czynić go mają ziemczali Głogowianie (1). Porównywając z tém podanie o powietrzu (2), które przez utopienie go w wodzie (3) mogło być odwrócone i zniszczone, tudzież względ stąd biorąc na obrzęd wnoszenia ze wsi śmierci, a wnoszenia lata w całej Słowiańszczyźnie i Germanii upowszechnioném, sędzę, że obchód ten znaczyl zwiastowanie znikłego starego roku ze wszystkiemi jakie miał przygodami złemi, a nastanie nowego, po którym sobie wiele obiecywano szczęścia. Wszakże gdy Marzanna czyli mor, grała wielką rolę przy tym obrzędzie, widać, że z obchodem tym łączono i pamięć uczczenia zmarłych, czyli dzień zaduszny pogańsko-słowiański, który dopiero na początku przeszłego wieku święcić zaprzestano nad Elbą (4). Wpływ obczyzny narzucił później wiele dzikich myśli o sposobach odwrócenia zarazy. Mniemał lud wielkopolski, że oborawszy wieś dwoma wołami bliźnimi, popędzanemi przez dwóch chłopców bliźniaków, zaraza nie przestąpi siki; rowem będąc oddzielona od wsi i tym spo-

(1) Piosnki J. J. Lipińskiego w przedm. stron. XVI.

(2) Moje Pamiętn. II. str. 78.

(3) Podług podań gminnych w Starych gawędach i obrazach, Wojcickiego IV. stron. 293 i następne.

(4) Hawpta i Smolerja piesniczki u Gryma 1841 I. str. 20.

sobem wykluczona od ludzi; że żywo pogrzebawszy człowieka, taż zaraza, niby ubłagana ofiarą, ustanie; że kłeskę tę zwiastuje pokazująca się w powietrzu czarna płachta, z czerwonymi pręgami, bujająca po niebie czerwonym czyli zakrwawionym.

Tym czasem rozwijała się wiosna ze wszystkiemi swemi powabami, a wtedy pozdrawiano pole w nowo narodzoną ubrane krasę, stawiano drzewa czyli majono niemi chaty, i szukano osób, które śmierć zabrała ze sobą w upłynionym roku. Gdziekolwiek podług podania dziejów mieszkali niegdyś Słowianie, obchód ten był znajomy. Zwano go majówką, nowszym oczywiście wyrazem, bo wiadomo jest, że po słowiańsku miesiąc maj nazywał się Jarym. Drzewa dla majenia chat przyniesione z lasu, mianowano w Anglii polami majowemi, maje-pole (1), co oczywiście słowiańską a nie giermańską jest nazwą. Zwyczaj szukania w téj porze straconych osób, których pamięć tkwiła w sercach narodu, dotąd przechowuje się tu i ówdzie w Morawii i Polsce. Chłopi morawscy szukają w maju wielkiego swojego króla Świętopelka, który im w IX panował wieku (2); około Krakowa jest podanie gminne (3),

(1) Podług Grimma, Deutsche Mythologie str. 450.

(2) Palacki Geschichte von Bohmen I. str. 145.

(3) Hallische allgemeine Literaturzeitung przytoczona od Grimma tamże.

że na wiosnę dwaj młodzieńcy, Lel i Polel, bawiąc się gonitwą po polu, sprowadzają wiosnę. Zwróciliśmy wyżej uwagę na to, (jest to wyjątek z rysu mitologii polskiej przygotowanego do druku) że jak u Greków Poluks i Kastor, tak u Polaków Lelum Pollelum zostawało we związku z piekłem i światem, a tu nowy dowód mamy nato, że i życie ze śmiercią, czyli wiosna z zimą, łączyły się w onych do odgadnienia trudnych istotach, czyli w braciach Lelum Pollelum zwanych.

Przedłużono majówki aż do święta Rusałek, przypadającego około dzisiejszych Zielonych świątek. Wtedy obchodzono uroczystość bogiń, o których zupełnie głucho jest w pieśniach polskich. Sama nawet nazwa Rusałek nie jest znana pomnikom naszego języka. Wszakże są ślady pewnej uroczystości, obchodzonej dotąd w Łuzacyi, na Szląsku i w Czechach. Zebrawszy razem co o niej udzielili J. S. Randtkie i Jan Szczepan<sup>(1)</sup>, możemy wyprowadzić ten wniosek, że z czasem gmin słowiański, pomieszawszy razem uroczystość topienia Marzanny ze świętem majówki i Rusałek, obchodził pamięć zaginionego pogaństwa osobliwszym obrzędem. — W Łuzacyi i na Szląsku odbywały się, i dotąd odbywają gonitwy konne, na pamiątkę, jak mnie-

(<sup>1</sup>) Dzieje I. str. 46 Czasopis czesk. muzeum z roku 1824-VIII. 2. str. 183 następ.

nam, Radagasta, który konno staczał boje. Kto na koniu pierwszy stawa u mety, wytkniętej przy jeziorze, bywa okrzyknięty królem młodzieży; kto wyścigając się pozostaje w tyle, zyskiwa nazwisko Rochwista (imie przekrecone z Radagasta). Następnie obwożą Rochwista w umajonej budzie o dwóch kołach, a gdzie jest kałuża tam wóz obalają i wzięzonego rzucają w wodę. Poczem zbiera się drużyna do karczmy, niosąc zebrane podarki, któremi ją obdarzają gospodarze wiejscy. Rochwist gra tam rolę wesółka czyli pajacza wiejskiego.

Stawianie majów znał gmin słowacki i czeski <sup>(1)</sup>, znać go musiał i polski, będąc sąsiadem obydwóch tych ludów. W Czechach we wigilią Zielonych świątek, przed oknami najkrańszych z sióła dziewczek, stawiano niegdyś drzewa, nazywane majem. W drugie święto zebrani parobcy do karczmy, przebierali się po rycersku, i wybierali jednego z pomiędzy siebie na króla. Z dobraną muzyką szła następnie czereda cała ku mecie, przy kamieniu lub jakim pagórkowi wyznaczonej, gdzie czyniła wyścigi piesze: lub (a mianowicie w cyrkule budziejowskim) konno gnała czereda cała, a przejeżdżając około kałuży lub wody, usiłowała wepchnąć do niej króla. Przybywszy na przeznaczone miejsce występował jeden z czeredy, wskakiwał na kamień lub pagórek, i pe-

(<sup>1</sup>) Kollara zpewanky I. str. 24. 25.



rorował do koła, pytając się zgromadzonych czy tak jest jak mówi, lub nie. „Prawda, prawda” powtarzała tłuszcza. Następnie wrzucała do wody zrobionego ze słomy balwana przyniosłszy go z sobą, albo nawet samego topiła króla. Trwała wesolość i wrzawa, aż dopóki jeden z koła, niby niezgadający się na to o czem perorowano, nie wypadł z boku, i kijem nie rozpedził gromady. Nazajutrz strojna młodzież obchodziła wiejskie domy, niosąc na drewnianym talerzu wstążki ubrane drzewko, zbierała dary od gospodarzów i gospodyń, za co wywiązując się pociesznymi dykteryjkami, bawiła domowe dziewczki i niewiasty. Zebrane dary nosła następnie do karczmy, sprzedawała je karczmarzowi, a za pieniądze zebrane weseliła się.

Łużycki i szląski obyczaj stosują niektórzy (1) do wyścigów konnych o królestwo, niby że Lachowie tym sposobem obierali sobie niegdyś króla. Zwyczajając na to, że w obrzędzie tym król, kamień, perora, grają ważne role, i że jeden z gromady rozpedza obradujących, wątpić nie można, że tu jest coś politycznego. Wiadomo jest, że już w VIII wieku był u Krainiów obyczaj sadzania na kamieniu nowo obranego króla (2), że, podług Eneasza Syl-

(1) J. S. Bandkie tamże, Michał Wiszniewski w historii literatury polsk. II. str. 79.

(2) Grim Deutsche Rechtsalterthümer str. 234.

wiusza (który żył w pierwszej połowie XV wieku), gawiedź miejska na Rusi czerwonej okrzykiwała tego królem, który od razu wskoczył na duży kamień, i utrzymał się na nim (1); nakoniec że podług Ditmara (2) kijmy Lutykowie bili tego, który się nie zgadzał na obradach publicznych z większością głosów. Co wszystko snadź pomieszawszy w jedno gmin słowiański, obchodził dawne wspomnienia, podczas Zielonych świątek. Wszakże owe maje sadzane przed oknami dziewczek, owo ustrojone drzewko przypominające gaik polski, ów nakoniec czas, w którym te uroczystości obchodzono, wskazują na wspomnienia pogańskie, święto, czy Rusalek, czy ubustwianego niegdys króla Radagasta (3) przywodzące na pamięć.

Jeżeli niebo zamknęło deszcze i niepozwalalo w odradzającej się wiosnie rość bujno trawom, zanoszono modły do Dziada, to jest do starego boga czyli Peruna, ażeby dżdżem odwilżył ziemię. U Serbów obchód z tego powodu czyniony, zwano Dodo-le. Dziwi się Grimm (4) wyrazowi temu, uwagę czyniąc, że nie jest w stanie odgadnąć jego źródłosłowu, z żadnego jemu znanego języka, (wiadomo

(1) Siarczyński w czasopiśmie lwowskim II. str. 80. J. Dobrowski w Wiener Jahrbücher XXVII. str. 92.

(2) U Pertz V. str. 812.

(3) Radagaisus, J. S. Bandtkie, dzieje I. str. 123.

(4) Deutsche Mythologie str. 335.

jest, że wiele ich zna Grimm). Mnie się zdaje, że wyraz Dodole, składa się z piątego przypadku wyrazu Dod (dziad) i wykrzyknika le, i że znaczy „o ojczę” (zmiłuj się) (1). Do obchodu Dodoli używano trawy deszcze sprowadzającej, a i na Rusi około Pińska podobny jak w Serbii był niegdys obchód, z tą różnicą, że go peryodycznie na Zielone świętki czyniono. Mniemał też i dotąd mniema lud polski, że są pewne trawy, które mają moc sprowadzania deszczów (2) na czém polegając, wnosząc, że i w Polsce podobnie jak u Serbów i na Rusi deszczu upraszano od niebios, lubo wiadomo mi nie jest, azali i tu obchód ten Dodolą nazywał się kiedyś. Nad Elbą, w Turynгии, ubierano w lesie podczas Zielonych świątek parobka w zielone gałazki, i sprowadzano go do wsi w uroczystym obchodzie, nazywając go lackim królem (3). Podobny obrzęd musiał być dawniej znany i w Polsce, gdzie głównie panowali później Lachowie. Tak nazwany smigust, zdaje się także być we związku z obchodem, o upro-

(1) Przypadek pierwszy jest Dod, lub Doda, jak ot 'ojciec i ota. — Szaflarzyk w *aelteste Denkmaler* str. 73. W życiu ś. Otona podług rękopisu święto-krzyskiego, wydrukowanego we *Vierter Jahresbericht, der Gesellschaft für pommersche Geschichte und Alterthumskunde*, Stetin 1830, stoi na stronie 169: „Ille veniens et episcopi nomen inlami-tans, pro eo quod est otto otta dixeris, patrem sonat.

(2) U Zegoty Paulipiesni ludu ruskiego I. str. 43. Wojcicki pieśni II. str. 217.

(3) Der *Lattichkoenig*, Grimm tamże str. 456.

szenie deszczu czynionym. Rękopis małoruski powiada (1), że niegdyś dla uproszenia urodzajności polom, przynoszono ofiary dla krynic i jezior, że w nich niekiedy topiono ludzi w tym celu, lub pławiano pleć oboję, albo nakoniec polewano wodą. Dotąd trwa ten obyczaj między naszym gminem, i dzieje się peryodycznie w drugie święto wielkanoce i następnych dni.

Święto Rusalek obchodzono na część rozwiniętej przyrody, zieleniejących się drzew i krzewów, czyli (jak się wyraża pieśń gminna (2)) majów, tudzież odrodzonego ptastwa domowego, pokrytych trawą łąk i t. p. Przeciągano ten obrzęd aż do miesiąca czerwca, i łączono go z tak zwanym świętem Kupały. Uzupełniając to, com w tej mierze gdzieindziej powiedział (3), uwagę czynię, że obrzęd hailek, zwany w Polsce kogutkiem, był znany i nad Łabą, jak o tem przekonywają pieśni tak zwane proszalne (stonanje) śpiewane u Łużyczan (4). Wpływ religii chrześcijańskiej pomieszał święto Rusalek z uroczystością sw. Jana Chrzciciela, które przypada w czasie rozwiniętych już roślin, czyli do szczęśliwego wzrostu ochrzczonych przez świętego poprzednika, Zbawiciela ludzi Jezusa Chrystusa. Gmin nasz

(1) U Żegoty Pauli pieśni ludu polsk. str. 30.

(2) U Wojcik. II str. 222.

(3) Polska aż do wieku XVII, w części III str. 230 następ.

(4) Smolera, pieśni tuż, I str. 269.



obchodzi to święto wcześniej, pali bowiem stopy drzew we wielki piątek, bąc na pamiątkę Rusałek (dla tego że one po rozwinięciu się przyrody we wiosennych plonach wychodzą z wody i bujają po świecie), bądź że zachowując pamięć palenia cieniów w kościele katolickim w dzień wielkopiątkowy, z pogańskim obyczajem (1) mięsza tym sposobem chrześcijańskie obrzędy. Są ślady w naszych pieśniach (2) niewłaściwej téj mieszaniny. Zebrane dziewczęta nuciły niegdyś piosnkę:

Święty Janie! pytam się ciebie samego,  
Cóżś nam przyniósł nowego?

Zagadniony święty odpowiadał, wyliczając przyniesione dary. Opuściwszy resztę przytoczę dwa wiersze, w których mówi Jan Chrzciciel:

Przyniosłem wam rosy,  
Parobkom do kosy.

Wtedy wróćąc o przyszłym swym losie, puszczały dziewczęta wianki z siedmiu równianek, to jest małych splotek (3) na wodę, gdy tym czasem parobcy rozpierchnęli się po lasach, szukając kwiatu szczęśliwego. Działo się to we wigilią ś. Jana. Przez kwiat szczęśliwy rozumiano kwitnącą paproć. Gdy jest trudno znaleźć to kwiecie, przeto mniemał o niem gmin rozmaicie. Sądził że to ziele kwitnie bez kwiateczka, to jest, że nie ma kwiatu; to znowu że

(1) J. S. Bandtkie dzieje I. str. 109.

(2) U Wojcick. pieśni I. str. 197.

(3) Uwagi godna jest liczba siedmiu.

istotnie paproć kwitnie, ale skoro się kto przybliży do kwiatu, czarci wszczynają burzę i niedozwalają go znaleźć. Bo gdyby go mógł odkryć śmiertelny, otworzyłby się jemu wszystkie skarby ukryte w ziemi, przez złych pilnowane duchów (1). Puszczając wianki, palono i ognie, na pamiątkę kąpiącego się w morzu słońca, czyli jak za chrześcijańskich mniemano czasów, na cześć ś. Jana. Zwano ten obrzęd Kupałą, od kąpania się żywiołu, później zwano go sobotką, ale tylko w Polsce. Skądże powstały te nazwy? Nie od bóstwa kupało i od siódmego dnia w tygodniu czyli od soboty, gdyż nie znajdujemy nigdzie śladu czci bałwana, czyli podobnej nazwy bóstwa. Nadto wszystkie niższego rzędu bogi słowiańskie, miały nazwy od przedmiotów przyrody, a Kupało i Sobota nieznajduje się pomiędzy niemi. Przeto zdaje się, że Sobotki mają nazwisko od Soboty, niby wigilii poprzedzającej wielkie święto Kupały (2), lub dla tego, że Sobota była dniem odpoczynku, jak się wyżej rzekło. W pierwszym i drugim razie wyraz ten nie do pogańskich, lecz chrześcijańskich wyobrażeń należeć będzie. Za pogańskich czasów na cześć Łady, za chrześcijańskich na cześć ś. Jana obchodzono święto Kupały (rano lub wieczór), zanosząc modły do rzek i zrzódeł, co jak wyżej rzekłem, miało miejsce i na Litwie. Wtedy i teraz miano to mnie-

(1) Wojcicki pieśni I. str. 203. 204. 254.

(2) S. Goszczyński w Ziewonij A. Bielowskiego str. 215.

manie, że słońce wzniosłszy się najwyżej i ogrzewszy gorącemi promieniami ziemię, obmyć się powinno i ochłodzić we wodzie, tudzież, że ś. Jan napracowawszy się wielce przy wydobywaniu z ziemi zarodu plonów, powinien, wykąpawszy się, odpocząć po pracy. Na pamiątkę więc tego palono ogień, i patrzano jak słońce wstaje z kąpieli. Zapaliwszy stos drzewa podpalonego słomą, przeskakiwano go śpiewając stosowne pieśni (1). Dawniej snadź zielone, bóstwu miłe, palono drzewa: później palono posępne świerki i cisy, wyobrażające złych duchów, które przez zapalone ogień spłoszyć chciano. Wrzucano w ogień splecione wianki z rosiczki, płomyka, bylicy, dziewanny, ruty, szalwii, ziela ś. Jana, i t. p. Słyszac trzeszczącą rutę, i pękającą w ogniu bylicę, czarownica pękała ze złości, bo święte zioła odejmowały jej moc szkodenia ludziom i bydłu (2). Skakając przez ogień, lub puszczając na wodę wianki, czyniono stąd wróżby, co, jak się tylekroć rzekło, było głównym sposobem u Słowian wybadywania przyszłości. Tak i uroku dochodzono na Rusi, puszczając węgle na wodę (3).

(1) Słowacy nucili: Chybaj na Jana! Woj Jana! to jest przeskocz Jana.

(2) Żegoty Pauli pieśni ludu polsk. str. 21. 23. Wojcick. pieśni I. str. 201, 203, 274. Pan Żegota Pauli nie zgadza się z nami, tu i ówdzie. Przywiedliśmy przy opisie ciał niebieskich dowody, na których naszeopieramy mniemanie.

(3) Wojcicki klechdy I. str. 141.

Chociaż, jak się wyżej rzekło, obchodził te pamiątki gmin w czasie przypadających świąt chrześcijańskich, przecież pogańskie przywiązywał do nich wyobrażenia. Do tego cośmy w tej mierze powiedzieli, dodać należy święto wiosenne u Słowian nadelbiańskich, w czasie Wielkiejnocy obchodzone na cześć Jutrzenki. Dlatego téż Słowianie ci zwali Wielkanoc Jutrem (1). Obrządek dożyneków, czyli dziękczynienia bóstwu za plon szczęśliwie z pola zebrany, który z wielką okazałością obchodzono nad Elbą, na cześć Światowida (2), zupełnie wyszedł z pamięci ludu. Zastąpiła go wiecha, dziś jeszcze sprawiana od panów rolnikom po zebraniu z pola plonów, i przyniesieniu do dworu żniwowego wieńca.

W pieśniach gminnych które przy tém śpiewają wieśniacy, nader mało przebija się pogańskiego zwyczaju. Zaledwie że o ptakach i drzewach niektórych (przepiocy, cisie) wspomniono w pieśniach ruskich przy dożynekach, i polskich pod napisem wieńiec (3). Zdaje się, że wspomnienia, które niegdys figurowały przy obrzędzie dożyneków, przeszły w obchód kolędy.

Wszystko cokolwiek dotąd mówiono o kolen-dzie, udowadnia mniemanie to, że wyraz oznacza-

(1) Ostara, Jutro, u Grimma tamże str. 349.

(2) Sakso grammatyk przywiedziony od Kollara w dziełku pod tytułem Wykład str. 111.

(3) U PP. Zegoty Pauli i Wojcickiego.



jący drugiego rodzaju czyli zimowe pogańskich Słowian obrzędy, obcem jest. Gdy go Grecy i Rzymianie mają, widać stąd, że obrzęd ten był upowszechniony w całym pogańsko-starozynym świecie. Mimo to godzi się twierdzić, że sposób jakim go obchodzono u Słowian, był im tylko właściwy. Ponieważ zima stykała się z wiosną, przeto z czasem, za upowszechnieniem się chrześcijaństwa, nie jeden obrządek wiosenny przeszedł we święta zimowe, pomieszał się z obrzędami które chrześcijańska religia z sobą przyniosła, i czysto słowiańskie zmącił wyobrażenia.

Na cześć rolnictwa i ubóstwianych zwierząt był on obchodzony pierwotnie. Wtedy i niebo objawiało swe dziwy, a złe duchy płatały figle, co oczywiście było wpływem chrześcijańskich wyobrażeń. Zaczynał się ten obchód od uczy wieczornój, co i dziś ma miejsce przy obchodzeniu wigilii Bożego narodzenia. Przy wieczerzy kładziono trzosło pługowe na stół, ażeby myszy i krety nie psuły roli w następnym roku (1). Gdy również i zimowe święta przedłużano, przeto uczczenie pługa nie odbywało się nad Elbą, (w późniejszych rozumie się czasach) przy kolędowej wieczerzy, lecz w czasie zapust. Wtedy mężczyźni obwozili po wsiach i małych miasteczkach pług, łapali przechodzące niewiasty i zaprzęgali je do niego, podobnie jak je niedawnemi czasy u

(1) Żegoty Pauli pieśni ludu polsk. str. 2.

nas zniewalali do ciągnięcia kłosa w popielec (1). Po wieczery odbywały się wróżby w domu i za domem. Gospodarz (niegdyś kapłan domowych bóstw a za czasów lepiej rozwiniętego pogaństwa, stróż porządku we swoim rodzie i pod religijnym względem) odbywał za chrześcijaństwa i odbywa dotąd wróżby o przyszłym, pomyślnym lub niepomyślnym urodzaju. Biorąc źdźbła ze snopów wróżył rzucając je do góry, podobnie jak podług Tacyty (2) z patyczków w górę rzucanych wybadywał przyszłość, i jak gmin krakowski, rzucając przy grze w cechę nóż do góry, zgadywa, szczęście lub nieszczęście (3). Liczył gospodarz w snopie pełne i nie pełne kłosa, skąd także odgadywał o urodzaju w przyszłym roku (4). Wtedy dziewczęta wychodziły na dwór; uważając od której strony słyhać szczekanie psa, co znaczyło że stamtąd dostaną męża. O północy wychodzili wszyscy z domu, ażeby oglądać niebo, które wtedy otwierać się miało, i dawało widzieć co się wewnątrz jego dzieje (u Serbów działa się to w dzień trzech Króli, także o północy). Dotąd silne są ślady zabobonu tego w pieśniach i gusłach ludu, gdzie wróżby znakomitą rolę odgrywają (5). Gdy się to działo, wtedy gospodarz pilnie

(1) Grimm tamże str. 163.

(2) Grimm tamże str. 10.

(3) Pieśni ludu krakowsk. str. 86.

(4) U Żegoty Pauli tamże.

(5) Wojcick. zarysy domowe I. str 348. następn.

oglądał obory azali są dobrze opatrzone, bo wtedy najwięcej dokazywały czarownice, zakradając się do bydła. Tym końcem chcąc je zabezpieczyć od szkody, nakarmił dobytek częścią potraw, na kolędowej spożytych wieczerzy. Było to oczywiście wpływem chrześcijańskich wyobrażeń (1). Tym czasem parobcy, dla przypomnienia na jaką pamiątkę odbywa się to święto, chodzili nazajutrz tudzież w następnych dniach po kolędzie, obnosili pług po wsi stosownie śpiewając i udając oranie (2). Krakowska pieśń kolędowa nuci (3) o roli, na której jest złoty pług, a przy nim cztery zaprzężone są konie, na koniu naręcznym siedzi ś. Szczepan, ś. Jan wodzi koniki, a za pługiem chodzi Pan Jezus. Przebrani parobcy obnosili lub oprowadzali niektóre zwierzęta (niegdyś ubóstwiane), jako to niedzwiadka, wilczątka, tura (4), niby błagając je ażeby w roku przyszłym nie szkodziły ludziom i bydłu. Stąd owo sławne chodzenie z wilkiem po kolędzie, znane u Polaków, Rusinów i Serbów (5).

Gdy upływała zima, a zbliżała się wiosna, obchodzono uroczystość, która właściwie na wiosenną przypadała porę, grzebano żur, co miało znaczyć ko-

(1) Żegota Pauli tamże.

(2) Żegoty Pauli pieśni ludu rusk. str. 15.

(3) Pieśni ludu krakowsk. str. 97.

(4) U Żegoty Pauli pieśni ludu polsk. str. 2, 3.

(5) Wuka Stef. Karadzicza srpske narodne pjesme 1. str. 301 wydanie drugie.

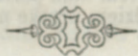
niec postu (bo się to odbywało we wielką sobotę), w rzeczy zaś saméj przypominało topienie Marzanny. Jakoż odbywał się ten zwyczaj i u Niemców, i miał nazwisko pogrzebu postu (1). Nad Elbą i u Kroatów w same zapusty miał ten obchód miejsce. Tam dla wzgardy pogaństwa, kobiety w XVII jeszcze wieku topiły Marzannę: tu piłowano przed bramami miasta klocek, co zwano tracenie staréj baby, czyli koniec starego roku (2). Obrzędy zapustu i popielcowéj środy, są także zabytkiem dawnych zabaw pogańskiego świata, tudzież pamiątką wpływu chrześcijaństwa. Wtedy to gospodynie zwodziły w karczmie tak zwany taniec konopny, ażeby się im konopie rodziły w przyszłym roku. Przybywał tam parobek przebrany, siedząc na drewnianym koniu, a głosząc że jest mantuańskie książe, i przybywa z kraju gdzie psy ogonami szczekają, posypywał tańczące popiołem, wyganiał je miotłą, a poobalawszy naczynie z wódką gasił światło (3).

*A. W. Maciejowski.*

(1) Pieśni ludu krakowsk. str. 70. Grimm. tamże str. 523.

(2) Grimm tamże str. 444, 453.

(3) Pieśni ludu krakowsk. str. 67. Wojcick. pieśni I. str. 261, 263. Woj. za moje, za L.





UBIÓR DAWNY MIESZCZAN KRAKOWSKICH,  
PRZEDSTAWIONY W PORTRECIE  
GRZEGORZA PRZYBYŁO,

Starszego Cechu Złotników Krakowskich r. 1534.

Z drzeworytami).

**A** zbierając wiadomości o starożytnościach dawnej Polski, nie można pomijać kunsztów i rzemiosł; bo z ich urządzeń i zwyczajów, nie jedno dałoby się wydobyć postrzeżenie, mogące rzucić światelko na obraz dawnych wieków. W tym względzie u nas, Kraków prawie na naczelném stoi miejscu, bowiem to bogate i ludne niegdyś miasto, dawało przytułek wielu rękodzielniczym przemysłom, i wiele też zgromadzeń rzemieślniczych pod nazwą cechów, bractw, kon-tuberniów i t. p. w sobie zawięrało. — Z okazji

5\*

załączonej ryciny, wyobrażającej Grzegorza Przybyło mieszczanina i starszego zgromadzenia złotników Krakowskich, oraz żony jego Katarzyny,



powie się kilka słów tak o nim, jako i o zgromadzeniu złotniczym w Krakowie, w wieku XVI.

Za najdawniejsze stowarzyszenie mistrzów jednego kunsztu, bądź rzemiosła, uważać trzeba pomiędzy innemi cech złotniczy w Krakowie. Już



on tu istniał za Piastów w czasach bardzo odległych, a nadewszystko kwitnął za Jagiellonów, podczas gdy kraj w dobrym bycie opływał, gdy

zamożność Panów tak była powszechną, a gust do świetności i blasku Polakom tak wrodzony.

Co do dowodu dawności cechu złotniczego, wspomnieć należy, iż lubo przywileje przez Królów Polskich jemu nadane, których oryginały dotąd w cechu tym się utrzymują, nie są dawniejsze jak z czasów Zygmunta I; atoli w tych, a nade wszystko Stefana Batorego z r. 1577, mowa jest o przywileju Króla Ludwika, danym w sporze z złotnikami miasta Lwowa, którzy złotnikom Krakowskim zaprzeczali *bardzo dawnego prawa*, wolnej sprzedaży w czasie jarmarków we Lwowie i innych miastach, wszelkich wyrobów z złota, srebra, drogich kamieni i t. p.; któreto dawniejsze nadanie, już im Król Ludwik zatwierdził, równie jak im takowe Król Stefan w roku wyżej pomienionym zatwierdza.

Niesie podanie, że Król Zygmunt I. lubił kunszt złotniczy, i w chwilach spoczynku ze się trudnił jego wykonywaniem; lecz w księgach cechu złotniczego nie znalazłem żadnego śladu o tém jego upodobaniu, prócz tylko tego dalekiego dowodu w dwóch jego postanowieniach, świadczących o jego nad cechem złotniczym opiece, t. j. Dekret z roku 1507 zakazujący wszelkim przychodniom do Krakowa, sprawowania kunsztu złotniczego, dopóki by wprzód nie przyjęli prawa miejskiego i cechowego. Drugi *dat. Cracoviae Sab. ante*



*D<sup>nca</sup> Oculi* r. 1521, nakazujący złotnikom miasta Kazimierza przy Krakowie: „aby oświadczyli posłuszeństwo cechowi Krakowskiemu, przez przyjęcie tego cechu podług zwyczaju.“ (Są to oryginały na pergaminie.)

Król Stefan pomiędzy kilku innemi nadaniami, dał im i ten przywilej, zabraniający przeszkodnikom (*Allegerom*) podejmowania wszelkich robót, z szkodą cechu złotniczego.

R. 1596 Burmistrz i Rajcy miasta Krakowa, zatwierdzają porządek cechowy, t. j. artykuły na zgromadzeniu cechowém umówione, do zachowania wszystkim złotnikom nadane; pomiędzy któremi jest i to, że, nie wolno jest żadnemu groszów złocić, które są bite naksztalt czerwonych złotych.

Posiadają także przywilej Zygmunta III z roku 1617, dany przeciwko złotnikom Warszawskim na korzyść złotników Krakowskich, — z których pierwsi wazyli się rzeczy z złota i srebra wyrobione, i do Warszawy przywiezione na sprzedaż, próbować i doglądać.

Mają przywilej Króla Władysława IV., oraz Jana Kazimierza z r. 1649, zatwierdzające im prawa i swobody nadane przez dawniejszych Królów. Mają i dekret Króla Augusta II Sasa, przeciwko żydom, roboty złotnicze z innych miast nawożącym i sprzedającym, — mocą którego jest im to zabronione.

W aktach cechu złotników Krakowskich, da się spostrzedz, jak wielu mistrzów tego kunsztu zgromadzenie ich stanowiło. W r. 1563, kiedy Józef Jeleń i Andrzej Marstella Rajcy Krakowscy, urząd Starszych sprawowali, widzimy nazwiska trzydziestu pięciu mistrzów złotników na uchwale cechowej podpisanych bądź wspomnianych, a w r. 1564 już się liczba ich o trzech powiększyła.

Starszy czyli przełożony w tém zgromadzeniu, dla odróżnienia się od innych cechów rękodzielnicych, nazywał się Primas, a podstarszy Pod-Primas, którzy w wieku XVI i XVII bywali męzowie wykształceni i zamożni, i ztąd to pomiędzy Rajcami Krakowskimi (*Consules*) często się złotnicy mieścili.

W dawnych czasach, kunszt ten w wielkiem musiał być poważaniu, kiedy się go i szlachta uczyła. W księdze cechowej pod r. 1525 czytać się daje w języku niemieckim, (gdyż ten był prawie powszechnym mieszczan Krakowskich) ten zapis: „Mistrz Grzegorz zapisał do nauki chłopca, „imieniem Mikołaj Schyrakoffsky z Mazowsza syn „szlachecki, a to na lat cztery, zaczynając od S. „Marcina. Młodzieniec sam się okrywać ma, a „w 5<sup>ty</sup> roku zostanie czeladnikiem i Pan mu płacić będzie zł. sześć.“

Zgromadzenie złotnicze posiadało w Krakowie własną kamienicę, w której posiedzenia swe od-

bywało; — ta była na ulicy Brackiej, którą mu testamentem w roku 1547 odkazał jeden z jego współ-braci, a ten był:

*Grzegorz Przybyło,*

Złotnik oraz Ławnik miasta Krakowa (*Scabinus*). Byłto człowiek zamożny, który żyjąc w bezdzietnym małżeństwie z żoną swą Katarzyną, własność nieruchomości na Kazimierzu (ogród), legował na szpital.

W r. 1536 był on Starszym złotniczym, a w r. 1548 już nie żył. Rycina z wyobrażeniem jego i żony, w dawnych ubiorach mieszczan Krakowskich, zdjeta jest z dawnej płaskorzeźby, która już lat przeszło 300 liczy, i jest téj saméj jak rycina wielkości. Wyobrażenie to wyrobione jest precudnie, w małych rameczkach, zamykanych naksztalt tabakierki, biegłym rylcem snycerza w drzewie bukspanowém, i nazwane być może dziełem mistrzowskiém, — szkoda tylko, że niewiadomo czyjéj ręki. Jest własnością zgromadzenia złotników, równie jak pierścionek delikatnéj roboty, po tymże Grzegorzowi Przybyłemu pozostały.

*Ambroży Grabowski.*



Wyciąg z 2<sup>giej</sup> części

**FAUSTA.**



**AKT I.**

**Wesola okolicca.**

Faust spoczywa na kwiecistej murawie. Ruchy jego niespokojne.  
Usiłuje zasnąć.

**Świt.**

Roje drobnych żywych duchów krązą w powietrzu.

**A R I E L.**

(Śpiew połączony z dźwiękami arf Eolskich.)



Kiedy z wiosną deszczyk błogi  
Kwiciem sypie ze wszech stron,  
Gdy zielone pól rozłogi  
Synom ziemi wróżą plon,  
Małych Sylfów wielkie duchy  
Niosą pomoc, bronią szkód,  
I zlewają zdrój otuchy  
Na ułomny ludzki ród.



Wy co tę z lekka okrażacie głowę,  
 Wyświadczyć tutaj dobrodziejstwo nowe.  
 Zamknijcie w sercu srogim walkom szranki;  
 Oddalcie gorzkie przypomnienia strzały,  
 Ducha oczyście z trwogi pozostałej.  
 W okresie nocy *cztery* są przestanki:  
 Niech wasze dłonie dary swe w nie zniosą.  
 Naprzód skroń złóżcie na miękkie wezgłowia,  
 Potem go skropcie letejskich wód rosą;  
 Wnet skrzepłe członki giętko się podniosą,  
 Ujrzy blask dzienny w pełni sił i zdrowia.  
 Dopełnicie pięknej Sylfów powinności,  
 Ciemnego świętej powróćcie światłości.

## C H Ó R.

(Głosy pojedyncze, po dwa lub po kilka, kolejną i razem).

Gdy majowe łąk obszary  
 Chłodnej rosy zwilża stok,  
 Słodkie wonie, mgliste pary  
 Rozpościéra letni mrok;  
 Cichy w duszy pokój budzi,  
 Lula serce dziecka snem,  
 I zamyka oczom ludzi  
 Bramyienne technieniem swém.

Płynie noc—gwiazdki nadobne  
 Żenią się wśród modrych fal;  
 Wielkie światła, iskry drobne  
 Lśni się z bliska, błyszczą w dal:

Lśnią się tu w przejrzystym zdroju,  
 Błyszczą górą w nocny brzask;  
 Pieczętując raj spokoju,  
 Gra miesiąca pełny blask.

Lecz czas mija w szybkim pędzie,  
 Ból i rozkosz wsiąka weń;  
 Kto przeczuwa zbawion będzie;  
 Umiej przeczuć nowy dzień. —  
 Zielenieją się doliny,  
 Pagórki się krzewią w cień,  
 I w wątych trawkach nowiny  
 Przyszłych zbiorów miga rdzeń.

Jest-li cel twych życzeń święty,  
 Blaskiem jutrzni oko cuć!  
 Z lekka-ś tylko obwinięty;  
 Sen jest korą, korę zrzucć!  
 Nie odwlekaj rzucić łożę,  
 Kiedy gnuśnych więzi puch:  
 Wszystkiego dokazać może  
 Pojętny i czynny duch.

(Ogromna wrzawa oznajmia zbliżanie się słońca.)

#### A R I E L.

Słyszycie ten huk, słyszycie?  
 To *Ilory* wrzaskliwą zgrają  
 Uszom ducha oznajmają  
 Nowo narodzone dziecię.

Bramy opok skrzypią, trzeszczą,  
 Koła Feba grzmiąc szeleszczą;  
 Ileż zgiełku światło niesie!  
 Jakaż wrzawa pomieszana!  
 Słuch drętwieje w tym rwetesie;  
 Nie na nasze on organa.  
 Skryjcie się w kwiatów kielichy,  
 Głębiój, głębiój w zakąt cichy,  
 W skał szczeliny, w drzewin cienie,  
 Bo zagłuszy was to brzmienie.

## F A U S T.

Pulsa natury biją rzeźwém tętnem  
 Na powitanie wschodzącego świtu;  
 Ziemo! ty w swoim ubraniu ponętném  
 Budzisz się znowu, skłaniasz do zachwytu.  
 Otwierasz zwolna rozkoszne objęcie;  
 Ty wzmagasz w duszy silne przedsięwzięcie  
 Dążenia ciągle do wyższego bytu.  
 Już świat odetchnął z pierwszym mrugiem brzasku,  
 Tysiące głosów brzmi życiem wśród lasku,  
 Mgła po dolinach słania tuman biały;  
 Lecz jasność nieba wgląda i w głębiny,  
 I orzeźwione ziółka i krzewiny  
 Wstają z przepaści gdzie schylone spały.  
 Już i kolorów barwa się odznacza,  
 Gdzie kwiat i listek drży perłami rosy;  
 Świat się w raj mieni, raj mię w krąg otacza.

Spojrzymy wyżej!—Szczytów gór kolosy  
Obwieszczają już chwilę uroczystą;  
Im wolno ujrzeć światłość wiekuistą  
Pierwój nim w nasze posunie się strony.  
Alpejskie łąki przybierają zwolna  
Nowe postacie, łagodniejsze tony,  
I już stopniami błyszczą warstwa dolna;—  
Witam cię słońce! i padam olśniony,  
Powieka moja ostać ci niezdolna.

Tak to więc bywa, gdy wrząca tęsknota  
Prze się ku niebu ufnemi ramiony;  
Otwarte spełnień napotyka wrota;  
Lecz w tém wybucha z wieczystych bezedni  
Płomienna powódź, chwiejemy się biedni;  
Chcieliśmy zatlić pochodnie żywota,  
Ogniste morze ogarnia nas, chłonie.  
Jakaż to żądza paląca bez tamy?  
Tak gorzko w sercu, tak rozkoszno w łonie  
Że znowu oczy ku ziemi spuszczamy,  
Pragnąc się ukryć w młodzieńczej zasłonie.

Zostańcie za mną promieniste bramy!  
Wodospad, dziko grzmiący po opokach  
Zwraca me oko; on mile mi śpiéwa;  
Toczy się z głazów w tysiącnych potokach,  
I w tysiączne się potoki rozléwa,  
Śnieżyste piany pryskając po bokach.



Lecz jak wspaniale oku się nastrocza  
 Lśniąca w tych falach różnobarwna tęcza!  
 Ten łuk malowny, ta przemienna trwałość,  
 To w czystych rysach, to wśród mgły powicia,  
 Tworząc jakowąś straszną okazałość.  
 W niej ludzkich dążeń wyczytasz odbicia;  
 Spójrz tylko głębiej i wnknij w tę całość.  
 Odblask kolorów jest obrazem życia.

*Józef Puszkowski.*



WIDOWISKO PUBLICZNE,

MARYNETKI,

w wieku XVII w Warszawie.



Nader mało mamy wiadomości o rodzajach widowisk, któremi przejeżdżający się po kraju obcy sztukmistrze ojców naszych bawili. Mniemam, że ciekawi mile przyjmą małą wskazówkę, jakiego rodzaju były te przedstawienia, z umieszczonój tu kopii dawnego, bo zapewne z wieku XVII pochodzącego oznajmienia czyli afiszu, o sztukach pokazywać się mianych; którego to afiszu może jedyny drukowany exemplarz znajduje się w Bibliotece akademii krakowskiój.

Afisz ten drukowany jest na pół-arkuszu, długości poziomój, □ — w obwódce. Głowa tegoż,

początek, jest drukiem łacińskim; wyszczególnienie zaś sztuk drukiem gockim bardzo używanym. Koniec afiszu, czyli to co jest pod linią, znowu drukiem łacińskim, a miejsce widowiska, co tu jest kursywą, jest już dopisane ręką.

Zdaje się, że przedsiębiorca tych sztuk, miał afisz gotowy, i z nim jeżdżąc po miastach, dopisywał miejsce widowisk. — Najpodobniej, że ten egzemplarz afiszu służył na Warszawę, gdzie familia Zamojskich dom posiadała.

Pisownia afiszu daje się tu w wiernój kopii.

„Oznaymuie a wiedzieć każdemu daie, że iest sam z Nacyey Włoskiej ieden Magister w różnych a barzo cudownych kunsztach umieienny: a Ludowi barzo piękne a krotofilne rzeczy to iest, przez figury abo obrazy, ruchający się, różne tańce, skoky & pokazać chce.

Naypierwiewy wszystkim ludziom kunszt miłuiącym widzieć się daie, Jako przez kunsztowne Figury barzo piękne tańce od iednego Kawalira a nadobnych Panien odprawowane będą, a to różnym sposobem.

2. Obaczy się, Jako maszkarne tańce Fusą abo sposobem Włoskim odprawować się będą.
3. Obaczy się, Jako iedna Figura abo Obraz barzo kunsztowne a piękne skakanie odprawować będzie.

4. Obaczy się, Jako w Maszkary iedna Figura ubrana będąc, tak kunsztownie a foremnie sposobem Włoskim tańcować będzie, że się ludzie kunszt miłujący ucieszą.
5. Obaczy się, Jako pięć Figur w Maszkary ubrane tańcuią, a na Hiszpański bębny bębni, a to wszystko barzo ucieszenie a foremnie.
6. Obaczy się, Jako w obudwuch rękach gołe szable Figury mając, piękny nowy taniec sposobem Charwatskim odprawować będą.
7. Obaczy się, Jako iedna Amorytyнка Fusą Hiszpańską ubrana, trzymając dwa Castanity w rękach, swoimi własnymi rękami się otwiera.
8. Obaczycie kunszt miłujący WM. MM. Pano wie, Jako piękna Kawallerya polować zwierz będą.
9. Obaczy się, Jako iedna Figura z ruśnice strzyla do sarny.
10. Obaczy się, Jako przyidzie Lew a z Niedzwiedzkiem będzie się bił.
11. Obaczy się, Jako iedna Figura połowa człowieka y konia przyidzie a ze Lwem się będzie biła.
12. Obaczy się, Jako Smok z wężem będą się bili.



13. Obaczy się też, Jako Turcy z chrześciany na Okrętach do siebie z dział strzylaia, a społem się biią, a to wszystko barzo kunsztownie a foremnie, czegoż tu w tych ziemiach niewidziano było.
- 

Kto takowe rzeczy chce widzieć, ma się pytać  
*Do pana Zamoiskego domu ostormi godzinie.*

*Ambr. Grabowski.*



KILKA WYDARTYCH I PRZEDARTYCH KARTEK

z dziełka nazwanego

**GÓRY I DOLINY**

przez

*P. Lu... z G.... Po.....*



Wiem czy jest kto w świecie, coby obojętnie bez silnego wrażenia, po raz pierwszy ujrzał Wenecyą. Byron nazwał ją zwaliskiem, Jerzy Sand w swych wieszczych marzeniach, nie może myśli od niej oderwać. Obraz Wenecyi prawie w jęj wszystkich powtarza się romansach, bo téż wszystko tam się romansem wydaje. Zacząwszy od tych opustoszałych pałaców, przeglądających się w wodzie o stopy ich bijącej, co się zdają obliczać w tém zwierciadle jeszcze im pozostałe dawnych bogactw szczątki i z ostatniemi żegnać się dumy zabytkami, aż do skromnej żalobą pokrytej gondoli, co się cicho w pośród nich

śliznie, wszystko tam tchnie poezią, wszystko szczególniejszą a uroczą nosi cechę.

Ogólném jest mniemaniem, że Wenecya jest smutną. Temu i przyznać i zaprzeczyć można. Smutną jest, bo do marzenia pobudza, a marzenie rzadko wesołości skutkiem. Smutną jest, bo obudza wspomnienia przeszłości wspaniałej, dumnej a znikłej, bo o znikomości wszystkich i największych mamideł świata głośno przemawia. Smutną jest, wreszcie, bo jakby swą przeszłość oplakując, cała się żałobą okryła, a obojętne nawet oko wszędzie jej napotyka barwę. Lecz ogólne wrażenie, materialnego że tak rzekę, miasta, bynajmniej nie smutne. Owszem, ten błękit nieba, co w wodzie się powtarzając, jakby do koła nad głową i pod nogami otaczał, wzrok objaśnia i rodzi jakąś wesołość w duszy, lud pełen życia, rzeski i hoży, wszelką odgania ponurość, a do tego powietrze włoskie!..

O włoskie powietrze! kto niém nie odetchnął, kto nie czuł swych piersi nową jakąś wzdętych lubością, uczuciem przedtém nieznaném, którego odgadnąć, a tém mniej opisać nie można, ten nigdy twój władzy nie pojmie! W niém po niejakiem czasie życie staje się rozkoszą, samo oddychanie rodzajem szczęścia. Tam się dopiéro poznaje ta obojętność Neapolitańskich Lazaronich, ta ich zadziwiająca filozofia, kiedy wszelkich zrzekając się trudów i pracy, niepomni wczorajszej nędzy, o jutro

niedbali, ze spokojną myślą leżą dni całe w cieniu ulic, lub na brzegach morza, i swém życiem bez celu, bez zajęcia, bez przyszłości, całkiem szczęśliwi! Pod włoskiem niebem umysł każdego coraz staje się lżejszy, przejrystszy, myśl jakby kto skrzydła jój przypiął, coraz wyżej wzlata, dusza w miękkim zadowoleniu, wzdyma się, rozszerza, wszelkie poroży światła ogarnia, niemi napawa, przesięka, jednoczy się z niemi... O cóż dziwnego, że tam się artyści rodzą, cóż dziwnego, że tam kobiety samą miłością żyją? i jakaż to miłość być musi! Pewna jestem, że gdyby która z nas, w największym swój namiętności szale, pożyczyla im swego serca, oneby go w letargu mniemały.

Ale dla upojenia się tém nektarowem powietrzem, dla doznania jego własności, trzeba, jak mówiłam, pewnego czasu. Gdym przybyła do Wenecyi 14 sierpnia, zatrute było ono wiatrem zwanym Sirocco. Wówczas każdy mdły wzrok w koło siebie tocząc, pot z czoła ociera, a na każde żądanie odpowiada: Teraz niepodobna, bo Sirocco wieje.

Przybyłam tam w samo południe w największy upał. Wsiadłam w hotelu Europy, poleconym mi za najlepszy. Morze wówczas wzbierało; z licznych u wejścia wschodów, większa część zalana była. Nie obeznana jeszcze ze sposobem wylądowania w ta-



kim zdarzeniu, całą suknią i nogi wyżej kostek niezgrabnie zamoczyłam.

Hotel Europy, jak wszystkie teraz w Wenecyi najemne domy, z arystokratycznego przerobiony pałacu, jeszcze dawnego przeznaczenia niektóre zachował szczątki, i tak jak w terażniejszych czasach, nieraz się zdarzy napotkać wielkiego pana sypiącego złotem, któremu z pod dumnie podniesionej głowy, coś gminnego przebija, tak przeciwnie Europy hotel do zajezdnego niżony domu, pańskiego czyni wrażenie pałacu. Każdy z żalem widzi na jego czole szyld zamiast herbu, napis dzisiejszy zamiast dawnego. Dawniej bowiem pod herbową tarczą czytano tam: *Palazzo Justyniani*, bo w dawniej Wenecyi, każdy pałac, swego właściciela herbem i imieniem był naznaczony.

Wszedłszy do ogromnej, marmurem wysłanej sieni, wskazano mi wspaniałe marmurowe wschody. Lecz gdy dwa i trzy piętra niemi przebiegłam, oświadczyłam, iż tak wysoko mieszkać nie życzę sobie, bo mię wschody tchu pozbawiają. Zdziwił się kelner. Mówił, że każdy woli wyższe niż niższe piętro. Później dopiero domyśliłam się przyczyny tego wyboru. Jestto odór siarką przesiąkniętej lagunowej wody, którego wielu zniesić nie może, i woli być dalej od tych wyziewów. Kelner zaś nie chcąc wyjawiać wad swej stolicy, utrzymywał, że to dla widoku.

Otworzył mi wprawdzie owalny salonik, cały dawnymi przysuty ozdobami, w którym pani Pompadour u siebie by się mniemała; z niego widok na wielki kanał (il canal grande) szerzący się w tém miejscu, cudny, zachwycający. Naprzeciw, w samym środku tej zwierciadlanej przestrzeni, błękitem odbijającego się nieba ubarwionej, wznosi się gmach wspaniały, acz tegoczesny, w zupełnie odmiennym od innych tam smaku, z lekkim posągiem fortuny, jedną nogą tykającą się ledwie kuli, na której stoi u szczytu! Jestto komora celna, staniem teraźniejszego rządu postawiona.

Na lewo także w środku morza, kopuła pysznój świątyni na kolumnach wsparta, w wodzie się przegląda. Jestto S<sup>ro</sup> Piotra i Pawła kościół. Jeszcze bardziej na lewo zieleniące się drzewami brzegi, rzecz nader w Wenecyi rzadka. Są to ogrody publiczne, chwilowego Napoleona panowania, wieczna pamiątka. Wprost między komorą a kościołem S. Piotra, oko ginie na ciemnych słońcem pobłyskujących morza falach, w wielkiem dopiero oddaleniu o brzegi Lido, mdle się opierając. Spuściwszy zaś wzrok, spostrzega się mrowisko czarnych gondolek, czatujących przy brzegu na passażerów, dalej cały las okrętowych masztów, lub skrzydlatych żagli, w pośród których krocie uwija się majtków. Taki był pierwszy obraz, jaki ujrzałam w Wenecyi!

Dwóch najprzód rzeczy trzeba się nauczyć w Wenecyi. Jakim sposobem podczas przybiérającego morza, kiedy zaleje wschody domów i na drzwi już wchodzi, wyskoczyć suchą nogą z łodzi, i w jaki sposób do gondoli wsiadać.

Pokrycie gondoli jest tak niskie i tak ciasne, iżby prawie niepodobna przodem wszedłszy, w niej się dopiero obrócić. Trzeba więc dobrze się zgiąwszy wchodzić tyłem, i to tém staranniej pamiętać o tém, iż gondolier ztąd czyni wnioski, czy cudzoziemiec, którego przewozi, oddawna już gondolami jeździ, czyli świeżo do Wenecyi przybył; a w ostatnim razie zamiast 10 centymów (5 groszy polskich) taryflą przepisanych, wymaga franków 5, to jest złotych ośm. To da miarę sumiennosci Włochów względem obcych, i różnicy jaka tam w cenach dla nich istnieje. Ztąd to jedni utrzymują, że Wenecya niesłychanie droga, a drudzy, że nadzwyczaj tania.

Pudło w pogodę na żądanie zdejmują; gondole wytworniejsze mają na zmianę rodzaj baldachinu drylichowego, podobnego do tych, jakie u nas naśladując markizy, przed gankami na wsiach czasem robią, co daleko ładniej, niż te czarne kirem pokryte budki wygląda, lecz krajowcy przekładają pierwsze.

Gondola jak wewnątrz tak i zewnątrz jest całkiem czarna. Sofka do koła budki, gdzie dwie

osób wygodnie, a cztery z biedą pomieścić się może, czarną skurą obita, ściany czarno lakierowane mają dla ozdoby girlandkę białą malowaną (\*). Wsiadłszy w nią nikt nie wątpi, iż dla intryg miłośnych lub zbrodni stworzona; lecz wszystkie o stroju gondolierów tak malowniczo nam przedstawiane opisy, te śpiewy uroczne, w których jedni drugim, jakoby podawali sobie strofy z Tassa, wszystko to do romansów jedynie należy. Może dawniej, za czasów Rzeczypospolitej tak bywało. Teraz, lubo lud z natury wesół, śpiewać jednak przestał. Gondolier każdy po swojemu, najczęściej jednak w łachmanach, lekko odziany, z rękawami od koszuli wyżej łokcia podwinionymi, z czerwoną grecką czapeczką, malowniczą ma wprawdzie postać, bo go takim Bóg stworzył. Każde jego poruszenie żwawe, sprężyste, dobitne, oko czarne, płeć spalona, włosy w kędziarach wiatrem rozwiewane, wszystko razem tworzy obraz, przed którym zapewne każdy artysta w zadumieniu stanie, lecz gdy na żądanie nasze który zaśpiewał, nie było co słuchać, i daleko miłszy był uchu ich słodki dya-

(\*) Gdy w dawnych czasach, coraz wzmagający się nieznanym gdzieindziej przepych, do najwyższego we wszelkich szczegółach dochodził stopnia, a dochody kraju już się zmniejszały i ku schyłkowi wszystko się miało, najwyższa Rada *Somptuarna* ogłosiła prawo, w skutek czego gondole i kobiety czarny obraty kolor. Atoli teraz gondole tylko wiernie swej dochowują żaloby.



lekt, gdy przy spotkaniu kilka między sobą słów zamienili, lub do brzegu przybijając o miejsce dla swój gondoli wołali.

Czasem wprawdzie wśród nocy usłyszeć się dało na mijającym statku jaką muzykę, jakieś śpiewy, jakieś serenady; piękne to było, lecz to nie weneckie gondolierzy, tylko przybyli z innych krajów majtkowie śpiewali. Pod memi zaś oknami, gdzie była stacya gondolów i gondolierów zawsze gromada, jeden tylko już stary, gdy się upił, wyśpiewywał swe narodowe barkarolle, a między innymi tyle nam znaną *la biondina in gondoletta*, i cudnym zupełnie właściwym wyrazem mnie zachwycił. Inni mu nawet nigdy nie wtórowali.

Po piękności mężczyzn, pierwsza rzecz co w Wenecyi uderza, jest nadzwyczajna brzydkość kobiet z pospólstwa. Jeżeli się napotka jaka piękna twarz, to pewno w latach 18 lub 20, i to jeszcze opuszczenie w ubiorze do najwyższego posunięte stopnia, włosy nieuczesane, najeżone, suknia wązka, ciasna, nigdzie należycie nie spięta, nie świeża, samą młodości ujmują wdzięku. Lecz około trzydziestego roku cóż to za szkaradne robią się z nich baby! Tylko czarownice, jakich w kolebce przy opowiadaniach nianiek, w dziecięcej wyobraźni utworzyliśmy straszliwy obraz, mogą im wyrównać.

Narodowego charakterycznego stroju, nie widać tam wcale. Wszystkie kobiety tak niby ubrane jak u nas po kawiarniach małych miasteczek, brudne dziewczęta i gospodynie. Do kościoła w święta mieszkarki zarzucają wprawdzie na głowę wual czarny, jestto jeszcze jedyna rzecz jaką z dawnego swego zachowały ubioru. Lecz i z pod téj zastony, która bynajmniej nie szkodzi piękności, rzadko piękne dadzą się spostrzedz rysy.

W hotelu Europy, śniadać tylko można było u siebie, lecz na obiad o godzinie czwartej, na odgłos dzwonu, wszyscy musieli się schodzić do jadalnej sali. Mimo méj nienawiści do *table d'hote* i ofiary jakie zwykłam po hotelach czynić, płacenia drugie tyle dla uwolnienia się od tego ogólnego stołu, tam musiałam poddać się zwyczajowi. Żadna bowiem ofiara, nawet wymówka słabością mi nie posłużyła.

Wszystkie w Wenecyi domy, mają na każdym piętrze, najczęściej w środku, czasem na boku, dużą salę, całą ich szerokość wskroś przecinającą. Ta sala oświetlona od ulicy rzędem długich od sufitu do podłogi okien, najczęściej gotyckiego stylu, tak między sobą zbliżonych jakby w szklarni, wysłana jest marmurem i daje do innych pokoi wejście. W niej to gdy drzwi przeciwne otwarte i powietrze przeciąga, w wielkie upały jedynie oddychać można.

W takiej sali w hotelu Europy, stał długi stół na pięćdziesiąt zasłany osób. Okna były otwarte, na stole przy każdej karafce, czarka z lodem stała, lecz dla niektórych co się lękali ciągów, drzwi musiano zamykać. Obiad, lubo w porównaniu z niemieckimi obiadami nie zbyt obfity, trwał najmniej godzin dwie. Przy deserze sala już się gorącej łaźni równała, termometr by pewno wyżej 30 stopni wskazywał. Ledwo można było odetchnąć. Dla mnie było to męczarnią i chorobą.

Tam wszystkie się naturalnie spotykały narody; dziwnym trafem brakło wówczas tylko Polaków. Od końca gdzie dla mnie i méj towarzyszki naznaczono miejsce, zasiadała bardzo liczna familia Rosyjska. Były to dwie siostry wysokiego urodzenia, jedna z Kazania, druga z Petersburga, które już od lat kilku we Włoszech z dziećmi i krewnymi przebywały. Pierwsza wybierała się napowrót do Kazania, druga z dwoma dorosłemi córkami miała zimę w Wenecyi przepędzić. Obie dobrze wychowane i grzeczne, a mianowicie ostatnia pani J...off bardzo miła osoba.

Obok nich siedziało francuzkie grono. Był to, jak się później dowiedziałam, architekt, człowiek już nie młody z żoną i drugą nieco młodszą damą. Architekt z żoną obleciawszy całą Europę, poznawszy wszystkie kraje i morza: Bałtyckie, Czarne i Środkowe, wracał do ukochanego Paryża; druga

zaś dama, którą z razu mniemałam ich córką lub siostrą, zupełnie im była obcą. Poznali się w Rzymie, razem z Rzymu do Wenecyi przybyli, lecz tam się rozstać mieli z sobą.

Przez dwie godzin codziennie patrząc na siebie, niepodobna w końcu kilka słów niezamienić. Pani J....off z kąd inąd uwiadomiona kto jestem, i dla czego przybyłam, a obeznana z Wenecją i właśnie szukająca dla siebie na zimę mieszkania, ofiarowała się i mnie ulokować w sposób dogodniejszy i tańszy niż w hotelu, a nie przestając, jak to najczęściej bywa, na słowach, całkiem się mną zajęła. Pan Schale architekt, poznawszy, jak twierdził, z méj mowy, że byłam w Paryżu, nie mógł się oprzeć chęci rozpoczęcia zemną rozmowy. Ztąd przy drugim lub trzecim obiedzie, w naszym kącie ciągle i nieustannie toczyły się wspólne rozprawy, a gdy wstawszy, każdy co prędzej biegł na balkon dla uchwycenia powietrza, tam się one jeszcze przedłużały.

Dla mnie przedmioty łatwo się nasuwały, od pani J....off uczyłam się poznać Wenecją, od pana Schale Rzym, gdzie miałam zamiar po lagunowych kąpielach przepędzenia kilku miesięcy. Lecz pani Serval, owa druga Francuzka, od której nikt z nas nie miał nic do nauczenia się, rzadko znalazła sposobność rozwinięcia swego gustu i narodowego talentu do rozmowy i opowiadania. Najczęściej się



określać musiała na ubolewaniu nad nieszczęsnym Sirocco, który niedozwalał zwiedzania ciekawości miejscowych, i niesłychanej ztąd nudy. W końcu jakby z rozpacy podała myśl, iżby przez całe tego wiatru trwanie, każdy z nas kolejno po obiedzie opowiedział jakieś prawdziwe swoje, lub przynajmniej z kraju swego wydarzenie. Myśl ta, która zawierała potajemną nadzieję niejakiego objaśnienia przeszłości, zawsze ciekawej, w tego rodzaju znajomościach została przyjętą. Los miał oznaczyć kolej opowiadania. Ja nieszczęściem wyciągnęłam pierwszy węzełek, pani Serval drugi, inni dalsze numera. Obiecałam moją powieść na dzień następny, a w duchu przyrzekałam sobie jak najkrótszą wynaleść, by co prędzej ustąpić pola méj następczyni.

Nazajutrz rano, gdy do obiadu jeszcze daleko było, lubo wiatr wiał jak zwykle, lecz słońce cokolwiek się chmurami pokryło, i zdało mi się, że bez przepalenia mózgu, będę mogła parę uliczek przebieść; zachciało mi się mszy św. wysłuchać, i kazałam się do najbliższego zaprowadzić kościoła.

Wielu mniema, iż w Wenecyi nie można kroku bez gondoli stąpić, że tam nogi swój zapominają władzy; z romansowych opisów takby istotnie wnosić należało, gdy tymczasem *w prozaicznej* prawdziwie, rzeczy się zupełnie inaczej mają.

Każdy pałac wenecki, którego wschody a czasem sieni od frontu morzem zalana, gdy na ujściu dwóch kanałów stoi, to i boki w nich kąpie, ma od tyłu na stały ląd wyjście na uliczkę, tragetto, (przejście *passage*) tam zwane, po krakowsku mówiąc, przecznice, takie któreby raczej kurytarzami zwać należało, tak ciasne, iż we dwie osób przejść trudno, a wyminąć się z drugą parą niepodobna, krzyżują się na wszystkie strony, i jakby jaką siecią pokrywają te 70 wysepek, na których spoczywa Wenecya, a dotykając do szerszych nieco uliczek, podwórków, dziedzińców, to *calle*, to *corte* lub *campo* zwanych, połączone krociami małych mostków, rzuconych na krzyżujące się także na wszystkie strony kanały, pozwalają prawie całe miasto, to jest te siedmdziesiąt połączonych miast, suchą przejść nogą. (\*)

Ale Wenecyanie chodzić nie lubią, chodzą tylko z musu, z biędzy, a z rozkoszy statkami pływają, woda tak zdaje się ich żywiołem, jak laguny ojczyzną.

(\*) Uliczek takich liczy Wenecya 2108, kanałów prócz dwóch dużych głównych, ma 147, a mostków 306, które wszystkie z marmuru lub ciosowego kamienia. Miasto podzielone na 6 części, dla swój liczby *sestieri* zwanemi, liczy domów i pałaców 27.918, a mieszkańców około 120.000. Szczęśliwi się tem, iż nigdy ani szturmem, ani oblężeniem zdobyć go nie zdołano.

I w rzeczy samej pieszy spacer po Wenecyi, jest daleko bardziej utrudzający niż przyjemny. Prócz tego, iż nader drogę przedłuża, bo miasto wężem się wiję, a ztąd z jednego punktu do drugiego daleko króćiej kanałem wprost linią przeciąć, niż iść do koła; w dzień te traghetti, corte, calle, od rozgrzanych słońcem murów i lizów, któremi wyłożone, rozpalonemu do pieczywa pieca w stopniach ciepła nie ustępują, odetchnąć w nich trudno; wieczór przepelnione ludem, który, jak mówiłam, przy księżycu żyć dopiero zaczyna, przecisnąć się w nich prawie niepodobna, a nadto co kilka kroków napotykanę mostki, więcej jeszcze niż to wszystko utrudzają i męczą. Mostki te bowiem dla żeglujących pod nimi bardzo wywyższone, po kilka wysokich wschodów z obu stron mają, a te ciągłe wchodzenie i schodzenie nieznośnym się wkrótce stanie. Mówiono mi, iż w zimie, gdy czasami śnieg spadnie, a mróz czy przymrozek go ściśnie, schody te stają się największych przypadków przyczyną.

Lecz z hotelu Europy, domyślałam się, iż niedaleko do kościoła być musi; ciągły prawie bez przerwy dzwonów odgłos, który nie nawykłemu do nich dniem i nocą w uszach tętni, dostatecznym był dowodem.

Istotnie Wenecya tak jest przepelniona kościołami, iż ludność im nie wystarcza, a lubo najczęściej

puste i mszy rzadkie, co dowodzi małą ilości księży, niemiłosiernie w nich bez przestanku dzwonią. Mnie zaprowadzono do najgłówniejszego, do tyle słynnego kościoła Ś. Marka.

Gdym wyszła tylnymi z domu drzwiami, znalazłam się w jednej z tych ciasnych, dusznych, posępnych przecznicy, brak miejsca i gruntu dowodzących. Przyspieszyłam kroku, by ją prędzej przeminąć, a w końcu jej, ujrzałam o parę łokci szerszą uliczkę; w niej więcej powietrza i jasności, a po obu stronach szereg sklepów i w sposób paryżki porozwieszane towary. Druga podobnaż na lewo, doprowadziła mię do rodzaju perystylu czyli przedsiönka na arkadach i kolumnach wspartego, którym się na plac Ś. Marka wchodzi. Wejście to przypomniało mi nadzwyczaj podobnież w paryżkim Palais Royal, jakoż się dowiedziałam, że jest na wzór tamtego, z rozkazu Cesarza Napoleona wzniesione, równie jak i część gmachów tworzących czwarty bok placu, a który także Palais Royal nazwać kazał.

Przed rokiem 1809, gdzie tam ujrzano orła, który w szybkim przelocie nie jedną w Wenecyi, jak i w całej prawie Europie, zostawił pamiątkę, plac Ś. Marka z dwóch stron symetrycznie wspieranymi zabudowany gmachy, w głębi świątynia Ś. Marka, zamknięty z czwartej strony, niewdzięcznie jak sobie wyobrażam, kończył się kościołem



nieznanego u nas Świętego Geminiona. Ten lubo San-sowina ozdobiony dłutem (którego zwłoki w przy-ległej spoczywały kaplicy, właśnie w miejscu gdzie teraz wzmiankowany przedsionek) nie musiał bar-dzo pysznie naprzeciw Bazyliki S. Marka wyglądać.

W dawniejszych jeszcze czasach, plac ten kończył się z téj strony kanałem, który później dla uzy-skania nieco miejsca zasypać kazano. Teraz jest czworoboczny, o niemal drugie tyle długi jak sze-roki; u nas i w innych *ładowskich* miastach, wyglą-dałby wcale nie duży, lecz w Wenecyi za ogromny uchodzi, bo tam jest największym.

Dwa jego długie ramiona, nieco odmienne, na pierwszy rzut oka zupełnie podobne do siebie się wydają. Wszystkie mają od dołu pod arkadami kryte galerye, w których ozdobne sklepy i wielka liczba kawiarni i cukierniów, wszystko razem dość do Paryzkiego Palais Royal podobne. Od góry dwa rzędy jedne nad drugimi, długich zbliżonych mię-dzy sobą w łuk zakończonych okien.

Lewa strona tych gmachów, teraz w rozmaite przeszła ręce, była niegdyś własnością wielkich urzędników Rzeczypospolitej, Prokuratorami zwa-nych, i ztąd nosi jeszcze dawniejszą nazwę *Procu-ratie vecchie*. Przeciwległe zaś galerye z późniejszej daty dla odróżnienia zowią *procuratie nuove*. Podo-bneż trzeciej strony sklepienia, jako najpóźniejsze nazywają *nuova fabbrica*. Ta część przeciwległa

Ś. Marka, królewskim jak mówiłam pałacem (Palais Royal) ochrzczona, jest rezydencją Monarchy lub Książąt z krwi jego, gdy przebywają w Wenecyi.

Wprost przed Kościołem Ś. Marka stoją trzy wysokie maszty. Na nich powiewały niegdyś trzy weneckie chorągwie, na pamiątkę jej potęgi rozciągającej się na Królestwa Cypru, Kandy i Morei. Podstawy tych masztów ozdobione rzezbami, przedstawiają rozmaitych bożków morskich.

Na lewo wielka budowa kończąca *procuratie Vecchie* zwana, *Wieżą zégara*. Wieża ta z bramą, wejście do ciasnej bocznej uliczki, marmurem i brązem ozdobiona, mieści na szczycie zégar, ze skrzydlatemi z ciemnego spiżu figurkami, *czas* i *śmierć*, z dwóch stron dużego podobnegoż dzwonu stojące. Ten skrzydlaty *czas*, ta sroga *śmierć* co kwadrans uderzeniem młota w dzwon, przypominają: pierwszy że już bez powrotu uleciał, druga: że o tyle się zbliżyła o ile tamten ustąpił.

Ta mechaniczna sztuka po raz pierwszy w roku 1499 zrobiona, później zepsuta i dopiero w r. 1755 przez sławnego Ferrocina naprawiona, była mu 8,500 dukatów zapłaconą.

Na prawo dzwonnica Ś. Marka, piękna i nadzwyczaj wysoka, z której ciekawi idą oglądać obszerny widok na miasto, Alpy i Adryatyckie morze. U stóp jej mała i ładna budowa płaskorzezbami i posąga-

mi ozobiona. Była to loża w której za czasów Rzeczypospolitej, prokurator dowodzący gwardyą, podczas zbiorów wielkiej Rady Państwa, miał powinność czuwać nad jej bezpieczeństwem.

Za dzwonicą postrzega się ukosem część pałacu Dożów, stojącego na małym placyku *la Piazzeto* zwanym, który to placyk jest jakby odnogą wielkiego S. Marka placu.

Lecz na inną chwilę odłożyłam rozbiór pałacu i piazzety, bo wówczas całą uwagę na bazylikę S. Marka zwrócić musiałam, i czułam iżby trudno było zaraz ją ztamtąd oderwać.

Świątynia ta nim uderzy pięknnością, piérwój jeszcze dziwacznością zadziwia. Niema ona w swiecie podobnej sobie współzalatniczki, i nic w architekturze nie istnieje, coby w porównanie z nią iść mogło. Żadna ze sławnych katedr jakie widziałam w naturze, rysunku, lub w opisach, w najodleglejszy sposób weneckiej nieprzypomina. Jestto piękna kobiéta słynna wdziękami i bogactwy, która w pewności że jej wszystko ujdzie, wdziała zawój turecki na czoło, a krzyż Chrystusa na piersi, nie wątpiąc że jej i tak pięknie będzie. Jestto utwor śmiałego kaprysu, co jakby z dzisiejszej szkoły poeta, wzgardziwszy wszystkimi sztuki prawdziwami chce dowieść, że i bez nich można podziw i uwielbienie obudzać.

Jak Wenecya jest w świecie jedna, tak i jój Katedra jest jedyną; którażby naprzykład śmiała nad głównym wejściem, zamiast krzyża, lub innego wiary naszej godła, postawić cztery konie?

Już to w całej Wenecyi daje się postrzegać ta jej dawna duma. We wszystkich budowlach nigdzie niema dla przepisów poddaństwa, nigdzie jedności porządku, czystości stylu. Wszędzie obok mieszaniny wszelkich architektury prawideł, nadzwyczajny przepych snycerstwa, przesycający zbytek ozdób, częstokroć swą obfitością samym sobie szkodzących, a przez to wszystko jakaś skłonność do orientalizmu się przebija.

Obok tych kilku środkowych w każdym domu okien, do oświetlenia głównej sali (bez której jak się zdaje żyćby nie mogli) okien długich, jak w szklarni zcieśnionych, z balkonem, najczęściej gotyckiego stylu, tuż zaraz pod niemi, jońskie, doryckie, lub kręcone arabskie kolumny, a ozdoby z wieku odrodzenia często pomieszane z byzantyńskim, sielskim albo lombardzkim smakiem. Ta cała mieszanina, która z razu może nie jednego *purystę* — *architekta* Grecyi lub Rzymu wychowańca, zraziła oko, nosi jednak swój właściwy, a może niepośledni charakter. Należałoby ją nazwać stylem weneckim, tém bardziej, iż to same zuchwałstwo, które dało pomysł wzniesienia wspaniałego z głębi morza miasta, i tę zuchwałą utworzy-



ło architekturę jój pałaców; że ta zarozumiałość ta w sobie ufna дума, która z kilku wygnańczych lepianek, stopniowo zrodziła ową do dziś dnia podziwianą Wenecyą, z kilku Zampów, Zbogarów Fra-diawolów z ludzkiego wypchniętych społeczeństwa, dziwny naród, co bez gruntu, bez kraju, innym później krajom przepisywał prawa (\*), też mówię harda zarozumiałość, nigdy nie przyjmująca wzorów, brzydząca się naśladownictwem, w swój architekturze jak i we wszystkim jest jedyną i samoistną.

W kościele S. Marka toż samo się objawia. Front jego z czterech, w dwóch rzędach kopuł (naprzód trzy za niemi czwarta), łączy grecką z arabską architekturą. Jestto dzieło nie jednej ręki i nie jednego wieku. Żadnej tam nietrzeba szukać jedności.

Nad głównemi drzwiami, które w pośród ogromnej ilości marmurowych kolumn, czarną w głębi wiejącą zasłoną, nietylko oko, ale kroki nawet zrazu wstrzymują, stoją owe cztery sławne brązowe konie, sławne starożytnością, sławne wędrowkami swemi. W roku 1205 zdjęte z Carogrodzkiego Hippodromu i ofiarowane Wenecyi, przez jój w Konstantynopolu Padestę Marina Zeno, w r. 1797,

(\*) Wenecya wzięła początek od kilku zbrodniarzy, którzy na wieczne skazani wygnanie, ze wszystkich wypychani krajów, schronili się w końcu na błota, w odludne adryatyckich bagien pustynie.

drugą zwyciężką ręką zdjęte z Świętego Marka Bazyliki i do Paryża posłane, podobnąż koleją z Tuile-ryjskiej zeszyły tryumfalnej bramy, a w 1815 roku na poprzednie wróciły miejsce. Początek ich nie-wiadomy, lecz gdyby wierzyć badaczom starożytnych zabytków, mają wedle jednych mieć pochodzenie rzymskie z czasów Nerona: według innych są dzie-łem greckim z wyspy Chio, przeniesione do Cara-grodu w piątym stóleciu, z rozkazu Teodozjusza. Mimo lat tylu znać na nich jeszcze reszty pozłoty.

Z obu stron drzwi głównych, czworo podo-bnychże drzwi spiżowych, nad któremi rodzaj kapliczek czyli ostrołukowych framug z mozajkowemi obrazami; wszędzie marmur, wszędzie bogactwa, przepych.

Gmach ten prócz głównej od gmachu Ś. Marka facyaty, tak z prawego jako i z lewego boku, ma dwie osobne zupełnie inne. Na nich między nie-skończoną ilością rzeźb i ozdób wszelkiego rodzaju, wszelkich narodów i czasów, widać i egipskie hieroglify i greckie bohaterzy, a nawet mitologiczne bożyszcza. Tu od strony Piazzeti zwróciła tylko co uwagę porfirowa rzeźba przedstawiająca Arysto-gitona i Harmodiusza zabójców ateńskiego Hippa-ha; tam z przeciwnej strony podziwiasz prześliczną Cererę na rzymskim tryumfalnym wozie smokami wiezioną.

Ta rozliczność połączonych, czyli raczej dziwnie zbliżonych przedmiotów, nagromadzonych bogactw bez względu na rodzaj, na miejsce, czyni wszelki opis prawie niepodobnym, który gdyby nawet najsumienniejsz dokonywany, nie dalby jeszcze dokładnego o całości téj świątyni wyobrażenia.

Toż samo i o jej wnętrzu powiedzieć można. Pan Quadri tegoczesny wenecki pisarz, całe temu poświęcił pracowite dzieło, a pilnie je przeczytawszy, unosi się tylko przekonanie, iż niezdola zastąpić jednego rzutu oka. Dość powiedzieć, że samych kolumn z marmuru, porfiru, serpentynu, malakitu, spiżu, alabastru orientalnego i innych, jest pięćset! Ze podłoga temi precyozami wysłana (na nieszczęście miejscami mocno już wydeptana), mury od góry do dołu mozaikami lub obrazami wielkich mistrzów pokryte. Ołtarze, pomniki i nagrobki, o które się trącać trzeba, tak ich tam pełno, ozdobne najpiękniejszymi posągami, rzeźbami, świecznikami ze złota lub srebra, z najdawniejszych jak i późniejszych czasów.

Świątynia ta mniej powinna być jako kościół, niż jako zbiór wszelkich rzeczypospolitój kosztownych zabytków, jako jéj skarbiec uważana; przez długi lat i wieków przeciąg, składano tam wszelkie jej zwycięzkie, czy to w kunsztach, czy to w bogactwach, lub inne zdobycze. Każdy Doża starał się czém bądź uwiecznić tam swego panowania pa-

mięć, co tłumaczy ten z razu niepojęty w katolickim kościele zbiór, to zbliżenie Chrystusa z Harmodyusza, Matki Boskiej z Cerery obrazem.

Przeszedłszy też dwa rzędy spiżowych podwoi, (bo między pięcią frontowymi drzwiami, a trzema temi co już do samego prowadzą kościoła, jest przestrzeń, rodzaj sieni pełnej ołtarzy, mozaik, posągów), przeszedłszy mówię téj wspaniałej bazyliki progi, można się raczej mniemać w greckiej cerkwi, niż w kościele wyznania rzymskiego. Nawa jak w cerkwiach od reszty kościoła odgradzona, a ten przedział, ta ściana pokryta bizantyńskiego gustu na złotym tle malowaniami, zupełnie obce naszym kościołom sprawia wrażenie.

Katedra Ś. Marka ma i swój skarbiec. Można z tego co w tém kościele dotąd pozostało wnosić, jakie bogactwa ten skarbiec posiadać musiał, lecz teraz już same w nim pozostały relikwie i relikwiarze. Widać iż złoto i srebro więcej niż te świętości znalazły amatorów.







Painted by P. P. Szymanowski

Engraved by J. Godey

*Pozegnanie Konrada z  
Megerą.*



POŻEGNANIE  
KONRADA Z MEDORA

WYJĄTEK  
Z POWIEŚCI LORDA BYRONA

KORSARZ

*przekładu Ant. Edw. Odynca.*

(Z ryciną).

---

..... **T**ak dumał w sobie, aż idąc ponury  
Doszedł do wieży na wierzchołku góry.  
Wstrzymał się u drzwi — głos się ozwał w ciszy,  
Głos, co choć często, zawsze on rad słyszy;  
I taką piosnkę posepnej czułości  
Nócił z za kraty jego ptak — piękności.  
„Żyje w mej duszy myśl — tajemnica,  
Drży mi na ustach, gore w spojrzeniu,  
Gdy obok ciebie patrzę w twe lica;  
I znów się w dawnym kryje milczeniu.“

„Jak lampa w grobie skryta przed okiem,  
Myśl ta w mem sercu błyska i tleje,  
Smutek jej blasku nie ćmi swym mrokiem,  
Choć sam jej blaskiem nie rozjaśnaje.“

„Przyjdź, gdy ja umrę, do mej mogiły,  
 Pomódl się za mnie, łzę wylej po mnie;  
 Tój tylko myśli znieść nie mam siły,  
 Że ty mój luby, zapomnisz o mnie! — “

„Nie wstyd jest płakać zeszytych ze świata.  
 Raz pierwszy proszę — łzy i wspomnienia,  
 Będzie to pierwsza, jedna zapłata,  
 Mojej miłości, mego cierpienia.“

Porwał się Konrad, pchnął drzwi i z pospiechem  
 Wszedł, — strony arfy brzmiały jeszcze echem,  
 „Smutna, Medoro, jest twoja ballada! — „  
 — „Chciałbyś wesolej, gdy niema Konrada?  
 Gdy ciebie nie ma, a żal miota duszą,  
 Tęskne się myśli w pieśniach zdradzić muszą.  
 Każdy ton, serca uczucia wydaje;  
 Lecz choć pieśń milczy, boleść nie ustaje. —  
 Ach! ileż nocy na bezsennem łożu,  
 Marzę jak we śnie o skałach, o morzu;  
 Zmierzcha — ja myślę że niebo się chmurzy,  
 Wiatr ledwo szemrze, mnie słyhać szum burzy;  
 Cóż gdy posępném odezwie się wyciem?  
 Zda się, że jęczy nad twojem rozbiciem.  
 Zrywam się, patrzę, czy stróże nie karni  
 Nie dali zgasnąć portowej latarni,  
 I o pogodę gwiazd pytam oczyma.  
 Nastął poranek — ciebie jeszcze niema —  
 Jak w tedy zimno na me serce wiało,  
 Jak przez łzy słońce mgliste się zdawało!  
 Patrzę i patrzę dzień cały — daremnie!  
 Konrad gdzieś jeszcze daleko odemnie.  
 Wreście — postrzegam maszt, okręt, tu płynął.  
 Witam go, czekam — zbliżył się — i minął.



Znów drugi — twój był — powróciles z boju.  
O mój Konradzie! mam — li w niepokoju  
Zawsze tak czekać? — nigdyż serca twego  
Nie ujmie powab szczęścia spokojnego?  
Masz dosyć skarbów — ach! więcej niż trzeba —  
Znajdziem kraj miłszy, pogodniejsze nieba,  
Pójdźmy! — o siebie wiesz że się nie boje —  
Lecz twoje szczęście — lecz ach! życie twoje!  
Dziwne twe serce! gdy dla mnie tak tkliwe,  
Tak srogie dla się, i tak nieszczęśliwe! — “  
— „Tak, moja luba; dziwne jest to serce.  
Zwiedli je zdrajcy, zelżyli oszczerce,  
Jak płaz zdeptane, lecz mści się jak zmija.  
Ludzie w nie wleli jad, co ich zabija.  
Bez żadnej ulgi na ziemi, prócz Ciebie,  
Ze mdłą nadzieją przebaczenia w niebie,  
W duszy się mojej tak wiąże i spleta  
Miłość dla Ciebie, z nienawiścią swiata,  
Że gdy się jedna, wraz druga ostudzi;  
Przestałbym ciebie, gdybym kochał ludzi.  
O to się nie bój! przeszłość moja cała  
Ręczy, że przyszłość nie będzie się chwiała.  
Lecz uzbrój serce — raz jeszcze, Medoro,  
Dziś — muszę jechać — ale wrócę skoro. — „  
— „Jechać! dziś jeszcze? — ach! jam to przeczuła.  
Tak znikły wszystkie sny com sobie snuła,  
Marząc o szczęściu! Lecz dziś? — być nie może.  
Łódź ledwo przyszła, masz znów iść na morze?  
Nie czekać drugiej? znużeni jej ludzie  
Muszą choć chwilę odpocząć po trudzie.  
Nie! ty, mój luby, chcesz przez to udanie  
Poznać, nauczyć, jak mam znieść rozstanie.  
Igrasz z mem sercem — ono ci wybaczy,  
Lecz z takich żartów blisko do rozpaczy. —

Milcz, milcz Konradzie! — nie jedziesz dziś — wierzę.  
 Pójdź dzielić ze mną twą skromną wieczerzę.  
 Nikt prócz mnie nie śmiał tknąć jej, ni zastawić.  
 Lekki trud wprawdzie ucztę ci przyprawić!  
 Owoc ten rwałam z najwyższego drzewa,  
 Im bliżej słońca tem prędzej dojrzewa.  
 Trzy razy górę obiegłam, nim w cieniu  
 Najświeższą wodę znalazłam w strumieniu.  
 Pójdź, niech cię sorbet orzeźwi po skwarze,  
 Patrz jak się iskrzy w kryształowej czarze.  
 Wina ty nigdy kosztować nie raczysz,  
 Drzysz jak muzulman, gdy puhar obaczysz;  
 Nie sądzę że ganię — o nie! — to mnie cieszy.  
 Że i w tém nawet różnisz się od rzeszy.  
 Lecz pójdź! stół gotów ja okna zastonię,  
 Srebrna ta ampa, patrz, jak jasno płonie.  
 Wezwę mych dziewic, niech zaczną w okolo  
 Lub rażny taniec, lub piosnkę wesolą.  
 Lubisz mą arfę — czy chcesz? — wnet nastroje;  
 Lub jeśli wolisz, będziemy oboje  
 Czytać z Aryosta Olimpij żale,  
 Gdy zdrajca spiącą zostawił na skale;  
 Po tobie jednak mnie byłoby smutniej,  
 Gdybyś dziś jechał zrobiłbyś okrutniej,  
 Okrutniej nawet niż Tezeusz zdrajny.  
 Wiem, ty się śmiejesz, gdy ci aryadny  
 Wyspę nie kiedy wskazuję z wysoka,  
 A mnie myśl smutna tży pędzi do oka:  
 Gdyby mnie kiedy Konrad tak porzucił? —  
 Ale ty lepszy, tyś do mnie powrócił.“ —  
 — „Wróciłem, luba, i powrócę znowu.  
 Zawierz miłości i Konrada słowu,  
 Wrócę, i rychło — lecz teraz już chyża  
 Chwila rozstania na skrzydłach się zbliża.

Gdzie, po co jadę? na co długie słowa,  
 Gdy je ma skończyć najgorsze: Bądź zdrowa.  
 Odkrylbym jednak — lecz już czas zbyt drogi.  
 Nie bój się, wcale nie straszne są wrogi.  
 Tu ci zostaje straż silna, podwójna,  
 Będiesz bezpieczna — o mnie bądź spokojna,  
 Nie baw samotną gdym ja oddalony,  
 Jadących zemną poruczam ci żony.  
 W tem miej pociechę, że po tem zwycięztwie  
 Nagrodę trudów znajdziem w bezpieczeństwie.  
 Styszysz! dźwięk trąbki? ha! łódź już gotowa.  
 Jeden wzrok, uścisk, — raz jeszcze — bądź zdrowa!

Lkając na szyi zawisła rękami,  
 Drżące w nim serce czuje pod ustami,  
 On nie śmiał podnieść, nie śmiał znieść widoku  
 Bładości w twarzy i rozpaczę w oku.  
 W całej dzikości bez ładnego wdzięku,  
 Włos jej po jego rozestał się rękę;  
 Stłumiony oddech i mdłe serca bicie,  
 Świadczą w niej tylko cierpienie i życie.  
 Zabrział huk dział — odjazdu godzina,  
 Słońce zachodzi — on słońce przeklina.  
 Strzał drugi, trzeci — ścisnął z uniesieniem  
 Niemą od żalu, proszącą milczeniem,  
 I drżącym krokiem zaniósł ją na łożę;  
 Spojrzał z rozpaczą — raz ostatni może.  
 Dreszcz przebiegł serce — uczuł że dla niego  
 Prócz niej na świecie nic niema milego,  
 Dotknął ust, zimne — spotkał wzrok, w półzgasty, —  
 Zwrócił się nagle — drzwi z łoskotem trzasty.

LISTEK

**Kochanka do swėj Mitej**

przy przesłaniu jėj jabłek,

z rękopismu Biblioteki Akademii Krakowskiej, z wieku XVI,

pod znakiem B. 66. 11. 21.



Jabkiem Jewa zgrzesała, jabkiem tułą dzieci.  
Jabkiem syć y zalotnik swėj mitej zaleci  
Przez ty jabka, cna Panno! uznawaj chęć moje.  
A bąć pewna że o twa przyjaśn szczyrze stoie.  
Tylko nie gardź, ani tess osoby ponizay,  
A mą wierną życziwość przeciwko sobie znay.





**FRANCUZI I FRANCUSZCZYŻNA**  
**NA DWORZE**  
**JANA KAZIMIERZA**  
**KRÓŁA POLSKIEGO.**

**POWIEŚĆ HISTORYCZNA**

przez

**Ludwika Paprockiego.**

WYSTAWA  
KRAJOWA  
PRACOWNI I PRACOWNI  
W DWORKU  
KRAJA POLSKIEGO

WYSTAWA  
KRAJOWA  
PRACOWNI I PRACOWNI  
W DWORKU  
KRAJA POLSKIEGO

# FRANCUZI I FRANCUSZCZYŻNA

NA DWORZE

JANA KAZIMIERZA

KRÓLA POLSKIEGO.

## I.



W bogatej komnacie królewskiego zamku w Warszawie, hojnie przybranéj w sprzęty gotowalni kobiécéj, przed dużem zwierciadłem weneckim w szyldkretowéj osadzie, siedziała miękko rozparta w aksamitném, złotą frędzlą upstrzoném rozłożystém krześle, poważna postawą acz nie wielkiego wzrostu, lecz uderzająca wyrazem troski i przebiegłości na twarzy matrona.

9\*

Była to Marya Ludwika Gonzaga, króla Jana Kazimierza małżonka.

Przy krześle stał filar marmurowy, a na nim oprawna w złoto czara w postaci smoka z jaspisowego kamienia, w której służebna niewiasta zanurzała bezustannie dużą gąbkę, i tą gładko ułożone na głowie włosy swój pani napawała obficie, rozlewając w około dojinującą woń piżma i innych zamorskich wonności.

Zatrudnienie to przerywała czasami, sięgając ręką już do kubka złotego w postaci pawia z rozstrzępionym ogonem, już do misternie wyrobionego pudełka w kształcie serca ze złota, strzałą koralową przebitego, i dobytymi z nich przyprawami, to barwiła i muskała brwi uległej swój pacjentki, to znowu przylepiała do twarzy kunsztownie wykrajane muszki z czarnej kitajki, które co chwila przenosiła od nosa do brody, od lewego do prawego policzka, w miarę jak zachodząc z przodu wprawuëm okiem oceniała efekt i przypadłość do twarzy tój uderzającej ozdoby.

Bez żadnej oznaki niecierpliwienia się, z zupełnem poddaniem się znosiła pacjentka te łoskotliwe i nie zawsze przyjemne poruszenia swej gotowlananej mistrzyni; owszem z wyrazu jej oblicza dawało się czytać, że myśl jej tak była daleką od chwili obecnej, takie władało nią roztargnienie, iż nawet nieobudziłoby jej uwagi drażliwsze nieró-



wnie obejście się, nad owe miękkie i usypiające dotknięcia rąk wprawnej oddawna służebnicy. Wzrok zatopiony głęboko, troską zorane czoło, ożywiło się wtenczas tylko wyrazem oczekiwania i niecierpliwości, gdy w stojącym na dużym okrągłym stole złocistym zegarze zaszeleściły koła, i zabrzmiał dźwięk trąbki, z biciem bębna zmieszanej, zwiastując ubiegłą godzinę.

Długo i przewlekle jednotonne powtarzały się dźwięki, ówczesne bowiem zegary, z Włoch powiększej części sprowadzane, obyczajem włoskim mierzyły dobę na godzin 24. Zdawało się, że rozbiegłe myśli królowej nie mogły na tak długie zdobyć się zastanowienie; bo nierychło przed ostatnim dźwiękiem, rzekła zniecierpliwiona:

— „Zobacz, Małgorzato, która to wybija godzinę?”

— „Dwódziesta czwarta,” odpowie służebnica, rzuciwszy wzrokiem na tarczę zegara.

— „I jeszcze niema Margrabiego, rzeknie do siebie Królowa zrywając się z krzesła i szybkim krokiem przebiegając komnatę. Gdy się tak przeciągają sejmowe obrady, źle to wróży mym planom. Smielizby pogardzać moją wolą i łaską uwalniając winowającą, którego ocalenie byłoby zgubą wszystkich tak drogo i pracowicie okupionych nadziei? Bież do mojej łoży w sali sejmowej, i powiedz Margrabiemu d'Arbeil, że go oczekuję bez

zwłoki, — rzeknie do swéj służebnicy, która pomknęła się ku drzwiom, — lecz te w téj chwili roz-  
twarły się szeroko i ukazała się w nich postać wy-  
smukła, której rysy wydatne lecz drobne, zama-  
szystą i nastrzępioną zawieszoną peruką, wyglądały  
jak wizerunek miniaturowy w ogromnych ramach.

— „Wiktorya! miłościwa Pani, Wiktorya!  
wołał zdyszany Francuz, jak tylko zobaczył Królo-  
wę. Na dobre wygraliśmy sprawę. Dekret infamii,  
wgnania i pozbawienia urzędów na pana  
Hetmana na Wiśniczu i Jarosławiu, hrabiego Je-  
rzego Lubo.....”

Zamilkł nagle, bo mu dłonią zamknęła usta  
Królowa, mówiąc do służebnicy:

— „Idź do komnat orszaku moich pańien, i po-  
wiedz, że przed udaniem się na królewskie pokoje,  
uwalniam je od dzisiejszego ceremoniału; ale bądź  
sama na zawołaniu.”

— „Ostrożność, Margrabio d'Arbeil, abyśmy  
nieetryumfowali zawcześnie, doda Królowa jak tyl-  
ko służebna opuściła komnatę. Wszakże wiesz, a  
wiesz głową i czujesz sercem, rzeknie z figlarnym  
uśmiechem, że w orszaku moich pańien znajduje  
się Magdalena Lubomirska, córka naszego nieprzy-  
jaciela. To uparte stworzenie gotowe powikłać  
nam plany, bo już nieraz słabość dla niej Króla  
oparła się mojej nad nim przewadze. Drzę nawet  
aby się nam niewyśliznęła ofiara. Jeżeli Król na-

tychmiast niepotwierdzi wyroku, nie łącno go będzie oddalić z stolicy, gdzie silna a tak groźna dla naszych zamysłów partya jego, tyle już nas naba-  
wiała kłopotów. Dziś, tak, dziś koniecznie, musi Marszałek Koronny wygnąć go z obrębu swój jurzydykeji, choćym miała użyć całych sprężyn mo-  
jej władzy nad Królem. Ale opowiedz mi, Margra-  
bio, co nam tak szczęśny zapewniło rezultat?"

— „Slizko bardzo postępowała sprawa; uwię-  
czona pomyslnym skutkiem zabiegłość Waszej Króle-  
wskiej Mości na przedsejmowych sejmikach, dozwala-  
ła nam z pewnością opierać się na większości obrady;  
lecz możnaż mieć silną podstawę w tym niesfornym  
narodzie? Omamiła ich niewinność pana Lubomir-  
skiego. Niewinność! jak gdyby nie był winnym,  
kto śmiał stawić zawady wielkim swój Królowej  
widokom? Wymownie bronił się obwiniony; nie  
jeździł do związkowej dywizji, żadną z nią niesko-  
jarzył się umową, lecz widział ją tylko trafem uda-  
jąc się w Sandomierskie. Proponowali mu wpra-  
wdzie związkowi elekcyą za życia Króla: przypadła  
do smaku propozycya dumnemu magnatowi; ale  
nieprzyjął elekcyi którąby zbrojno popierać trzeba,  
choć się nie zapierał, że jeśli woła jest, jak  
wieść niesie, Jego Królewskiej Mości rozestąć elek-  
cyjne uniwersaly, w zamiarze złożenia korony po  
obiorze nowego Króla, niezanie dba wystąpić jako  
kandydat, i cieszy się nadzieją, że obali intryg

francuzkich rynsztunek, które nam na tron Piastów, francuzkiego, jak się wyraził, prowadzą fireyka. Dodał w końcu, iż niewinność swą i bezpieczeństwo osoby, powierza prawości sejmu. Zachwiały się nasze nadzieje; ale przychylne nam głosy Arcybiskupa Kanclerza Prażmowskiego i pana Hetmana Wielkiego Potockiego, przeciągnęły niezycliwe zdania; inne głosy były ci, Pani, zaprzędane, a tak zdobyliśmy większość, która jedyne go zadeptała nam wroga. Dziś wszystko w tej krainie korzy się przed twą mądrością i władzą. Niezwlekaj, miłościwa Pani, dokonania nieśmiertelnego dzieła, a wielki Kondeusz zasiądzie na tronie tego królestwa, i wnet drugą ujrzymy tu Francją.”

— „Tak, odpowie Królowa, z uśmiechem zadowolonia, podlechtana trafném pochlebstwem dworzanina; mam niepłatną otuchę, zem już bliżką zakosztowania słodkiego owocu, którego dojrzałość obecna, tyle mię kosztuje zabiegów i starań. Ty wiesz jeden, Margrablo, boś ty jeden był zawsze najdzielniejszą moją sprężyną, jak gorliwie, od jak dawna zasiewam w tej dzikiej lecz potężnej krainie, zarody przyszłej dla mej ojczyzny wielkości. Zona dwóch Królów, mogłam przygotować uprawę roli, i potrafiłam rubasność obyczajów sarmackich nagiąć do manieri francuzkiej. Dziś dwór i szlachta Francją tylko oddycha, i nie wątpię, że najpóźniejsza potomność nie wytępi



francuszczyzny w tym kraju. Lecz to powodzenie jest tylko przewróconą skibą, którego dzisiejszy rezultat hojne zapowiada nam plony. Rozsypie się można partya Lubomirskiego, gdy ujrzy wygnan-  
cem swego patrona; wtenczas ostatni zadamy cios chwiejacj się jeszcze rezygnacyi Króla na abdykacyą, a sejm elekcyjny, wśród tak przygotowanych żywiółów, ostatecznie błogie uwieńczy nam dzieło. Niezanie dbujmy jednak żadnej, by najmniejszej okoliczności, zdolnej utorować przyjazny zamysłom naszym gościniec. Ten naród nieokrzesany, ale żywą i ognistą obdarzony jest wyobraźnią. Trzeba zaprzuczyć mu oczy, omamić go, zaćmić wystawą francuzkiej potęgi. Niech marzy o szczęściu posiadania Monarchy z krwi pannjacj dziś Francvi. Jak idą przygotowania nasze do wielkiego widowiska, któreśmy im zamierz yli wystawić?”

— „Wszystko już ukończ one. Przestronna i okazała acz na prędce wzniesiona budowa, stoi obok ratusza w tój stolicy. Sam czuвам i kosztów nieszczędzę, aby całość odznaczała się przepychem godnym wielkiego przedmiotu naszego. Czterech dni najwięcej potrzebujemy do ostatecznego przygotowania się. Jeżeli więc wola Waszej Królewskiej Mości, za cztery dni dwór cały i szlachtę w stolicy obecną na widowisko zaprosić możemy. Sam przedstawię Cesarza Niemieckiego, składającego berło w ręce wielkiego Ludwika, zwycięzcy Europy. Sło-

wem upewniam cię, miłościwa Królowo, że wspa-  
niałość przysposobionego widowiska, zdolną jest  
omamić i zaćmić stokroć kształtniejsze i wytwor-  
niejsze umysły, nad tę prostaczą szlachtę, która  
nie więcej niewidziała nad swe obszarpane klech-  
dy, zakowskie dyalogi i tany niedźwiedzie.”

— „Dzięki ci, kochany Margrabio; cóżbym po-  
częła bez ciebie? Tyś najszacowniejszym darem,  
jakim mię pocieszyła Opatrzność, obarczając mię  
trudnem dziełem spełnienia jej wyroków dla tej  
niewdzięcznej krainy. Lecz już dobijamy do portu.  
Kilka chwil cierpliwości, a stanowcze okrzyknie-  
my zwycięstwo: wtenczas Margrabia d'Arbeil sam  
oznaczy cenę wielkich swych zasług, choćby miał  
żądać całego złota, na którym się przewalają du-  
mni magnaci tej ziemi.“

To rzekłszy Królowa w głębokie wpadła roz-  
targnienie. Dusza nawykła do intryg, ambicyi i nie-  
pokojów, czyliż się zastanawiała nad perspektywą  
nieczynnej, ustronnej, a może nawet niewdzięczno-  
ścią zakłopotanej roli, gdy już skutek uwieńczy  
pełne trosk, pracowitego znoju i bezsenności życia  
całego zabiegi?

Francuz tymczasem kręcił się, podnosił i siadał  
znowu, tarł w rękę wielki kapelusz, otwierał usta  
i zamykał je z wyrazem niepewności, słowem, wi-  
docznie był pozerany żądzą korzystania z przychyl-  
nych usposobień Królowej dla swych skrytych wi-

doków, które usiłował w najkorzystniejszych przedstawić kolorach, nie śmiejąc lub nie mogąc zdobyć się na wyrażenia w delikatnym przedmiocie. Niezwykle dla gadatliwości francuzkiej milczenie, przebudziło z roztargnienia Królowę. Rzuciwszy wzrokiem na faworyta, rzecze doń przyjaźnie:

— „Cóż ci to, Margrabio, zdajesz się pozeranym jakąś niespokojnością. Jeżeli cię dojmuje zmartwienie, śmiało powierz je sercu tej, do której wdzięczności tak wielkie posiadasz prawa.”

Ośmielony tą dobrotliwością, ujął kapelusz pod pachę, przyklęknął na jedno kolano, i złożony ręce w błagalnej postawie, zawołał patetycznie:

— „Dobroć twa, miłościwa Królowo, wyrównywa twój wielkość. Oto u nóg twych błaga względów i pobłażania nieszczęśliwy, którego zranione serce, ty jedna, Pani, balsamem pociechy i ukojenia obdarzyć jesteś zdolną. Miłości mej dla panny Magdaleny Lubomirskiej raczyłaś już Pani faworyzować; lecz dotąd żadną nie mogę się pochłubić otuchą. W cóż się dziś obróćą moje nadzieje, gdy się dowie żem tak czynnie przykładał się do potępienia jej ojca? Już nie obojętność, lecz czeka mię jej nienawiść i wzgarda, a wtenczas śmierć tylko stanie się moim udziałem. Całą mą istność poświęcam, Pani, na twe usługi; rozrządzaj mną jak niewolnikiem, o tę jedną tylko błagam

nagrodę , bo ta jedna jest całą mojego życia podnietą i celem.”

— „Powstań, i bądź dobrej myśli, Margrabio; wszakże znasz przychyłość moją dla twej skłonności. W tej chwili nawet związek twój z panną Lubomirską sprzyjałby naszym widokom, bo podałby nam zręczność złagodzenia niekorzystnych wrażeń z powodu sprawy jej ojca. Z drugiej strony, odziedziczyłbyś ogromny majątek nieżyczliwego nam a dziś wygnanego magnata, i nowy zdobylibyśmy filar dla naszej sprawy w tym kraju. Ale wyznaję że wyczerpała wszystkie środki zjednania dla cię jej serca; niewiem co by jeszcze przedsięwziąć można? Zdaje mi się, że ją skryta pożera namiętność, domyśliłam się nawet jej przedmiotu; jestto jakiś dworzanin jej ojca, niski, lecz uświetniony rycerskimi dziełami pod Panem Wojewodą Ruskim szlachetka. Radź sobie, Margrabio; twój dowcip w tak bliskiej cię sprawie najlepiej ci usłużyć potrafi, a w każdym razie polegaj na mej przyjaźni i najczynniejszej pomocy.”

— „Czemże jest dowcip przed uporem serca kobiety? wyczerpały się już i spelzły wszystkie moje usiłowania. Dziś zostaje mi tylko kolej ostateczności: śmierć, albo środki przymusu, które zawsze zniewalają kobietę, gdy je prawdziwa miłość usprawiedliwia.”



— „Nierozumiem cię, Margrabio, przymus na moim dworze, z panną szlacheckiego rodu, mojej powierzoną opiece, teraz zwłaszcza, gdy sprawa jej ojca w tak delikatnym względem niej stawia mnie położeniu. To niepodobna!”

— „Czyż mniemasz Pani, że ojciec, pałający ku tobie całą zapalczewością nienawiści i zemsty, zostawi na twoim dworze swą córkę? Niewątpię że podzieli jego wygnanie i będzie dla mej miłości straconą na wieki. Zresztą, przysięgam ci, miłościwa Królowo, że dopóki ją swoją zaszczytasz opieką, żadnym zuchwałym krokiem nieobrazę przyzwrotności tego dworu. Zostaw mi tylko moc działania gdy opuści stolicę.”

— „Jakież są twoje plany?”

Francuz powstał, udał się ku drzwiom, otworzył je i obejrzał, potem zbliżając się do Królowej rzekł tajemniczo:

— „Znaną ci, miłościwa Pani, usłużność pana Muraszki, pokojowego dworzanina Jego Królewskiej Mości. Przemysłna gromada rzekich molojców w górach Święto-krzyskich, która już nieraz skrytym zamiarom naszym przydatną się stała, jest zawsze na jego zawołanie. W te strony właśnie uda się panna Lubomirska, jeżeli ją ojciec z dworu Waszjej Królewskiej Mości do swjej rodzinnej wyprawi siedziby. Pozwól mi, miłościwa Pani, upro-

wadzić ją do znanego mi ustronia, gdzie mam nadzieję przeświadczyć ją o méj miłości, wzruszyć niewdzięczne jój serce, słowem zniewolić siłą okoliczności do przyjęcia moich holdów i ręki, a tém samém jój i moje zapewnić uszczęśliwienie.”

— „Zbyt porywco chcesz działać, Margrabis, i nie wiem dla czego objawiasz mi swe plany, skoroś je ukartował na ten tylko przypadek, jeżeli ją ojciec uwiezie z mojego dworu. Wyznaję ci nawet, że serce moje wzbrania się od udziału w tak delikatnej sprawie. Inna rzecz gdy dla wielkich celów, małych, a może i niechwalebnych chwytny się środków... ale tu, gwałtowne uprowadzenie panny szlachtetnego rodu — tej która się moją zaszczycła opieką; nie, Margrabis, nie mogę cię upoważniać do tak nieprzyzwoitego postępku, lecz wyznaję zarazem, że wolałabym niewiedzieć o niczém, tak mié żywo obchodzi twoje uszczęśliwienie, i ubolewam nawet żeś mi swe zamysły wyjawil.”

To rzekłszy wlepiła wzrok w faworyta, jakby mu chciała dać wyczytać skrytości swych myśli, nie życząc sobie rozwodzić się w tak drażliwej materji. Francuz po długiej przerwie wahania się, rzekł głosem niepewnym i bojaźliwym:

— „Muraszka, w tym tylko jednym razie przyrzekł mi swą usłużność, jeśli posiędę i okażę znany mu pierścień Waszój Królewskiej Mości, który nawykł uważać za oznakę skrytego upoważnienia,

wyraźniej woli, twojej nawet, Pani, zasłony i protekcy w każdym zdarzeniu.

Zachmurzyła czoło Królowa z widoczną do przywiedzionych wspomnień niechęcią; zdawało się nawet, że obraziła się zuchwałością powiernika, bo szybkim krokiem przebiegała komnatę, szemrząc z goryczą i roztargnieniem niezrozumiałe wyrazy, jakby w natłoku niemiłych i dojmujących myśli, i żadnej na faworyta niezwracając uwagi; w końcu rzuciła się na krzesło i rzekła:

— „To być nie może; cóżby powiedziano gdyby się wyjawilo uczestnictwo moje w podobnej intrydze. Nie sądz atoli abym cię mojej pozbawić chciała opieki. Użyję wszelkich zabiegów i starań, wszystko na co pozwala me położenie przedsięwezmę, aby twym nadziejom dopomóż. Wszakże nie wiemy na co się zdecyduje, gdy jéj sama wystawię świetną przyszłość połączenia się z tobą. To mówiąc ujęła złotą gwizdałkę; wnet świst przeciągły rozległ się po labiryncie komnat, i po chwili weszła służebna niewiasta, do której rzekła Królowa:

— „Poproś do mnie panny Magdaleny Lubomirskiej.”

Przez krótką przerwę oczekiwania, rozmawiający w głębokiem pogrążeni byli milczeniu. Królowa zatopiona w swych myślach, zdawała się niepomną na przedmiot świeżo odbytej rozmowy; Francuz zaś lubo ożywiony oczekiwaniem stanc-

wczěj dla siebie chwili, zdawał się niechętnym, urażonym, i nieusiłował bynajmniej wznowić rozmowy. Krótko atoli trwała ta chwila, bo rychło ukazała się oczekiwana.

Z postawą godności i smętném obliczem postępowała ku Królowej Magdalena Lubomirska. Rzuciwszy wzrokiem na Margrabiego, który ją udatnym i załoŹnym powitał ukłonen, przybrała wyraz stałości postanowienia, silnej woli oporu; bo nawykła do zabiegów Królowej o sklonienie jej serca dla uprzykrzonych holdów Francuza, którego miłość stale odrzucała z pogardą, przewidywała, że celem tak poufalej audyencyi w obecności Margrabiego, było usiłowanie wymożenia na niej stanowczej obietnicy co do jej serca i ręki. Ale Królowa żadnej na wyraz jej twarzy niezwracała uwagi, bo zachmurzoném i niechętném spójrzeniem przebiegłszy skromny bez żadnych ozdób jej ubiór, złożony z czarnej axamitnej sukni i kwefu białego, wplecionego między opasujące głowę w kształcie wieńca sploty czarnych warkoczy, rzekła z wyrazem najwyższego nieukontentowania:

— „Odkądże to panny mojego orszaku ośmielają się gardzić etykietą tego dworu i przywdziewać stroje niezgodne z jej przepisami? Co znaczy także ta posępna barwa żałoby? Czy z pogrzebu kochanka wraca nam panna Lubomirska?”



Z dumą i oburzeniem acz z pełną uszanowania postawą i głosem, odrzeknie Lubomirska:

— „Jestto ubiór mojego kraju, i najwłaściwszym być się zdaje dla dworu panującego w nim Monarchy. Strój ten jednak przywdziałam, niewiedząc czyli peruka i szaty Wersalu, mogą się pogodzić z żalobą serca córki niewinnego obywatela, którego intryga i pokątna nienawiść, jako zdrajcę przywiodły przed trybunał sprawiedliwości.”

Zarumieniła się gniewem Królowa, podniosła się z wyrazem groźby na czole... ale w tej chwili ozwał się Margrabia głosem pieśczoneym i ujmującym:

— „Jeżeli się godzi abym zdanie moje wynurzył w tym razie, sądziłbym że panna Lubomirska nieobraża wykwintnych form etykiety, stosując ubiór do stanu swojego serca. Modą i zwyczajem jest owszem świetnego Wersalu, malować powierzchownością wzruszenia duszy, i spodziewam się że Wasza Królewska Mość, uznać raczysz godnym naśladowania ten piękny przykład.”

Ochłonęła Królowa, bo te słów kilka przywiodły jej na pamięć istotny cel przywołania panny Lubomirskiej, i niekorzystny dla tych widoków obrót rozmowy. Wnet ułożyła twarz do wyrazu przyjaznej życzliwości, i rzekła głosem umiłym:

— „W samej rzeczy; przebacz mi, kochana Magdaleno, że nieumiała zbadać od razu stanu

serca twojego. Pojmuję twą boleść i daleką jestem od wszelkiej za te zewnętrzne oznaki urazy. Tyś zawsze była najbliższą sercu mojemu, a twe uszczęśliwienie najgorętszym życzeniem mojem. Oto i teraz pragnę złożyć dowód, jak mię żywo obchodzi twa przyszłość." Tu Królowa w najpochlebniejszych wyłożyła wyrazach cel życzeń swojego faworyta, który uklęknął i usiłował ująć rękę wzgardę tylko dlań okazującej dziewicy; lecz ta oddaliła się z wyrazem oziębłości i lekceważenia.

Królowa niezważając na tę nieprzychylną oznakę, dodała: „Wysokie Margrabiego zasługi dla mojego domu i kraju, pozwalają mi połączyć obowiązek wdzięczności, z najśłodszym względem ciebie serca mojego usposobieniem. Mam nadzieję, że nie zasmuczysz mnie i jego, nierozważnym odmówieniem tak zaszczytnych dla ciebie oświadczeń.”

— „Niezaprzeczam zaszczytu jaki mi pan Margrabia wyrządza, ale niczem więcej jak wdzięcznością nie jestem mu zań w stanie zapłacić. Rozrzędzenie zresztą mą ręką zależy od mojego rodzica, którego wola jest jedynym prawem dla córki.”

— „I czyliż mniemasz, że twój ojciec, którego zarozumiała i wyniosła pycha, sięga aż po koronę tego Królestwa, przychylnym się okaże dla twój płochy i nierozważnej skłonności — że duma jego zezwoli na twe połączenie z Jędrzejem Zarembą,

nikczemnym szlachetką, którego całą świetnością żołdackie pod Wojewodą Czarnieckim zasługi.”

— „Niepojęte są dla mnie wyrazy Waszój Królewskiej Mości, odpowie z zapłonieniem wstydu i oburzenia. Niewaham się jednak oświadczyć, że duma mego rodzica, łatwiej pogodzić się jest zdolną z wyobrażeniem rodzinnego związku z prostym rycerzem, gdy go uświetnia odwaga, jak z bogatym w tytuły Margrabią, którego całą zasługą intryga i podstęp. Co do własnych mych uczuć, nie zawstydzę się hołd szlachetnego rycerza, a chlubię się tém żem niezdolną zaszczytniej dla mnie miłości zawdzięczyć zapomnieniem wtenczas nawet, gdy go ta miłość wiedzie na rusztowanie.”

Ukarano dostatecznie niedelikatność Królowej, to śmiało przystosowanie do głośnej niegdyś jój dla Margrabięgo de Cinq-Mars skłonności, dla której ten nieszczęśliwy rzucił się w niebezpieczną kolęję współzawodnictwa z groźnym kardynałem de Richelieu, i śmiałość swą przyplacił na rusztowaniu zapomniany i opuszczony od tój, dla której tak wielką ponosił ofiarę.

Gniew i rozjątrzenie Królowej doszły do najwyższego stopnia. Zrywając się z krzesła zawołała głosem przerywanym i drżącym:

— „Oddal się z moich oczu, zuchwała! i lękaj się, abym ci boleśnie nie dała uczuć skutków bez-

przykładnego zapomnienia wszelkich dla twej Królowej względów i uszanowania!”

Na tę groźną apostrofę, odpowiedziała tylko głębokim pokłonem i wyszła.

Królowa tymczasem szybkim krokiem obiegała komnatę, pozerana tłumioną wewnątrz zapalczywością. Poczem drżącą od gniewu ręką otworzyła ozdobną szkatułkę z hebanu, wyjęła z niej pierścionek złoty, i oddawszy go faworytowi, śpiesznie opuściła komnatę.





## II.

**G**war głuchy i przytłumiony, jakby od hamowanej respektiem baczny na bliskość Monarchy silnej zdąży rozwodzenia się nad dojmującym przedmiotem, rozlegał się po przestronnych komnatach poprzedzającej apartament królewski zamkowej antykamery. Wśród uwijającej się barwy, kusių Węgrów, których zawiesiste wąsy, strojne w różnobarwne wstęgi harcapy, kurty srebrzyste i brzęczące szablice, znamienowały straż królewskiego domu; wśród zjawiających się i znikających dworzan świetnym mniej więcej ubraniem oznaczających rodzaj swej służby lub dostojenstwa, przesuwająca się ożywiana niechęcią gromada szlachty, która oddalona od podwoi komnat monarszych przez skrzyżowane berdysze dwóch wartujących u drzwi hajduków, z cicha rozwodziła się nad swą konfuzją, miotając na głos co chwila energicznym przekąsem, w mia-

rę jak zawieszony peruką jaki francuzki markiz, albo przemalpiony na Francuza Polonus, samém ukazaniem się rozbrajał nieugiętość cerberów i zniknął za podwojami, lub jak nie jeden kontuszowy jegomość, z marszem na czole przychodził pomnożyć koło obrażonej rzeszy.

— Patrzenie — no tego kosmatego nietoperza z rożeniem przy kusych łapkach, jak butnie spogląda na nasze czupryny, szczęśny że mu przyszło rój wodzić tam, gdzieby za dobrych czasów kundla a pokurcze na takich maszkarach zaprawiać jeno przystało.

— Niewstydam się waść, herbowny gamracie, i niesuń tak chyłkiem po zaplociu do Króla, jak liszka którą zwąchał legawy. Gdyś się już z francuzami pokumał, jak owi przybysze, śmiało braci szlachcie patrz w oczy.

— Zobaczemy czy ten wylizany fircyk z tą samą co na królewskich pokojach na sejmik pokaże się nam imprezą. Tam rześistym basarunkiem pokażemy mu respekt i mores na sarmacki obyczaj.

Te i tym podobne przycinki witały każdego który ufny w strój przyjęty u dworu, szedł z pewnością że dlań otwarte zostaną podwoje, zamykające się przed tyłu innemi. Wielekroć razy drzwi otwierały się i zamykały, a koło niechętnych wzmagalo się coraz bardziej, rozbijając się na różne oddziały, z których jedne żywą toczyły rozmowę, inne mil-

cząc, szybkim krokiem przechadzały się wzdłuż i w poprzek, inne usiadłszy na rozstawionych około ścian ławach powleczonych karmazynowym adamaszkiem, rozwodziły się nad poniewierką dawnych obyczajów na dworze Króla. Obecna gdzieś gdzie służba z dworszczyzny, bez żadnej uwagi na te oznaki nieukontentowania, to przechadzała się poważnie wśród gromad niechętnych, to rozstawiała w różnych miejscach węgierską straż i zbrojnych hajduków, to znowu zaglądała do okien ile razy dał się słyszeć na dworze turkot powozu, albo tentent koni zwiastujący nowe przybycie.

Nagle zatrzęsły się okna komnaty, wzruszonej silnym turkotem licznych powozów i mnogiój jazdy, a całe zgromadzenie skwapliwie ruszyło do okien.

— Pan Hetman Lubomirski! rzekł ktoś z patrzących: wnet głucho milczenie opanowało komnatę, a wszystkie oblicza oznamienowały się oczekiwaniem i wyrazem najżywszego zajęcia. Wśród mnogich tłumów, usłyszałbyś brzęk lecącej muchy, tak silnie władała umysłami ciekawość podżegana głośną sprawą przybywającego magnata, która już w tej chwili przed Królem ostatecznie rozwiązać się miała w obec oskarżonego. Szmer oddalony zbliżającego się ku drzwiom orszaku wzmagał się stopniowo, aż nakoniec szeroko rozwarły się podwoje, i ukazał się w nich poważny wiekiem mężczyzna.

Ubiór jego przy godności oblicza i całej postawy, stanowił sprzeczność z tém wszystkiém, co się wówczas jakąkolwiek chęć mogło znamienitością, bo nie miał na sobie nic takiego, coby oznaczało wziętość i znaczenie u dworu. — Kontusz granatowy z cienkiego falendyszu, biały harłasowy żupan, kołpak soboli z czaplém piórem przytwierdzoneń perlą znakomitej wielkości, krzywa karabela przy boku, zakończona u szczérozłotej rękojeści głową jastrzębią, tworzyły strój pełen godności dla wyniosłego i odpowiedniej tuszy mężczyzny.

Zatrzymawszy się chwilę u drzwi dla rozpoznania się w zgromadzeniu, postąpił poważnie i wnet mnogim orszakiem dopełnił zaludnienia przestrzeni.

Po Hetmanie, naprzód wpadał w oko idący prawie okok niego wysoki i dorodny mężczyzna. W całej jego postawie tchnęła ufna w swe siły szlachetność, a zbliżenie się do pana orszaku, oznaczało miarę zpoufalenia się i wysoki jego dla dworzanina szacunek. Strojnie i rażno przypadał do rozwiniętych kształtów niepospolitą siłą obdarzonego mężczyzny, ubiór który zachował z odbytej niedawno pod Wojewodą Czarnieckim duńskiej wyprawy: był to żupan i kontusz z drelichu sięgający ledwie do kolan, jupka z rajtarskiego koletu i buty z cholewami prawie do pasa. — Pan Jędrzej Zaremba! — tu i owdzie z cicha ozwały się głosy, każdy bowiem rad widział w młodzieńcu przypuszczonym do po-



ufalności Hetmana, towarzysza wojennych czynów zasłużonego krajowi i nader słynnego w epoce téj bohatera. Rozpoczął orszak strojny świetnemi szaty marszałek, niosąc w ręku zlocistą łaskę jako znamie urzędu, a za nim szła mnoga liczba starostów, kluczników, kanclerzy, i innych różnej nazwy urzędników dworskich, pomnożona garnącą się pod pańskie skrzydło liczną asystencyą szlachty, która uzbrojeniem w karabele, zawieszane na plecach przykładne kusze i pełne strzał sahadaki, świadczyła niejako że z równym jak do pańskiego stołu pochopem, gotową była kordem respekt i sprawę patrona popierać. Kończyła orszak liczna barwa hetmańska, a za nią służba dworzan i asystencyi.

W całej powierzchowności Hetmana nie było nic takiego, co by oznaczało frasunek lub niespokojność, jakaby nabawić mógł każdego tak niepomyślny obrot stanowczej dla położenia obywatelskiego sprawy. Prózno byś jednak szukał w obliczu jego wyrazu rezygnacyi, pokornego zdania się na niesfortunne losy; była to pogoda lwa ufego w swe siły, gardzącego niebezpieczeństwem i groźbą. Przechoząc powolnym krokiem komnatę, witał bez zgięcia głowy ośmielającym skinieniem ręki zgromadzoną szlachtę, która mu głębokimi odpowiadała ukłony. Niekiedy zatrzymywał się przemawiając słów kilka do znanéj sobie osoby z dworską, lecz niemniej wyniosłą i protekcyjną poufałością, jakby

czuł że ta względność za rodzaj uszczęśliwienia przyjętą i poczytaną zostanie. Nakoniec skinął trzymanym w rękę kolpakiem na marszałka, który zaraz orszak cały zatrzymał, i w towarzystwie samego tylko Zaremby śpiesznie postąpił ku drzwiom królewskich pokoi; ale zastąpili mu drogę hajducy przypierając do drzwi berdysze, a jeden z dworzan królewskich rzekł z unizonym ukłonem:

— Wasza Wielmożność przebaczyć raczy, że z wyraźnych rozkazów Jego Królewskiej Mości, nie możemy mu dopuścić przestąpienia tych progów.

— Waś się mylisz, odpowie Hetman; te rozkazy nie mogą mieć mnie na celu. Odkądże to bronny przystęp do królewskich podwoi oskarżonemu dygnitarzowi, który do stóp tronu niesie submisję i dowody swój niewinności?

— Nie moją rzeczą zgłębiać miłościwego Króla rozkazy; powinność moja każe mi tylko zapewnić Waszą Wielmożność, że taka jest jego wysoka wola.

— Ale nie Waści również rzeczą objawiać monarsze rozkazy bliskiemu tronu dygnitarzowi. Dla tego masz mi Waś przyzwać tu dworzanina od boku Jego Królewskiej Mości, któryby mi objaśnił to co w ustach Waszmości jest dla mnie niezrozumiałém i ciemném.

Nakazujący ton z jakim wyrzeczone zostały te słowa, sprawił niezwłoczne posłuszeństwo, i po chwili stawił się przed Hetmanem dworzanin, któ-

rego francuzki ubiór, świadczył o powołaniu jego do bliższej boku Króla służby u dworu.

Nieskładnie przypadająca do rudego zarostu peruka, wymuszona udatność i pełna przesady pokora, wzrok kosy, unikający stale śmiałego wejrzenia, dały zaraz poznać w przybyłym dworzaninie, pokojowego świeżo nobilitowanego szlachcica, Muraszkę, skrytej sprężyny zabiegów partyi francuzkiej, którego wieść i plotka oskarżały, jak już to mieliśmy zrzęczność powiedzieć, o rozliczne czyny nienader godziwych i chwalebnych środków dążenia do celu.

Na widok jego w całym zgromadzeniu rozległ się szmer nieprzyjaznego wrażenia; ale Hetman żadnej nań niezwracając uwagi, zbliżył się doń i rzekł:

— Pragnę złożyć Jego Królewskiej Mości hold mojej uniżoności, a służba téj antykamery wzbrania mi przystępu do komnat monarszych. Waść bliżej świadomy obyczajów dworu i prerogatyw dygnitarstwa, zechcesz bezwątpienia ująć w karby tę zuchwalość niższych służalców.

— Z uniżoną suhmisją i uczczeniem wysokiego klejnotu Waszej Wielmożności, śmiem zapewnić mnie wielce miłościwego Pana mojego, że służba ta wykonała wyraźną wolę najmiłościwszego Monarchy.

— Także to daleko ogarnęła dwór ten pokątna przybyszów intryga, zawoła Hetman z goryczą, że

zaczętej niewinności bronne są progi świątyni, której dziełem mierzyć sprawiedliwość godziwą szalą, a którą sami wynieśli? Dobrze! szanuję rozkazy które mi Waszmość objawiasz, ale powiedz tym którzy cię tu szlę w posły, że siłą mię jeno wyrugują z tej antykamery. Z całą moją drużyną czekam tu posłuchania, choćby mię ten zaszczyt przez całe doby miał mijać.

To rzekłszy, zasiadł na ławie, i dał znak rozgoszczenia się służbie; obracając się potem do szlachty nienależącej do jego dworu, zawołał: Kto z was, Mościwi panowie, sercem sprzyja doli i splendorowi domu Lubomirskiego, niech tu zasiądzie w mém kole; a jakkolwiek się rozwiąże ta sprawa, do mnie proszę na zamek, gdzie w potokach tokaju poszukamy konsolacyi na tę niefortunną przygodę.

Jednomyślny okrzyk ochotnej zgody i przyzwolenia odpowiedział na to wezwanie. Muraszka zaś, po trzykroć powtórzonym głębokim ukłonie, milczkiem wychylił się za drzwi.

Za temi tymczasem podwojami któreśmy widzieli otwierającemi się dla samych uprzywilejowanych, albo strojem lubionym u dworu dostęp otrzymujących, odmienna zupełnie panowała postać rzeczy i komitywa. Liczne zgromadzenie, skojarzone niejako obyczajami, zdawało się odgłosem jednej statecznej myśli, połączeniem wspólnego węzła, chociaż w gronie dwór oblegających Francuzów, i zdo-



bytój dla partyi królowój szlachty krajowej, która ich obyczaje z prawa narzuconej dworowi etykiety przejęła, pierwsi réj wiedli i widoczną nad drugimi przewagę, acz z owém pociągającym ujęciem i światową udatnością, którą się ten naród we wszystkich odznaczał epokach. W chwili obecnej, gdy przeważny wpływ Królowój nad słabym umysłem jej małżonka, wspierany stałemi usiłowaniami wszystkich, których bądź sprawy publiczne, bądź służba domowa, bądź téż osobiste uczucia Monarchy zbliżały do jego poufałości, niedalekim był otrzymania zdawna odwlekanej abdykacyi; gdy mozolnie wypracowany upadek jedynej siły moralnej w osobie Lubomirskiego, zapowiadał nakoniec żniwo na roli obficie potem trudów i zabiegłości skropionej; gdy wreszcie zdawało się widoczném że już jedno tylko potrzebném było usiłowanie, krok tylko ostatni aby porzuconą koroną ozdobić czoło członka rodziny Burbonów, — wszystko co żyło tą myślą, tym jednym celem wyłącznie zajmować się zdało.

O ile dozwalała przestronność komnat, rozdzielone na różne oddziały towarzystwo, krokiem przyspieszonym przechadzało się w różnych kierunkach, rozwodząc się i rozprawiając z baczną bezustannie uwagą na koło rozprawy, aby obcego przybysza nieuczynić posiadaczem objawianych tajemnic,

i naradzając się nad sposobem wystąpienia na bliższe już pole stanowczej walki i przesilenia.

Ale temu zjednoczeniu się myśli brakło tym razem najdzielniejszej sprężyny, duszy ożywiającej tę działalność, spajającej w jedno ogniwo rozprzęglą między osobiste widoki i nadzieje zabiegłość, i po utorowanych ścieżkach stały jój do powziętego celu nadającej kierunek. Margrabia d'Arbeil dalekim był od wszelkiego w tém stowarzyszeniu się udziału. W niezwykłym roztargnieniu szukał samotności i odosobnienia się w tłumie, a tonem suchym i zwięzłym oddalał usiłującą wylać się przed nim myśl wspólną całego grona.

Był jednak w towarzystwie ten co skrytości jego podzielał, bo z nim tylko przestawał Margrabia, z nim skrytą i tajemną na ustroniu prowadził rozmowę, a ożywioném obliczem i trwożliwą na okrąg narady bacznością dawał do mniemania, że cel tajemniczej rozmowy bliższym był jego osoby i serca nad wszystko, co innych zatrudniało wyłącznie. — Tym powiernikiem był Muraszka. Wydrążenie ściany u okna rozłożystą zawieszoną oponą, dogodne przedstawiało ustronie dla ich zмовы ukrytej; lecz ani to nawet odosobnienie nie upewniało ich o bezpieczeństwie powierzanych tajemnic, bo obaj, co chwila, podnosili krawędź opony, i wzrok tajemniczy zagłębiali w przestrzeń komnaty. Gdyby atoli jednemu z nich myśl przytomną zostawić

mogło mniej głębokie zatopienie się w swym przedmiocie, mniejby może obawiał się podchwycenia tajemnicy przez obojętnego świadka, jak powierzenia jej temu właśnie, którego bezpieczniejszym mniemał powiernikiem, i jego tylko widokom przydatną sprężyną; bo na twarzy Muraszki, oznaczającej namiętność obłądzenia i zdrady, piekielna rozlewała się radość w miarę jak skłaniał ucha na zwierzenia się Margrabiego, i widocznym być się zdawało, że upoważniony do działania wymaganą od siebie uczynnością, postara się omylić protektora swego nadzieje, i własne z całej sprawy wyrobić uszczęśliwienie.

Wkrótce jednak wiadomość o przybyciu Lubomirskiego na czele licznego orszaku, i upor jego w domaganiu się dopuszczenia do Króla, wznęciły powszechną w całym zgromadzeniu obawę i niespokojność. Czy potwierdzony dekret bannicy? czy przewaga Królowej podoła oczwistości i prawdzie, gdy ją potępiony z tą wymową z którą swęj sprawy bronił na sejmie przełoży Królowi? Te uwagi obudziły uśpioną na chwilę całą Margrabiego dla sprawy której się poświęcał gorliwość i czujność. Wydawszy rozkazy podwojenia bacności, aby oprócz osób poufałym dostępem u dworu zwykle zaszczyconych, nikogo pod żadnym pozorem niedopuszczano do drzwi królewskich pokoi, śpiesznym krokiem skierował się ku stronie zamku, której

podwoje dla samój poufałości powiernictwa stać tylko mogły otworem.

Lecz już nadeszła pora dziennego królestwa ichność posiłku i przybycia ich między zgromadzonych dworzan i gości. Uwijała się po wszystkich komnatach służba zamkowa i dygnitarya dworu, a wielki Marszałek rozdzielał między zgromadzonych zaprosiny do królewskiego stołu. Wszelki jednak zaszczyt u dworu, gdzie wola Królowej była prawem, spotykał po większej części Francuzów, z widoczną ujmą tych, którzy jako krajowi, a tém samém wpływ u szlachty wszystko znaczącej w narodzie posiadający, byli przecież jądrem apostołstwa reformy obyczajów, i jedyną podstawą zabiegów o posadzenie na tronie polskim chciwego berła Kondeusza. To ubliżenie dumnej i nawykłej do przewodzenia szlachcie, ochładzało jój zapal dla sprawy; a chociaż silna podnieta przykładu dwóch Królowań, wsparta następnie górującą również na dworze Jana III francuszczyzną, na potomne wieki przekształciła obyczaje narodu, cała jednak najgorętsza usilność Maryi Ludwiki, obok najprzyjaźniejszych okoliczności, spelzła stopniowém zobojetnieniem się dla głównego zamiaru jój krajowych stronników.

Zmniejszało się tedy widocznie koło towarzystwa, w miarę jak nie jeden ominięty zaproszeniem, opuszczał królewskie komnaty, szemrząc pod nosem przekleństwa na swą perukę, i zamierzając



skrycie uczynienia z niej igraszki dla ulubionego legawca, gdy pozostałe towarzystwo ujrzało nakoniec przybywającego pośród siebie Monarchę.

Chociaż Król zgodnie z obyczajami swojego dworu nosił obszerną perukę spadającą na ramiona, reszta jednak jego ubioru nieodpowiadała bynajmniej prawidłom francuzkiej mody. Miał na sobie spadającą do kolan lekką niemieckim krojem tunikę, długi ledwie nie do pasa kolet z korun malińskich, i wiszący na piersiach na wolno spadającym z kutyh grubo sztuk złota łańcuchu, order złotego runa.

Rysy jego twarzy, których wyrazistość dopełniała ostro przedłużająca podbródek hiszpańska bródka, oznaczały niesmak położenia i stały frasunek mozolnej doli. Widoczném jednak było w tój chwili, że ta słabość moralna nie tyle pochodziła z braku energii i silnej woli w sprawach męzkiego położenia, ile raczej ze zdania się umysłu jarzmem domowém skołatanego, i niezdolnego do wytrwałej walki z obecną w całym życiu potęgą bliskiej temu, a płatającej każdą wolę i uczucia Monarchy w nierozwikłane sidła intrygi przebiegłej kobiety.

Początkiem atoli zdania się Króla pod jarzmo małżonki, było przeświadczenie się o jej sile moralnej za najazdu szweckiego: pamiętał tę epokę Monarcha, gdy błakając się na obcej ziemi, powrót do korony winien był Maryi Ludwice, i z niewy-

gastém uwielbieniem wspominał zawsze, jak osobście wstrzymała zapęd nieprzyjaciela do jego stolicy wdzierającego się, wiodąc swym przykładem do boju zachwiane przed natarczywością szturmujących zastępy.

Mimo to wszystko, wrodzona prawość charakteru Jana Kazimiérza, wymagała nader przezornego postępowania tam, gdzie cios stanowczy w zamiarach niezupełnie godziwych zależał od Króla. Sprawa Lubomirskiego była téj właśnie natury; a lubo potrafiono rozjątrzyć przeciw niemu aż do gwałownego gniewu całą osobistość Monarchy, dotąd jednak wyrok baunicy potwierdzonym nie został.

Widocznie rad był Król nadejściu obiadowej pory, która w tej chwili przynajmniej podała mu zręczność uwolnienia się od nalegań Królowej; lecz ta uprzedzona przez Margrabiego o tém co zaszło w przedpokojowych komnatach, niechciała za nic ustąpić z placu, a idąc obok Króla, natarczywie domagała się podpisania skreślonego na pergaminie wyroku, który idący tuż za nią Wielki Kanclerz Prażmowski, trzymał w ręku wraz z piórem. Co krok ujmowała Króla za rękę, a rozwodząc się nad występkiem osądzonego i koniecznością rozproszenia silnej partyi której był przywódcą, ukazywała na wyrok któremu brakło jeszcze podpisu. Ale na twarzy Króla malowała się stanowcza wola oporu, hamowana tylko usiłowaniami zdobycia się na po-

zory, któreby go od nienawistnych scen rozjątrzonej małżonki ocalić zdołały.

Trafnie pozornym wybiegiem Króla było zajęcie się krotofilami ulubionego mu błazna, który szedł z drugiej strony, prawiąc na głos bez żadnej uwagi na mowę Królowej, żarty i docinki mniej więcej stosowane do osób i rzeczy.

Każdy krok dowcipnego trefnisia oznaczał brzęk dzwoneczków wiszących w mnogiej liczbie u sarnich uszu, któremi ozdobiony miał kaptur. W ręku trzymał pstro malowaną laskę z wizerunkiem sowy u galki, i miał na sobie bramowany w różne kolory żupan z pasem skórzanym na biodrach, okowanym srebrnymi ćwieczkami.

Trefny Jasio, pojmując położenie i tajemne życzenia pana, prawił bezustannie koszalki opałki, a Król przemawiał don kiedy niekiedy słów parę, coraz nowój dodając otuchy, i śpiesznym zawsze krokiem zmierzając ku jadalnej komnacie. Przybywszy do niej nakoniec z całym towarzystwem zaproszonym na ucztę, które w przechodzie Króla przyłączyło się do jego orszaku, stanął przed zastawionym stołem, przeżegnał się, odmówił sam benedicite nieczekając aż swą powinność wypełni obecny kapelan i spowiednik królewski, poczem rzucił się co żywo na krzesło i rozpoczął biesiadę, a rozgłosne dźwięki umieszczonej na chórze u sklepienia

komnaty mnogiej kapeli, położyły koniec wszelkiej poważniejszej rozmowie.

Cały frasunek ustąpił zaraz z królewskiego oblicza; lecz gdy obrócił się na krześle dla umycia rąk w podaném sobie srebrném naczyniu, postrzegł że z orszaku panien dla honorowej assistencyi przy monarszej biesiadzie zgromadzonych, zabięrała się do ustąpienia panna Magdalena Lubomirska, widocznie zfukana przez przełożoną nad żeńską assistencją dworową Ochmistrzynię.

— Cóż to z biesiady naszej oddała sercem miłą nam Hebe, rzecze Król obracając się do Ochmistrzyni?

Królowa usłyszawszy te wyrazy, obróciła oczy na Lubomirskę, a postrzegłszy jej ubiór którego nieprzyzwoitość już jej rano w dotkliwych dała uczuć wyrazach, rzekła z oburzeniem:

— Zuchwałość Waszmość panny przechodzi wszelkie granice. Czyliżem ci wyraźnie nieobjawiła dzisiaj mej woli, abyś się nieważyla dziwa-ctwem tych szat targać na wyraźne prawa naszego dworu?

Na widoczną zanosilo się burzę, bo zapłonienie gniewu okryło czoło Lubomirskiej, i już zabierała się do odpowiedzi z godną położenia swojego wyniosłością i dumą, gdy Król położył koniec dalszej rozprawie, mówiąc do Królowej:



— Dla nas przebaczcie jej ten raz, nam wielce miłościwa małżonko; ubyłoby wdzięku monarszej biesiadzie naszej, gdybyśmy z niej to gładkie wyprosilili stworzenie; jeżeli tedy przychylna proźbie naszej będzie twa wola, poprosimy panny Lubomirskiej, aby nam tylko samym przy tej uczcie swą czyniła usługę.

Zamilkła Królowa, lecz zachmurzoną twarzą i gniewném spojrzeniem zakłóciła pogodę biesiady, której Król z wolnym i niepomnym na troski umysłem lubił zwykle używać. W téj chwili jednak zdawało się, iż miał snadne na niemile pod tę dobę kwasy małżonki lekarstwo, bo rzekł jakby z umysłu:

— Dopóki jeszcze dźwigamy uciążliwe brzemie korony, życzylibyśmy choćby jednéj chwili spoczynku w dniu całym prac ciężkich i znoju. Rychło bieglejszój dłoni oddamy to berło, a wtenczas całej doby na wczas ciała i zbawienie duszy, używać tylko będziemy.

Rozjaśnił się zaraz za przykładem wszystko znaczącej pani cały horyzont biesiady. Dała znak skrycie Królowa znaczącém skinieniem na najbliższych swych powierników: Kanclerza Prażmowskiego, Hetmana Potockiego, Margrabiego d'Arbeil i innych, i wnet z uśmiechem zadowolenia zajęła się swym małżonkiem, dolewając mu czary, przysuwając własną ręką ulubione łakocie i dania, i przy-

milając się przez rozmaite sposoby udatności niewieściój. Wzrastał w oznaki wesołości humor Monarchy, a całą komnatę ogarnął szmer ożywionej komitywy. Gwar rozmowy, brzęk poruszanych srebrnych naczyń i innych sprzętów biesiadnych, uwijanie się służby około stołu i assystencyi przy siedzeniach królestwa, wesołe acz niepieszczące ucha dźwięki serbskich skrzypiec, surmaczy, dyskantów, wagantów i całej brzmiącej u góry kapeli, wszystko słowem tchnęło życiem ochoty i zgody. — Sam tylko Jasio, którego ostry a bezkarny język lubił zakłócić harmonią gdy ją zrodziła myśl dlań niemiła, targnął się na ustaloną zgodę mówiąc do Króla:

— Grubąście a prostaczą rzekli niedorzeczność, mój królewski ciosko i kumie; azaliż sądzicie że nasz kołpak i laska mniej ciężą na głowie i w dłoni jak korona i berło.

— Broń nas Boże, odpowie Król, abyśmy ubliżać mieli w ten sposób powadze urzędu który Waść tak godnie piastujesz, i niechcieliśmy bynajmniej poniżyć dostojnych Waści insygniów.

— Ale wiedzieć musicie, że gdy Król bez przyczyny składa koronę, czyni to dlatego aby odziedziczył kołpak o sarnich uszach. Niewyglądalibyście tedy z porzucenia berła wczasu i zbawienia, gdybyście rozważyli w swym królewskim rozumie,

że królowanie nasze większe od Waszego ma do dźwigania ciężary i znoje.

Rozśmiał się Król do rozpuku; ale Królowej nieprzypadł zgoła do smaku gruby docinek błazna, jako trafiający w najdrażliwszą jej stronę, rzekła więc w tonie żartu, z którego jednak łąco gniew i oburzenie wyczytać się dały:

— Masz Waść słuszność; aleś zapomniał że twe ciężary podpięra filar na którym zbywa małżonkowi mojemu, — oto chłosta którą nasz Starosta królewskich drabantów powściągnąć zawsze gotów, zbyt grubą a niewczesną zuchwałość języka.

To mówiąc spojrziała na błazna; ale postrzegłszy na twarzy jego ów sardoniczny uśmiech którym poprzedzać zwykł swe najśmielsze wyskoki, przypomniała jak poniżającą podług wyobrażeń epoki przybierał rolę, kto w gniewnym usposobieniu występował z błaznem do walki, i dodała zaraz z uśmiechem:

— Zapominasz Waść zkądinąd, że masz na tym dworze niebezpiecznego bo nawykłego do królowania w litewskich puszczech współzawodnika. Zaczny Bajtko godzien również udziału w téj uczcie, i radabym widzieć na którą stronę przechylili się zwycięstwo, gdy Waść z nim zmierzysz swój dowcip.

Ów Bajtko był to potężny niedźwiedź ogłaskany z małego, którego Król niedawno od Marcina Ogińskiego w podarunku otrzymał. Niepo-

mny swej piérwotnej dzikości, przybrał obyczaj domowego zwierzęcia, a nawykły do chodzenia tylko na tylnych łapach, dwór cały rozrywał niezgrabnemi i rubasznemi krotofilami.

Uśmiechnął się Król radośnie na myśl nowój rozrywki jaka go czekała, i wynurzył zaraz życzenie, ochoczo przez wszystkich dzielone biesiadników, aby ucieszny Bajtko został przyzwany na królewską biesiadę, i uraczony zbywającemi ze stołu łakociami. Królowa skinęła na stojącego opodal hajduka, i po chwili nowym biesiadnikiem towarzystwo pomnożone zostało.

Piérwszy rzut oka na zwierza przejmował mimowolną trwogą i przerażeniem. Wzrost jego przenosił całą głowę najrośniejszych hajduków, a wyprostowana postać jedném spojrzeniem ogarnąć dozwalała ową masę siły, której uderzająca potęga żylastych i szeroko rozwiniętych mięśni dawała od razu wyobrażenie. Gęsto dziany włos połyskującej czarności podwajał grubość członków, a łeb szeroki na silnym osadzony karku, dopełniał obrazu dzikięj w tej całej postawie potęgi. Ale oczy zwierza oznaczały tylko łagodność i nałog obcowania pomiędzy ludźmi, a w tój chwili nadto łakomstwo podsycone wyziewami rozmaitych dań i przysmaków.

Zbliżył się zwierz zaraz do Króla który w wyciągniętej ręce trzymał dlań gruszkę obficie osypaną



cukrem, a gdy ją ująwszy łapą pożerał, Król głośko go ręką po karku i bezpiecznie targał za uszy. Każdy z biesiadników kolejną uraczył gościa coraz nowym przysmakiem; lecz gdy obszedłszy stół zbliżył się do Królowej, ta podała mu osypaną cukrem łupinę od pomarańczy. Chętnie żuł zwierż ten nowy przysmak dopóki czuł słodycz cukrową; lecz gdy następnie poczuł gorycz skóry owocu, wyrzucił niezdolne jadło na spód łapy, i cisnął silnie na twarz Królowej (\*).

Liczne okruszyny niemiłego pocisku uwięzły na jej twarzy, i zespeciliły opasującą szyję cudną krezę hiszpańskiej mody. Niewładająca sobą Królowa, a ująwszy przyniesioną sobie przed chwilą czarę wrzącej polewki z wina, rzuciła ją gwałtownie na łeb nieobyczajnego zwierzęcia. Roztrzaskała się porcelana o twardą czaskę niedźwiedzia, i potokami gryzącego ukropu zalała mu oczy.

Ryk wściekłości rozległ się po komnacie i trwożą przejął całe zgromadzenie. Sroga boleść powróciła mu całą wrodzoną dzikość i mściwą zajądlność. Tarł zrazu gwałtownie łapą obrażone oczy; potem z powtórzonym rykiem dał skok potężny szukając widocznie krwawej ofiary.

W tej chwili właśnie zbliżała się do Króla Lubomirska z roztruchanem alikantu. Nieszczęściem po-

(\* ) Historyczne.

strzeżoną została w przechodzie przez rozszalonego niedźwiedzia, który z przerywanym i silnie wybuchającym rykiem poskoczył ku niej na czterech łapach. Struchlała przerażona postrzegłszy niebezpieczeństwo, i upuściwszy roztruchan, z całą siłą zaczęła uciekać około stołu; ale zwierz niespuszczał jęj z pogoni i oka, i skracał co chwila odległość śmiałymi susami którym towarzyszył zawsze wybuch przeraźliwego ryku.

Stopniami traciła ścigana przytomność i siłę ile razy rzuciła wzrokiem na zwierza, którego sierć najeżona, błysk palających oczu zamykanych co chwila dotkliwą boleścią, pysk rozwarty i jakby z chciwości łupu parą ziejący, słowem cała postawa stokroć męczniejsze serca trwogą była zdolną nabawić; uczuła nakoniec że już na kilka zaledwie kroków drżące pod nią zdobyć się zdołają kolana. Wspiął się niedźwiedź na łapy; Lubomirska wydała krzyk śmiertelnej trwogi, który w ostrych dźwiękach rozległ się po wszystkich komnatach, i już zdawała się poddawać nieuchronnym wyrokom. Każdy z biesiadników przewidywał srogie jęj przeznaczenie. Szukano w różnych miejscach oręża; wszystko jednak zdawało się zapowiadać, że nim skuteczny pośpieszyć zdoła ratunek, już dokonaną zostanie ofiara.

Lecz wróćmy do zaludnionych licznym orszakiem Lubomirskiego, komnat królewskiej antykamery.

Chociaż od przybycia Hetmana dwugodzinny przeciąg czasu upłynął, dotąd jednak wytrwale na miejscu z całym pozostał orszakiem. Wiernie dosiadywała mu szlachta nadskakując panu i rozrywając tęsknotę oczekiwania przez rozliczne sposoby.

Żywa niekiedy toczyła się rozmowa; niekiedy oziębione towarzystwo marsowatém obliczem pana, głębokie chowało milczenie, które znowu przerywał Hetman wesołym żartem, podniecając zaraz gwar ochoczy i rzeźwy. Służba tymczasem miejscowa z wrastającą niespokojnością oczekiwała rozwiązania téj sceny, niemogła bowiem przewidzieć następstw uporu, gdy świeżo ponowione rozkazy nakazywały niedopuszczania pod żadnym pozorem do drzwi nikogo z oczekujących na posłuchanie u Króla.

Powstał nakoniec Lubomirski z niecierpliwością, i szybkim krokiem przebiegał komnatę, gdy nagle przedarł się z oddalenia ryk powtarzany rozjadłego niedźwiedzia. Zdziwiony badał jednego z dworzan, który mu zaczął prawić o krotofilach domowego zwierzęcia; ale Hetman świadomy obyczajów niedźwiedzia, przeciw któremu liczne w myśliwej ochocie przedsiębrał nieraz wyprawy, dalekim był od rozumienia w sposób zaspakajający tak przeraźliwego ryku, — gdy zaraz potém dał się słyszeć krzyk trwogi który właśnie wydała ścigana przez niedźwiedzia jego córka.

— Dla Boga! to głos mojej Magdy!

Zaledwie wyrzekł te słowa, aż szybki jak piorun Zaremba, rzucił się do drzwi, silną dłonią obalił dwóch hajduków usiłujących stawić mu opór i zniknął za drzwiami, przez które zaraz za nim korzystając ze zmieszania się służby, skwapliwie udał Lubomirski.

Rozlegający się w dali szelest przerywany rykiem zwierzęcia, dostateczną był dla Zaremby skazówką; jakoż przybiegł zaraz na miejsce sceny, i za pierwszym rzutem oka zrozumiał przyczynę powszechniej trwogi. Już właśnie niedźwiedź dopada ofiary, która drżącym krokiem ukazywała bliskość ostatecznego omdlenia na siłach.

Skoczył co żywo Zaremba i nagą ręką silny wymierzył raz pod ucho niedźwiedzia.

Zachwiał się na chwilę zwierz odurzony; lecz zaraz obrócił się szybko, a postrzegając nowego nieprzyjaciela, rzucił się nań z roztwartymi łapami; ale uprzedził grożący mu napad śmiały młodzieniec, a ująwszy silnie wpół zwierza przez łapy, rozpoczął z nim osobiste zapasy. Lubomirska tymczasem padła zemdlona na ręce ojca, który właśnie wchodził w tej chwili.

Z trwożnym i niespokojnym obliczem całe towarzystwo srogiej przyglądało się walce. Długi czas zwycięstwo na żadną nieprzechylało się stronę; lecz nakoniec zręczność człowieka odniosła przewagę,



i zwiérz potoczył się z łoskotem pociągając za sobą nieprzyjaciela, któremu jedną wolniejszą łapą szarpał ramię, krwią jego brocząc podłogę. Pośpieszył nakoniec w pomoc Zarembie sam Lubomirski, zwierzywszy córkę Potockiemu, który ją skropieniem zimną wodą do przytomności powrócił. Wiedząc jednak że w podobnym stanie walki, osobista siła i zręczność człowieka zapewnić tylko może zwycięztwo, poprzestał na dobytciu karabeli, wyglądając stosownej chwili aby nią mógł cios wymierzyć, lub podać walczącemu z niedźwiedziem zapasnikowi.

Zrozumiał myśl jego Zaremba, a przechyliwszy się nieco na stronę, ujął w dłoń karabelę; wyrwawszy się potem nadludzkim usiłowaniem z objęć zwiérzęcia, podniósł się nieco do góry, szybkim poruszeniem przymierzył ostrze damasceńskiej klingi do boku zwiérza, a oparłszy się o rękojeść pierściami, zatopił ją we wnętrzościach srogiego przeciwnika.

Ryk głuchy i potok czarnej posoki zakończyły tę scenę.

Powstał na nogi Zaremba, i całemu ukazał się towarzystwu.

Męzkie oblicze zaognione zapalem walki i znużeniem, włosy i ubiór w nieładzie, ślady srogich pazurów zwiérza w rozszarpanym i krwią zbroczonym rękawie, cała słowem postawa młodzieńca

powszechnie w zgromadzeniu wzbudziła uwielbienie. Królowa wraz ze wszystkimi kobietami dworu, pełnym zajęcia i współczucia przeglądała go okiem; lecz rzuciwszy wzrok na Lubomirskiego, pojęła ważność obecnej chwili, i całą swą bacność zwróciła na bieg dalszych wypadków.

Zbliżył się tymczasem Hetman do Króla i rzekł:

— Od wielu godzin wycieram komnaty antykamery Waszej Królewskiej Mości, próżno wołając o posłuchanie, którego zaszczyt obecny tej jeno nieszczęsnej winienem przygodzie. Radbym się więc teraz dowiedzieć, czy wolą jest Waszej Królewskiej Mości potwierdzić bez wysłuchania obwionego wyrok nieprawości sejmowej?

— Waś uczęszczasz do związku, odpowie Król, pieniądze sypiesz a praktyki pokątne czynisz: jakieżże prawem domagasz się naszego faworu i mienisz zasłużony wyrok nieprawym?

— Nie faworu, lecz żądam sprawiedliwości, o której nic sobie nie tuszę, gdy Waszej Królewskiej Mości nieznane argumenta méj niewinności, które przecież Wielki Kanclerz winien był przedstawić Majestatowi. Ten tylko fawor, miłościwy Panie, uczynić mi raczcie, abyście mię o méj doli uwiadomili bez zwłoki.

Przybiegła do małżonka Królowa, i długi czas mu prawiała do ucha, a Król widocznie wzmagał gniew i nienawiść; rzekł nakoniec po długiej przerwie:

— Próżnobyś Waść upierał się walczyć z oczywistością. Oddał się z dworu naszego, a pięć dni jeno dajemy Waści do pozostania w stolicy. Jeżeli w tym czasie zdobędziesz gruntowne dowody swjej niewinności, złóż je Kanclerzowi naszemu który je przed nasz majestat przełoży. Lecz dłużej potwierdzenia wyroku niemożemy odwlekać.

— Dowody moje jaśniejsze nad słońce, i biada tym którzy sprawiedliwość Waszjej Królewskiej Mości wiodą do błędu. Ulegam przewadze nieprawości, błagając nieba aby Was, Miłościwy Panie, od jarzma chytrój kądzieli oswobodzić raczyło.

To rzekłszy skłonił unizenie głowę przed Królem, ujął córkę pod rękę, i udał się ku drzwiom.— Ale Król zatrzymał go mówiąc:

— Nieodmawiamy przecież córce Waszmości naszych łask i protekcyi; dla czegoż ją z dworu naszego uprowadzacie?

— Córka dzielić musi wszelką dołę a dziś niezasłużoną infamię rodzica; a gdy ten wygnańcem, ona jedna przedstawia dostojny ród z którego bierze początek. Dziś więc jeszcze udać się musi do naszej rodzinnej siedziby.

Powtórzył raz jeszcze ukłon głęboki, i udał się do antykamery, gdzie ponowiwszy zaprosiny szlachcie która jego tęsknotę dzieliła, opuścił zamek na czele pomnożonego nową assystencyą orszaku.



### III.

**N**a schyłku dnia czwartego po wypadkach w królewskim zamku któreśmy opowiedzieli, na głównym rynku stolicy panował ruch niezwykle i wrzawa. Postać nagromadzonej pstrej i różnokształtnej ludności; zabiegła czynność po szatrach zalegających długie obszary; skrzytne uwijanie się wśród mass ruchomych przekupniów i przekupek obarczonych napojami, jadłem i przysmakami; wspólna wszystkim usilność omylenia tęsknoty oczekiwania, zapowiadały ważne jakieś zdarzenie, powszechną obudzające ciekawość.

Całą ścianę wchodu głównego wznoszącego się wśród rynku ratusza, zalegała przestronna budowla z drzewa, przytykając doń bokiem i jedną całość tworząc w tém połączeniu. Był to gmach którego wzniesienie środkowe przedłużające się w postaci długiego skrzydła, cechowało jego przema-



czenie na wystawę publicznych widowisk, a ukończone już rozliczne przygotowania, oznajmiały że jedno z tych widowisko niezwłocznie rozpocząć się miało. Jakoż, na wystawie drzwi frontowych, umieszczony był napis w wielkich zdała czytelnych zgłoskach, zapowiadający dzień, godzinę widowiska i jego osnowę, którą przytaczamy dosłownie:

„Przebywający na dworze Króla Imci Polskiego  
wierni poddani panującego Francyi

*Króla i Bobatera*

**EDWYKA WIEBKIEGO.**

którego zwycięzki oręż świat pogromił i zdumiał,  
będą mieli zaszczyt dać wielki

**SALT Z PANTOMINĄ**

na cześć potęgi i nieśmiertelnych czynów

**SWOJEGO MONARCHY.**

Panowie szlachta konno widowisku przypatrywać się będą mogli.”

Niepodobał się ów styl przechwałkami nadęty szlachcie, która hareując konno po rynku, miotła obelgi na butę cudzoziemców mieniących się zwycięzcami świata między ludem chciwym chwały rycerskiej, i dumnym ze swych czynów wojennych. Ale te oznaki nieukontentowania nieosłabiały bynajmniej wspólnej wszystkim żądzy nasycenia się

widowiskiem zapowiedzianém. Jeden tylko na żwawym rumaku przywodzący licznej gromadzie konnej, odznaczał się posuwającą się aż do czynów zuchwałością, której ochoczo przyklaskiwała towarzysząca mu czereda.

Wysoki kołpak barani, kolcza zbroja obciśnięta na biodrach poniżej wydatnego brzucha pasem czerwonym, na plecach kusza obok sajdaka strzałami napelnionego, karabela w pochwie z czarnego jaszczura i rohatyna w ręku, którą wywijał rzucając w górę i łapiąc zręcznie w powietrzu, dobitnie go wśród mnogiego odznaczały orszaku. Był to pan Bartosz Obrąpalski, rej wodzący szlachcie partyi Lubomirskiego, z której każdy za przykładem przywódcy konno i zbrojno w kusze i sajdaki, oczekiwał na otwarcie widowni.

Rozlicznych dokazywał wyskoków podochocony sownie przed chwilą z bracią szlachtą w pobliskiej gospodzie pod znakiem złotej gęsi pan Bartosz, a rącho przypuściwszy rumaka ku frontowi budowli, rzuconą rohatyną utkwił w sam środek niemiłego napisu. Huczne i rozgłośne wiwaty dały poklask tej zuchwałości; a gdy na rozkaz Starosty otaczających wniście teatru drabantów, sześciu konnych puściło się w pogoń za winowajcą, zabłyśły w powietrzu szlacheckie karabele, i już się zanosiło na krwawą utarczkę; ale w tej chwili, na opasującym ratuszową wieżę ganku trębackim, ozwał się

donośny dźwięk sześciu tręb, zapowiadając nakoniec oczekiwane otwarcie widowni. Drabowie wrócili do szeregu dla pilnowania porządku, a jedyna publiczność ruszyła ku drzwiom w galopie; ale u wnijscia w dwóch równoległych szkach stanęli drabanci, i tylko po trzech czołem dopuszczali do wehodu. Prześcignął wszystkich pan Bartosz, i pierwszym był u drzwi na czele swojej czeredy; a gdy napelnił się rodzaj przestronnej szopy, umyślnie dla konnych widzów urządzonej przed sceną, służba drzwi zamknęła z łoskotem, otwierając boczne wnijscie dla pieszych.

Rychło dał się słyszeć gwar powozów z różnych stron miasta przybywających ciekawych widzów, a w ich liczbie zajechał tabor Lubomirskiego, którego z mnogim już znanym nam orszakiem powiódł do wnętrza Starosta, rozsadzając po różnych miejscach w miarę stopni i dostojenstwa całą pańską drużynę.

Za ukazaniem się Hetmana rozległ się między konną publicznością huczny okrzyk wiwatów, a tym oznakom współczucia i hołdu, towarzyszyły głośne zlorzeczenia na mających wystąpić aktorów, którym przychylna magnatowi szlachta, przypisywała poniewierkę jego imienia i cześci w świeżo osądzonym procesie.

Już urządzone w okrąg sali łoże, napelniały strojne kwiecistemi szaty szlachcianki i panie; już wszystkie siedzenia i miejsca ciekawa tłoczyła publi-

czność, a jeszcze niewznosiła się zasłona widowni; bo jeszcze próżną była ozdoba z czerwonego aksamitu oponą łoża królewska. Lecz nakoniec ukazała się w niej sama tylko Królowa, licznym i bogatym otoczona froncymierem, a zasłona widowni zwolna i ciężko wznosić się zaczęła do góry.

Jakiś czas toczył się po sali szmer ciekawej ochoty, i wnet całe zgromadzenie głębokie owało milczeniem.

Za ukazaniem się widowni, przedewszystkiem wpadała w oko przodkująca mnogiej kapeli, na oddzielnej umieszczonej galeryi, wydatna postać, w której wysmukłe członki, wyraziste rysy, płeć śniada i nieustanna ruchawość czynnej gestykulacyi, od razu objawiały Włocha. Opięty strój francuzki i potężna peruka z założonemi starannie za uszy bokami, aby nietłumiły tak potrzebnego o tój dobie zmysłu, niedodawały bynajmniej wdzięku i udatności tój dziwacznej postaci. Był to il Signor Pallavicini, senior królewskiej kapeli.

Zerwał się z miejsca maestro, klasnął w dłonie, a nieustannemi poruszeniami rąk w całej ich długości wspieranemi działalnością całej ruchomej postawy, przewodniczył brzmiejącej harmonii swych ogłuszających szeregów. Ale niedługo wzrok widza zatrzymywał się na tym obrazie, bo widok sceny całą jego zaraz ujarzmił uwagę.



Głęb przestronnej widowni przedstawiał salę tronową Ludwika XIV, w ceremonialnej z całym przepychem wystawie. Na wzniesionej o kilka stopni podstawie, pysznemi zasłanej gobelinami, stał tron pod zasłoną z białego bławatu, nad którą unosiła się korona; na samej zaś zasłonie wśród szkarłatu i złota jaśniały wydatnie trzy srebrne, przetykane ogniem ziejącemi dyamentami lilie, godło domu Burbonów. W niedbałej lecz nie bez wdzięku postawie, siedział na tronie Monarcha, strojny znamionami królewskiej godności, a głowę jego, zawieszoną nieodzowną peruką, zdobił wieńiec z wawrzynu, jako znamie zwycięstwa i chwwały. Obok tronu na niższym podniesieniu stało krzesło Delfina, osłonięte również zasłoną o trzech liliach, lecz bez korony, a siedzący na nim powabny młodzieniec, przedstawiał syna Monarchy.

W równej linii ukazywały się dalej nieco, zawsze na podniesieniach, krzesła innych członków królewskiej rodziny, z których każdy był przedstawiany przez stosowną osobę. Otaczały tron liczne szeregi dworzan i wysokich urzędników królestwa, a bliżej jeszcze Króla kwiat mędrców, poetów, artystów, w których liczbie widziałeś Woltera, Diderota, Rousseau, Rasyna, Moliera i innych, dawał wyobrażenie złotego wieku umiejętności, sztuk i literatury francuzkiej, czerpającego życie z mądrości i ośmielających względów Monar-

chy. W głębi planu stali rzędami w świetnych szatach paziowie, a ostatnim cieniem były gęste szeregi muszkieterów królewskich.

Cały ten obraz, przy dźwięku kapeli, bez żadnej czas niejaki pozostawał odmiany, jakby dla opojenia widzów jego urokiem; lecz po chwili zaczęły ukazywać się zwolna allegoryczne postacie, podług ówczesnego smaku z mitologicznych czerpane wyobrażeń, niedopuszczając przesycania się publiczności jednostajnością widoku.

Poważnie wtoczył się złocisty rydwan, na którym między dwoma osobami wyobrażającymi słońce i księżyc, siedział uzbrojony kosą i klepsydrą zgrzybiały Saturn. Ciągnęło go dwadzieścia cztery dziewic wystawiających godziny: z tych dwanaście były białe, a drugie dwanaście czarno ubrane, przedstawiającienne i nocne godziny. Szaty pierwszych złote, drugich zaś srebrne obficie zdobiły gwiazdy, a wszystkie miały na czołach tarcze zegarów, kolejną ukazujące godziny których były wyobrażeniem. Zniżały bóstwa swe znamiona przed Królem, a lotne godziny w szybkich i powabnych skokach ukazywały się i znikaly, rzucając kwiaty przed tronem i rodząc wyobrażenie szybko upływających w szczęściu i chwale chwil życia Monarchy. Ujęły nakoniec rydwan, a odprowadziwszy go na stronę, kształtną około niego utworzyły grupę.

Ukazał się potem jakby w mglistém przezroczu powabny wóz bóstw miłości i wdzięków, który bujające w sztucznych obłokach białe ciągnęły gołębie. W pełnej wdzięku postawie siedziała na nim bogini rokoszy, mając przy sobie zbrojne w łuk i pociski miłości figlarne swe dziecię. Allegoryczne postacie wszystkich wzruszeń człowieka towarzyszyły królowej serca: uczucie, żądza, nadzieja, tęsknota, wzajemność, rokosz, zazdrość, stałość, nakoniec strojne skrzydłami zefirów ulotne chwile szczęścia w opojeniu miłości, towarzyszyły wszechwładnej pani świata, a układając się w rozliczne grupy odbijające myśl życzeń szczęścia i hołdy dla uwielbianego śmiertelnika na tronie, połączyły się z orszakiem Saturna, tworząc z nim razem jedną allegoryczną postać.

Znikoma miłość ustąpiła miejsca poważniejszym obrazom. Zawitała mądrość i sztuka w ścisłym przymierzu jeden rydwan zasiadające. Oprócz dziewięciu muz pod skrzydłem tych bóstw opiekuńczych, każda umiejętność i sztuka kwitnąca pod berłem Ludwika, miała allegoryczną swą postać, a cała mądra drużyna, złożyła przed tronem hołdy wdzięczności i dziękczynienia.

Przy dźwięku wojennym surm i kotłów, zgodną z brzmieniem kapeli wydających harmonię, wtoczył się orszak boga wojny. Rydwan jego w kształcie czujnego koguta, dwa przepyszne ciągnęły ru-

maki, któremi kierowała chwała. Otaczali go w zbrojach greckich starożytni rycerze i szermierze, a tym przodkowały allegoryczne osoby, przedstawiające siłę, odwagę, mężstwo, zapał, rycerską mądrość, zwycięstwo. Za tém wszystkiém stanęła tryumfalna brama, przez którą przeciągało francuzkie rycerstwo pod rozwiniętymi chorągwiami. Na jego czele wódz znamienity Ludwika, Turennejusz, otoczony jeńcami i zdobytymi łupy, wiódł do stóp tronu postacie niewiast w charakterystycznych ubiorach, wyobrażające ziemie i kraje które uległy orężowi Francuzów. W kornój i błagalnej postawie stanęły te bóstwa przed Królem, a zwyciężkie szeregi tryumfalnym przechodziły pochodem łamiąc szyki i rozliczne tworząc obróty, w pośród walk szermierskich i szczęku oręża z orszaku starożytnych boga wojny rycerzy.

Ale zawistny praw swoich sędziwy władzca czasu, postrzegł że tyle chwały zagraża jego wszechwładnej potędze, i z podniesioną kosą wystąpił do boju, rzucając się między tłumy scenę zalegające. Przyjęto groźne wyzwanie, a każde bóstwo z zapałem stanęło do walki, którój różne koleje rozliczne przeplatały obrazy. Wśród zgielku i wrzawy, uległo przemocy nieubłagane dotąd bożyszcze, rzucając pod stopy Ludwika niszczący swój oręż.... gdy dźwięk trąb w oddaleniu nowe zapowiedział zjawisko. — Wtoczył się ciężko potężny słoń biały,



niosąc na swym grzbiecie posłanników Siamu. Z odległych krańców wschodu, rozgłośna sława Króla Francyi, szle berłu jego holdy nieznanym narodów. Czarna drużyna poselstwa złotą do boku zwierza przystawia drabinę, po której schodzą posłowie, i bijąc czołem Monarsze, tłumaczą mu uwielbienie swojego ludu; w tém pęka z łoskotem grzbiet słonia; wylatują zeń krocie gwiazd jaśniejących, rzucając fantastyczne swe światło na grupy uszykowane; nakoniec, wielkim wybuchem ogni Bengalu, w uroczej nadziemiańskich krain postaci, przedstawia się cały obraz widzom zdumiałym. — Po chwili, spada zawistna zasłona, i w mroku ciemności wzrok zachwycony przed chwilą pogrąża.

Powszechnie włądało milczenie, zanim olśnione blaskiem i zachwycone zmysły dały przystęp przytomnej rozwadze. Nakoniec wybuchł okrzyk zachwytu i uwielbienia. Sam tylko pan Bartosz niezdawał się dzielić uniesień publiczności, bo rzekł z niechęcią do swej czeredy:

— Istna to sromota, chrześcijańskiemu ludowi, jakby jakim bisurmanom, pokazywać te bożki pogańskie, a razem wywodzić nam przed ślipia jakieś tam zamorskie czupiradło w koronie, jakbyśma nie mieli u siebie swojego Króla i Pana, który nam miłościwie panuje.

To mówiąc pan Bartosz srożył się i groźnie trząśł rohatyną, którą utkwiał na koniec w umie-

szczonej przy strzemienu osadzie, a dobywszy z torby przytroczonej u siodła oplatanęj flaszy, pociągnął z niej posuwity łyk przepalanki, poczem oddał ją sąsiadowi, mówiąc:

— „Łyknij jeno na rezon tej akwawity bratanku i kumie, i podaj sąmsiadowi gąsiorek. Zdaje się iż nam chcą jeszcze coś pokazywać te francuziska; ale wara mi z poganinem, lub jakim tam majestatem zamorskim! bo na mój klejnot herbowny pokażemy to Waściom, jak celnie i lotno niosą w pogańskie żebra sępie pióra strzał naszych!

Obiegała flaszka kolejją, aż nim osuszona wróciła do torby Bartosza.

Na widowni tymczasem rozlegał się szelest przygotowań, nowe zapowiadających obrazy, a po długiej przerwie oczekiwania i wzrastającej ciekawości, podniosła się zwolna zastona, i przy dźwięku kapeli ukazała gród warowny, którego szanice nasterczone rusznicami i hakownicami, w gestych szeregach niemieckie zalegało rycerstwo.

Wnet ukazały się francuzkie chorągwie, którym na czele mnogiego orszaku, w złocistęj zbroi sam Król przywoził na pysznym rumaku. Zagrzmiały działa warowni, ale niewzruszone szyki śmiało ruszyły do szturm, rzucając się z natarczywością na szanice i krocie ognistych pocisków zionąc do grodu zagrożonego. Z rozmaitym losem obustronne staczały się boje; już francuzkie rycerstwo

osobiste wiodło z wrogiem zapasy; już tu i ówdzie tkwiły na szanćcach białe znamiona, gdy nagle zaryczały miny, zionąc jaskrawe ognie tysiącem wzlatujących rac przeplatane, i przestronne w murach twierdzy otwierając wyłomy. Z podwojoném męztwem rzuca się do twierdzy oblegające rycerstwo, ale zapal jego hamuje ukazujące się na szczycie wieży znamie pokoju.

Trąba znak daje odwrotu, zwycięzkie rycerstwo otacza orszak monarchy, i czeka zjawienia się posłanników wroga ukorzonego.

Ale w tej chwili niezwykle zgiełk opanował widzów. Każdy ścigał wzrokiem hajduka w hetmańskiej barwie, który zadyszany, uwalany w błocie i kurzu, słowem w całym nieładzie długiej i śpiesznej podróży, wpadł między widzów i skwapliwie dopytywał się o pana. Zsiadło z koni dwóch szlachty i powiodło go do łoża hetmańskiej.

— Cóż za nowinę przynosisz mi? rzeczce hetman. Zapewne szle cię do mnie moja córka?

— Córka Waszej Wielmożności wpadła w ręce łotrów nieznanym, odpowie hajduk. Pokonani przemocą zbójców z gór święto-krzyskich, którzy uprowadzili karcę, zdołaliśmy ująć jednego, który wyznał pod nahajem, że dostojną córę Waszej Wielmożności, uprowadzono dla margrabiego d'Arbeil, z wyraźnych jego rozkazów.

— O sromoto! zawoła hetman. Czyliż wam mało infamii rodzica, abyście jeszcze w niewinnej krwi jego szukali pastwy i łupu. Dobrze! czynicie mię tym czym być nigdy niechciałem. Jadę wnet w Sandomirskie i nie złożę oręża, póki nieoczyszczę majestatu z tego plemienia. Waść, Zarembo, rządz całą moją zbrojną drużyną i wydrzyj im dziewczę z drapieżnych szponów, a wdzięczności mojej sowite ci złożę dowody, choćbyś najkosztowniejszej krwi mojej zapragnął w nagrodę.

To rzekłszy powstał gwałtownie, i z całym orszakiem szybko opuścił widownię.

Tymczasem na scenie otwały się bramy warowni, ci smutny orszak zwyciężonych w korniej postawie postąpił ku zwyciężkiemu Monarsze. Na czele jego szedł władca pokonanego grodu, niosąc wręku znamiona dostojeństwa i władzy, a złożywszy je u stóp zwycięzcy w błagalnej postawie, oczekiwał wyroku. Pamiętał bohater że całym blaskiem zwyciężkiego oręża łaskawość i wzniesioną prawicą dał znak przebaczenia i zgody. Braterska miłość jednoczy nieprzyjazne przed chwilą szeregi. Brzmi muzyka radośnemi akordy. Z pokonanego grodu wychodzi orszak dziewic i rzucając kwiaty pod nogi zwycięzców, skocznemil tany maluje radość i wdzięczność, jednocząc się potem z rycerstwem, kształtną wokół Króla układa grupę, którą znowu wybuch bęgalskich płomieni, ozdabia blaskiem i no-



wym widzów obdarza urokiem. Spada nakoniec zasłona, a przez otwarte wnijsia, pełna wrażeń publiczność opuszcza widownię.

Ale pan Bartosz na czele swojej drużyny zatrzymał się u złotej gęsi, a susząc na koniu wyniesione z gospody gąsiorki, miotał obelgi i groźby na sprawców przygody hetmańskiego domu. Wzmagala się stopniami w huczne oznaki zapalczywość podochoconej czeredy, gdy nagle ukazał się na placu orszak wracających do zamku Francuzów. Zapienił się na widok Margrabiego d'Arbeil pan Bartosz, a ująwszy kuszę, na której wprzód osadził strzałę dobytą z sajdaka, zmierzył ku niemu od oka; zajękła cięciwa, rozległ się świst strzały, a za nim krzyk boleści dosięgnionego, który wnet ciężko upadł na ziemię. (\*) Wśród nieładu i trwogi zgromadzonych ludzi na widok popelnionego morderstwa, w szybkim galopie z całą swą rzeszą umknął ku bramom miasta pan Bartosz.

(\*) Historyczne.



#### IV.

**M**ałą przestrzeń poziomej płaszczyzny na szczycie święto-krzyskiej góry, zalegały tu i ówdzie ukryte wśród piętrzących się urwisk skalistych i ciemnej gąszczy niebotycznych modrzewi, kilka niskich na prędce wzniesionych lepianek. Dzika i odludna samotność, rzędy skał stromych i obnażonych sterczących nad przepaściami, co krok nieprzebyte dla stopy ludzkiej zawady, zdolniejszym to miejsce czyniły na legowisko dzikiego zwierza, jak na mieszkanie ludzkiej istoty; ale dzikszym i odludniejszym od zwierza staje się człowiek, gdy zbrodnia czyni go wygnańcem ze społeczeństwa.

Gęsta mgła chmur bujających u szczytu wyniosłej góry, jakby czarną oponczą tłumiała szarawe

światło gwiazd iskrzących się tu i ówdzie po nad chmurami, a samotność miejsca i nocy przerywało tylko słabo migające u okienka wspartej na płaszczyźnie skały lepianki świeciółko, którego promień odbijający się o urwiska dzikimi porośle chwastami, dozwalał oku oswojonemu z ciemnością, rozróżniać z bliska to miejsce otaczające przedmioty.

Na odłamie skały u brzegu płaszczyzny tuż nad niezgłębioną sterczącą przepaścią, leżał ukryty starannie w krzakach dzikiego głogu człowiek i czujnym okiem wpatrywał się w przestrzeń słabego światła lepianki. Jakby zespolony z opoką, która mu była łóżem, długie przebył godziny w milczeniu nocy przerywanym tylko głuchym szumem puszczy górę opasującej, bez innego poruszenia prócz gwałtownych uderzeń serca, miotanego tęsknotą oczekiwania kresu wątlęj i niepewnej nadziei. Wśród usiłowań poskromienia wzrastającej niecierpliwości, usłyszał nakoniec szelest oddalony, i po chwili błysnęło światło latarni, którą oświecał niebezpieczne swe kroki ciężko przedzierający się przez chwasty i sterczące odłamy przychodzień. Powoli rozświecała się okolica; w pełni ukazała się przestrzeń lepianki; wstrzymał oddech leżący na zwiślem nad przepaścią urwisku, a serce zabiło mu trwogą, gdy postrzegł swe położenie; ale w tej chwili już się rozpoznać dały rysy przychodnia, a

uczucia nienawiści i żądy zemsty zastąpiły wszelką pamięć na obecność niebezpieczeństwa: — Muraszka! — wyszemrał przez zęby ściśnione zapalczewością, i ujął silnie za gałkę wystającego z pod żupana pistoletu, — gdy znowu w głębokiej pograżony został ciemności, znikła bowiem latarnia we wnętrzu lepianki, i znowu mrok czarny jak aksamit urozmaicał tylko słaby promyk okienka. Porwał się na nogi leżący na skale człowiek, i pochwycając za pęk gałęzi dzikiego głogu, już miał skoczyć ze skały niepomny na boleść dłoni szarpanej cierniami; ale chwila zastanowienia pohamowała ten zapęd: — Ratunek przed zemstą, — rzekł z cicha, i znowu legł między chwasty, śledząc z całym natężeniem zmysłów wszelkich oznak i dalszej kolei wypadków.

W milczeniu nocy łatwo uderzyły słuch jego stłumione oddaleniem dźwięki rozmowy w lepiance, przerywane łkaniem i jękami, które wzmagając się coraz wyraźniej, odznaczyły się po chwili krzykiem rozdzierającej rozpacz. Nagle otwarło się wnijsie lepianki i zabielił się cień wybiegającej osoby, za którą tuż zaraz ukazał się ścigający z latarnią wręku Muraszka; znowu blask rozjaśnił ciemności oświetlając ukrytemu postrzegaczowi postać Magdaleny Lubomirskiej, której wyraz przeżalenia rozpacz i wstrętu, odznaczał silną wolę, uchronienia się raczej w niedalekiej przepaści, jak



dostania się obmierzłemu prześladowcy który ją ścigał. Jakoż w jednej chwili była u skały wiszącej nad przepaścią: — już tylko kilka kroków dzieliło ją od śmierci niechybnej; zatrzymała się, ostatnie spojrzenie rzuciła za siebie i śmiałym krokiem wstąpiła na skałę; gdy nagle zokrzykiem zadziwienia uczuła się w zbawczych objęciach. Ostrożnie i rozważnie wstępował na skałę Muraszka, a gdy wznosił latarnię dla oświecenia miejsca gdzie się schroniła ofiara, zachwiał się od silnego uderzenia i potoczył się w przepaść z krzykiem przerażającym. Jakiś czas powtarzały się jęki boleści i odgłos uderzeń ciała odbijającego się o wystające u stromej powierzchni urwiska, poczem znowu głuche na chwilę tylko krwawym przerwane wypadkiem owładło milczenie; lecz po niejakim czasie, z drugiej strony góry zaczęły tu i ówdzie ukazywać się pochodnie oświecające ponure postacie zbójców dotąd pograżonych w spoczynku, których zbudziły jęki i odgłos upadku Muraszki. Całym blaskiem mnogich światel rozjaśniła się okolica. Samotna odludność miejsca, zawalające całą przestrzeń płaszczyny szczytu stopy przepalonych żużli i niekształtne odłamy jakby wyparte siłą wulkanu z wnętrzości jałowej góry, głębokie rozpadliny porośłe dzikim chwastem i głógiem, tu i ówdzie wzniosłe konary rozłożystych modrzewi, mgliste kłęby obłoków w których nurzała swe czoło olbrzymia

góra przygniatające jaskrawe światło kurzących się czarnym dymem pochodni, a wśród tego wszystkiego dzikie i strwożone oblicza zbójców malowniczej postaci zbiegających się ze światłem i orężem w rękę, tworzyły w całości swój obraz godny pędzla Salwatora.

Po krótkiej naradzie rozdzielili się na kilka oddziałów i starannie wszystkie przeglądać zaczęli kryjówki,—gdy nagle ozwały się tu i ówdzie wystrzały; legło kilku z gromady, a z różnych miejsc ukrytych zjawily się zbrojne postacie pod barwą Lubomirskiego, i uderzyły na zbójców połączone siłami; zacięta toczyła się walka.

Zbliżone tymczasem do siebie nadzwyczajnością przygody dwa serca, którym dotąd zostawały tylko samotne westchnienia dolegliwości na widok dzielącej ich nieprzebytej zapyry względów światowej przyzwoitości, w opojeniu pierwszych w życiu uściśnień zapomniały na śmierć nawet srożącą się w około dziwnego ich łoża miłości. Świeże wrażenie krwawego zgonu wroga i prześladowcy, o kilka cali taż sama przepaść która go pochłonęła grożąca równem przeznaczeniem kochankom, dalej nieco krwawa bitwa od której losu wszelka ich zawisła nadzieja, wszystko to znikło w uroczem oмамieniu pierwszego a może ostatniego w życiu uszczęśliwienia. Śmierć sama w tej chwili osłodziłaby jeszcze spełnioną miarę rozkoszy.

Tymczasem pod wsią Łegonicami w województwie Rawskim, na przestronnej dolinie liczna partya Lubomirskiego szerokim leżała obozem. Szlachta województw Poznańskiego, Sandomierskiego, Kaliskiego, Sieradzkiego i Łęczyckiego, każda pod swą barwą i chorągwiami oddzielne zajmowała tabory, które rozłączały obozowiska drogonii, jazdy pancerniej, rot wolontaryuszów i całego zbrojnego towarzystwa.

Na wzgórzu panującym nad doliną, wznosił się szeroki namiot Hetmana, pod którym zgromadzeni kommissarze: Biskup krakowski Andrzej Trzebicki, Kasztelan sanocki Piotr Warszycki, Wojewoda inowrocławski Krzysztof Zegocki i Hetman polny W. Ks. litewskiego Michał Kazimiérz Pac, traktowali o porozumienie się w niezgodach rozdwojenia się obywatelskiego. Ale frasunek domowych nieszczęść Hetmana, które przypisywał zawsze intrygom czyhających na spoczynek i dobro kraju Francuzów, tarmował postęp ugody skądinąd tak przez samego Hetmana jak i przez jego pożądanęj stronniectwo, którego cały zapal utrudzały oddawna długie i czeze a bez stałego celu pogonie i stanowiska. Nieodmawiał atoli Hetman wymaganej od siebie submissyi i użycia wpływu swęj przewagi na pojednanie rozdwojonych w kraju żywiołów; ale wymagał obok kassaty dekretu bannicyi głośnego wytoczenia sprawy o poniewierkę wyrządzoną swemu imieniowi i

części obywatelskiej w osobie córki, wrócenia jej na łono rodzica i ukarania wedle statutów na gardle winowajców gwałtownego uwiezienia panny zanego rodu.

Niełatwym był do spełnienia ten ostatni warunek, aczkolwiek godziwy i rodzicielskiem sercem usprawiedliwiony. Głuche i nieuzasadnione wieści obwiniały wprawdzie o udział w tej sprawie osób wziętość u dworu posiadających, ale żaden dowód niewspierał oskarżenia, które zresztą dotyczyło głównie Margrabiego d'Arbeil, a ten, jak widzieliśmy, poległ od pocisków podpiłej szlachty. Umiarkowane w téj mierze mniemania czyn cały przypisywały prostym zbójcom dla wyjednania bogatego okupu, a ocalenie uprowadzonej panny samego tylko dziełem być mogło Hetmana, któremu zresztą niezbywało na środkach dopięcia zamiaru, bądź ugodą, bądź mocą.

Nieporozumienia te odwlekały pożądaną powszechnie konkluzją układów, a czas schodził na dysputach i przezorném ważeniu zobopólnie proponowanych warunków, gdy nagle zabrzmiały na całej przestrzeni obozu okrzyki pozdrowienia i hucznych wiwatów. Szybko wybiegł Hetman z namiotu, przed którym właśnie stanęła ciężka koroca otoczona zbrojnym poczem pod dowództwem Jędrzeja Zaremby, i za chwilę rzuciła się w objęcia ojca Magdalena Lubomirska.



Po upłynieniu pierwszych wrażeń zadziwienia i radości, skwapliwie rozpytywał się Hetman o przyczyny i szczegóły ocalenia swjej córki, która mu opowiedziała wszystko co dla niej uczynił Zarem-ba, a odprowadziwszy ojca na stronę, oświadczyła stanowczo że jemu poświęcić postanowiła to życie, które on dwakroć z narażaniem własnego od niechybnej ocalił zguby, gdyby zaś niesprzyjała tej myśli wola rodzica, ślubowałaby Bogu resztę swojego żywota.

Zmarszczył brwi Hetman na myśl spokrewnienia się z prostym i ubogim szlachcicem; długi czas zachmurzony, szybkim przechadzał się krokiem; ale pamięć wzniosłych przymiotów młodzieńca, mnogich zasług tak dla kraju jak w szczególności dla domu jego przezeń złożonych, oparta na szacunku przyjaźni którą go oddawna zaszczycał, w końcu pamięć obietnic wynagrodzenia go za ocalenie córki choćby ceną najbliższej krwi swojej, przemogły wszelkie względy osobistości. Rozpogodził czoło i rzekł:

— Verbum nobile! niech krew szlachecka jednoczy się z pańską gdy ją wznosi prawość i cnota; a śpieszmy z godami dopókim wygnaniec, bo jeśli mi Niebo poszczęści do odzyskania względów Najmiłostwieszego Króla i Pana mojego, wara mi z abdykacją i pretensyami owych tam Francuzów; bo i ja acz sędziwy jeszcze rzeski do korda i konia, i nieprzygniotłaby mię do ziemi korona; a gdybym

ją pozyskał, jużby mi niemógł być zięciem Za-  
remba.

Wśród uszczęśliwienia zachwyconej pary, szybko  
do pożądanego kresu doszły układy, a kraj z dotkli-  
wych niesnasek ujrzał wyzwolenie i błogi pokój.



## NOC.

**S**mutne są kwiaty, gdy słońce promienne  
Pali je ogniem, ich głowy nachyla,  
Lecz jak wesole gdy je noc zasila,  
Na nowe walki i cierpienia dzienne,  
Noc wzmacnia sity i balsamem męztwa,  
Zalewa serce, wskazując zwycięztwa.

Próżniaczy umysł spoczynku zażąda,  
I na ten księżyc co blademi oczy  
Po falach wodnych rzuca cień uroczy,  
Spogląda okiem, sercem nie spogląda.

Chwila marzenia — jeżeli się zowie  
Szczęściem człowieka, to właśnie ta chwila  
Wnocy się znajdzie — Patrz księżyc w połowie  
Z za chmur złożone promienie wychyla,

Jakby się bawił jakby drażnił oko ,  
 Zaledwie wyszedł , już się skrył w obłoki.  
 Pod jego twarzą płyną chmur potoki,  
 A on w nich błądzi daleko , wysoko.

To los twój właśnie pędzi jego torem ,  
 Raz się przywlecze ozdobnym ubiorem,  
 A inną razą , niby drażniąc z tobą ,  
 Duszę ci czarną pokryje żałobą ,

Spojrzej w ten obraz nocnego tułacza ,  
 Powrócił — światło na wodach roztacza .  
 Jak wąż ognisty po bałwanach płonie ,  
 I złoci kręgi i pod nimi tonie ;  
 A fale noszą drobnych świateł szczytki ,  
 Niby to człowiek cacko dla pamiętki .  
 I płynie woda , pyszna oświetleniem ,  
 I mruży z cicha i rwie swoje ściany ,  
 Jak ten co szczęściem pijany ,  
 Za wielkości goni cieniem .

Dla mnie rozkoszy blasku niepotrzeba ,  
 Chciałbym mieć tylko tak potężne dłonie ,  
 Abym te ziemie te wody i nieba ,  
 Niby kochankę przy mym ścisnął tonie .

Pieścił się z niemi , jak ojciec z dzieciną .  
 Płynął i pluskał jak te wody płyną ,  
 Świecił jak miesiąc z górnych sklepień świeci  
 Dla moich braci jednej ziemi dzieci ,



Tęm czasem kwiatku z tobą się popieszczę,  
Z tobą ja razem umocniwszy siły,  
Nieszczęścia życia mogę znosić jeszcze  
Bo moje czucia odżyły.

I nieupadnę pod ogniem słonecznym,  
Bom nabrał męstwa i mocy,  
Bądź więc bezpiecznym, jak ja bezpiecznym,  
Mój świadku dumania w nocy.

*Lenartowicz.*



## MIŁOŚĆ I ZEMSTA ARTYSTY.

POWIEŚĆ.

**P**rzy jednej z winnic wslawionego *lacrima Christi*, widziano przeszłorocznej jesieni dwóch Ichmościów siedzących za butelką wina. Jeden z nich, był to officer wojsk austryackich, blondyn ze świeżym rumieńcem, z wijącemi się puklami włosów, co do najmniejszego szczegółu starannie ubrany, tak iż można by posądzić że musi być rozkochany w samym sobie; drugi zaś cywilny, jakby dla sprzeczności z pierwszym był brunet w zaniedbanym stroju, ciemnym okryty płaszczem, z głębi wyzółkłych zapadłych policzków,

oczy skrzyły mu się chorobliwym blaskiem. Kiedy i jak zbliżyli się do siebie, co uprzednio mówili, wiadomym nie jest, dość że nie zważając na sąsiadów swoich, taką dalej prowadzili rozmowę.

— A więc kapitanie Henryku, mówił człowiek w ciemnym płaszczu, usłużnie podając szklankę wina towarzyszowi, znałeś Zorzinę?

— Dość żeby przy okoliczności mile wspomnieć o tém, odpowiedział officer z uśmiechem zadowolenia.

— Jeśli się nie mylę, było to w tym czasie kiedy ona słyęła w Breścia.

— Tak jest Mości Panie, w czasie kiedy słyęła w Breścia, Padwie, Bolonii, Parmie, Wenecyi, ba i w całych Włoszech.

— Kapitanie! pytać nie będę czy to były szczęśliwe czasy dla pana. Bardzo dobrze pamiętam o tém, jaki to był zaszczyt jeśli kogo z tłumu wielbicieli, czarująca śpiewaczka obdarzyła łaskawym spojrzeniem.

— A jednak sądziłbym że nie próżno chępię się, mówiąc, że spoglądała na mnie, niezupełnie obojętnie.

— Ba! czegóż by jej więcej trzeba było. Postać okazała, epolety, mundur suto haftowany, podostatek złota. Kapitanie miałeś wszystko czém się podbijają serca bogiń kulisowych, i jak się zdaje bie-

daczka była podobna z tego względu do innych swoich towarzyszek. Oto więc tylko chodzi: czy ona cię panie rzeczywiście kochała.

— Powiem prawdę, bo chcę być szczerym. Ona mnie dopiero poczynąła kochać. Ale dość tego, cała ta dziecinna historia zapewne nie wieleby zajmowała pana.

— I owszem, uręczam że bardzo. Z powołania mojego zajmuje się każdym przedmiotem, tyjącym się sztuk pięknych i poezji. Od chwili kiedy wyszedł ze szkół, pilnie nadstawiam ucha śpiewowi słowików naszej Auzonii. Z prawdziwą przyjemnością wywiaduję się o wszelkich szczegółach ich życia, a przedewszystkiemi najciekawszy jestem biografii Zorziny.

— Kiedy tak, dalej drożyć się niechcę, i pozwolny pańskiej fantazyi opowiem całą moją znajomość z Zorzina.

— Właśnie tego życzę sobie.

Tu człowiek w ciemnym płaszczu, po raz drugi przylał wina do szklanek, a officer zalotnie podmuskawszy swoje blond wąsiki, tak mówił:

— Będzie temu lat cztery, czyli pięć, pułk nasz stał garnizonem w Breścia, Zorzina cudów tam dokazywała, rzekłbyś że zawróciła głowę całemu miastu. Po trzech wieczorach którym przepędził w teatrze, byłem w niej rozkochany.

— To tak jak wszyscy — w całym mieście.



— Przynajmniej jak wszyscy officerowie naszego pułku. Jój oczy zrobiły na mnie wrażenie, jakiego żadna inna kobiéta dotąd niewzbudziła. Prędko dostrzegła moję miłość, ale bynajmniej nieokazywała żadnego współczucia. Posyłałem bileciki jedne po drugich, bukiety po bukietach, lecz wszystko było bezskuteczne; pokazało się bowiem że Prima Donna, już miała kochanka, którym był jak mówiono znakomity artysta.

— Może malarz?

— To mi wszystko jedno, może i malarz — ale tak zawistny i podejrzliwy że zazdroszcząc uniesień które Zorzina w tłumie widzów nieciła, miał się z nią żenić byleby ją wyrwać z pośród tryumfów. Nikła przeto dla mnie cała nadzieja szczęśliwej miłości; aż oto pewnego wieczora, kiedym szedł przez plac Świętego Jakóba, jakaś staruszka przytrzymała mnie za suknie, i tajemniczo podała paczkę z sygarami, w środku których znalazłem bilecik.

— Co? bilecik Zorziny?

— Nieinaczéj.

— Szczęśliwy człowieku! cóż pisała owa czarodziejka?

— Tysiące miłych rzeczy, kończących się takim poleceniem: „Bądź jutro w parę godzin po zachodzie słońca w Villi Montefiascone, czekać cię tam będę.”

— Cóż zrobies?

— A to mi pytanie — pobiegłem tam najpunctualniej.

— Przecież w Villi w ten dzień bal dawano, czyliż byleś zaproszony?

— O nie — wcisnąłem się podstępem, a w ostatnim razie i żelazem utorowałbym sobie drogę.

— Cóż dalej?

— Oświecone salony i ogrody jaśniały wspólnie jakby rywalizując z niebem usianém tysiącami gwiazd. Tłumy wesółych gęstemi falami przesunęły się po wspaniałych salonach pałacu, pomniejsze zaś grona, snuły się po cienistych aleach ogrodu. Wszakże w ustach i tych i owych, jedno tylko było imię — imię Zorziny, sławniej śpiewaczki, od dwóch lat zachwycającej Breścia i mającej nazajutrz wystąpić po raz ostatni w operze *Semiramis*.

— A więc i tego wieczora zebrali się żeby ją widzieć i słyszeć.

— Nicinaczéj — zlecieli się po to z różnych stron na mil dwadzieścia wokoło. Ale wróćmy do rzeczy.

— Dobrze pan mówisz.

— Wyobraź sobie, zaledwiem wstąpił na przestronny krużganek pałacu, postrzegłem w głębi jego, kobietę w białém ubraniu, kwiatami uwieńczoną. Stała nieporuszona wsparta o marmurową kolumnę.

— Podobna do Julietty wyglądającej Romea.

— Jeśli chcesz niech i tak będzie. Podobna do Julietty — poszedłem prosto ku niej; szelest mego stąpania przerwał jój zadumanie.

— To pan jesteś kapitan Henryk, rzekła do mnie głosem stokroć dźwięczniejszym, niż brzmienie arfy Eolskiej.

— Tak jest odpowiedziałem. To ja, com od tak dawnego czasu wzdychał do sposobności widzenia cię pani! Wcisnąłem się pomiędzy tłumy biesiadników, znajduję cię pani i teraz jestem najszczęśliwszy z ludzi.

— Ah — pan możesz być szczęśliwym, mówiła dalej tym samym głosem — lecz co do mnie, niepojmuję dla czego pomimowolny dreszcz mnie przejmuję. Zdaje mi się, rzekła usuwając się z mych objęć, że nierozsądnie postąpiła. Biada nam jeżeli Giulo o tém się dowie?

— Giulo, zawołałem, któż to jest ten Giulo?

— Ha, na nieszczęście przyrzekłam oddać się jemu. Jestto wielki artysta, ale szaleniec, przed którego miłością niewiem gdziebym znalazła schronienie.

— Więc takie było jój o nim zdanie?

— Ona mi to drżąc mówiła i zdawało mi się że jój duże piękne oczy, jakiś pomrok osłonił. Wszakże nader krótko trwało nasze spotkanie. Wnet bowiem dały się słyszeć rozmaite głosy zbliżających się ku nam.

— Szukają mnie rzekła Zorzina. Trzeba żebym śpiewała i żeby mnie widzieli. Uzał się nademną Henryku i uchodź spiesznie.

— Bądź zdrowa moja Semiramido! odpowiedziałem całując jój rękę, i w kilku skokach zbiegłem na dół do ogrodu. Wtedy to moja czarodziejka odpięła kwiatek ze swojego wieńca, zdjęła pierścień z ręki i rzucając mi je zawołała: „To dla ciebie.”

— Więc tu się kończy cała twoja historia kapitanie.

— Naksztalt tego, rzecze officer. Nazajutrz teatr w Breścia był wspaniale oświecony, sążniste afisze ogromnemi literami zapowiadały Semiramidę, operę Serjo, jako ostatnie wystąpienie i benefis Signory Zorziny. Tłumy ludu cisnęły się ze wszech stron i jak masą wód otoczyły wszystkie wejścia teatru. Nakoniec drzwi się otworzyły i jego sklepienia pochłonęły potok ludzi cisnących się tu i owdzie z hałasem. Ledwie chwilka upłynęła, a już sala była przepelnioną, mnóstwo osób pozostało za teatrem lub w jego korytarzach. Scisk przeto był niestychany, tu wszczęto klótnie, tam przychodziło do bity, krzyki i hałas zewsząd się szerzyły, rzekłbyś że od nich mury pękać będą, a jednak nagle wszystko ucichło. Rozpoczęto uwerturę.

— Ale cóż benefisantka? kapitan nic o niej nie mówisz.



— Poczekaaj będzie i o niej. Skończyli uwerturę a przecież zasłona niepodniosła się. Zdumiona publiczność ogromnemi krzykami poczęła wywoływać śpiewaczkę. Hałas wzmagał się coraz więcej. Wszystko na próżno. Nastąpiła wrzawa i zamieszanie, jakich dotąd nie było, aż nareszcie po dobrym kwadransie podniesiono zasłonę, a publiczność ujrzała reżyssera, który zbliżył się naprzód sceny z trzykrotnym ukłonem. Nastąpiło grobowe milczenie.

„Szanowna publiczności, ozwał się reżysser. Wszystkie usiłowania żeby wynaleźć Signorę, były próżnemi. Signora znikła.”

Usłyszawszy te słowa publiczność rozeszła się smutna, milcząca, robiąc w zdumieniu tysiące domysłów, coby to znaczyć miało. Ma się rozumieć iż co do mnie, wracałem więcej smutny, bardziej zdumiony niż ktokolwiek inny i pilnie słuchałem wniosków dotyczących się dziwnego zniknięcia pierwszej włoskiej śpiewaczki. Mówiono rozmaicie:

„Signora zlekła się skutków swojego życia światowego i wyjechała do Rzymu, gdzie wstąpi do klasztoru.”

„Signora obawiała się ułożonego za mąż pójścia uciekła do Francji, przebrana za kontrabandzistę.”

„Signora dnia poprzedzającego zdradziła swoje nowę skłonność dla jakiegoś oficera austriackiego, a dawniejszy kochanek przebił ją sztyletem.”

— Pan łatwo uwierzysz że na to ostatnie wnioskowanie nadstawiłem ucha jak rumak słyszający ryk dział rozpoczynających bitwę. Ale napróżno zbliżyłem się do grona osób od których wyszły owe słowa nikt nic stanowczego powiedzieć nie mógł.

— A zatem niewiesz nic więcej o losie Zorziny?

— Nic, chyba to, że kwiatek od niej otrzymany zwiądł, a następnie w proch się obrócił, i tylko pierścień z jęj drogięj ręki tu na piersiach moich złożony, ani na chwilę nie był odemnie usunięty... A to co mój panie? Czemu tak gwałtownie zdruzgotałeś twoją szklanę?

— Przepraszam — myślałem o dziwactwie tego wydarzenia. Wszak to właśnie tu gdzie się kończy twoja kapitanie historia, o której tylko nieco wiedziałem, zaczyna się inna, lepiej mi znana.

— Co przez to chcesz powiedzieć? Mógłżebyś mnie uwiadomić co się stało z Zorzina?

— I owszem.

Teraz z kolei officer wziął się do butelki usługując podlewaniem wina do szklanek, — łyknął haust spory i zawołał:

— Mów; — słucham.

Towarzysz. w ciemnym płaszczu nie dał się prosić i tak mówił:

— Tego wieczora, kiedy miało być przedstawienie zapowiedzianej opery, Prima donna w swo-

im własnym pałacu siedziała u gotowalni i ubierała się w obec wiadomego panu artysty, to jest malarza; dość prędko ukończyła toaletę i była gotową do wystąpienia w roli Królowej Babilonu. Malarz Giulo, jeśli przypominasz, milcząc w nią się wpatrywał i zarzucał sobie, że dotąd niedość jeszcze oceniał jój wdzięki. Zdawało się jemu, że korona tak właściwie umieszczona na jój czole, jak słońce na niebie, że jej piękne oczy z pod długich czarnych rzęsów, błyszczą jak brylanty w czarnej oprawnej emali, że pukle lśniących się włosów po nad bladurumianemi jój policzkami tworzyły rysy, podobnie Rafaela kreslone, że usta ożywiał uśmiech czarodziejski, jedném słowem, że wszystko w niéj było urokiem — poezją. — Widząc ją taką, Giulo niebył panem samego siebie. Gorączka nim owładnęła, gorączka podwójna, zawiści i natchnienia, ta okropna słabość, w której człowiek przestacza się, albo w półboga, albo w szatana, ta fatalna godzina, w której Mozart wpadał w obłąkanie, a Byron lękał się jeden wiersz napisać, bo by nim cały świat przestraszył.

— Cóż uczynił Giulo?

— Giulo rzekł do niéj: A więc od téj chwili, musisz być moją.

— Ah! mój władco, odrzekła, jeszcze trochę cierpliwości, jeszcze dzień jeden.

— Jeden dzień! Oh Zorzino, jakże jesteś próżna. Twoja sława droższą jest dla ciebie, niż miłość!

— Giulo! na co mi to mówisz. Daj mi ten dzień jeszcze, będzie to ostatni dzień mojej chwały. Wszak przyrzekłam, muszę więc dotrzymać. Po przedstawieniu Semiramidy, już tylko do ciebie należeć będę.

Malarz nic nieodrzekł, ale chwycił się za czoło jak gdyby myśl jakaś nagle go oświeciła.

— Więc jedziemy? rzekła piękna dziewczyna.

Po chwili zeszli na dół oboje. U bram pałacu czekał na nich pojazd. Kiedy wsiadali, Giulo szepnął coś do ucha stangretowi i pojazd wielkim pędem potoczył się po bruku.

— Dokąd kazałeś jechać, zawołała strwożona Zorzina. Wszak to nie jest droga do teatru. Całe Breścia tam mnie czeka, a my jesteśmy na ulicy Podestat, blisko twojego gabinetu!

Giulo milczał ciągle, pojazd wkrótce się zatrzymał — a wtenczas malarz wzięwszy na ręce Zorzinę gazą i kwiatami strojną, uniósł ją do pokoiku, którego drzwi jak na zawołanie przed nimi otworzyły się.

— Co pomyśli Breścia, mówiła śpiewaczka. — Dziesięć lat pracy, Neapol pełen zapału, hołdownicza Bolonia, Wenecya, która ciągle mnie wzywa, sławę i o co się tylko w życiu troszczyłam, ty mi wszystko wydzierasz Giulo!



— Co tam te fraszki! kilka tysięcy rąk miało ci poklaskiwać i rzucać wieńce, ale ja dręczony zawiścią, niezmrużyłbym oka przez noc całą, na tę myśl tylko, że inni patrzą na ciebie, poją się twoim głosem, mnie zaś w samotności tylko marzyć o tobie pozostało. Wszakże jeśliś tak chciwa sławy, spójrzij na ten obraz, będzie to *męczeństwo Cecylii*. Kat z posługaczami i narzędzia mąk już są wykonane, brakuje tylko dziewicy. — Zorzino, ty będziesz ową dziewicą, a na tym obrazie, ja unieśmiertelnię ciebie, twoje czarne oczy i twój wieniec z kwiatów.

— Jest tu Giulo mała omyłka. Tobie dla wzoru nie komedyantka jest potrzebna, trzeba ci wyrazu cierpień, boleści, a ja ustrojona w klejnoty i róże raczej do posągu rozkoszy byłabym podobną.

— Niech cię to nie frasuje. — Zrzuć te kwiaty.

— I tak jeszcze nie zostanę dziewicą chrześcijańską, patrz na tę odzież, jestem żoną Assura.

— Precz z tem wszystkiem, precz ze złotem, bryllantami, zrzuć gorset, rozrywaj spięcia!

Malarz sam spełniał rozkazy, które dawał.

— Czyż przy tém wszystkiem, mówiła Zorzina, przestanę być kobietą światową, czyliż moje usta mniej się uśmiechają, a w całej postaci mniej zmysłowych powabów?

— A więc miej się na baczności. O to kat zbliża się ze wszelkimi narzędziami tortury. Zorzino! ty będziesz dziwnie piękna pod czas męczeństwa.

— Tylko westchnienia moje nie ku niebu ulatywać będą, ale ku scenie teatralnej.

— I ty westchnienia twoje zwrócisz do Zbawiciela. — Patrz o to kat przy tobie. — Wyciągnij twoje ręce niech je okują. Czeka, teraz uwiążą cię do pręgierza. Co? już płaczesz? Twoje alabastrowe ciało jęka od chłosty. Ah Zorzino! jakżeś ty teraz piękna!

— Więc on ją rzeczywiście okuł i skępował, zapyta kapitan Henryk.

— Nietylko okutą przywiązał do słupa, lecz blade, w szaloném zapamiętaniu to malował ją, to znowu wznawiał chłostę i szarpał ję łono.

— Nieszczęśliwa kobiéta!

— Czemu nie powiesz raczej, nieszczęśliwy malarz. Wszakże on cierpiał więcej niż ona, on wołał w obłędzie: patrz! oto już kleszcze rozpalone i szubienica czeka na ciebie z otwartymi ramionami.

— Ty mnie przerażasz!

— Ale jakżeś teraz niewypowiedzianie piękna. Na krzyżu zaś będziesz miała postać bóstwa. A więc na krzyż — na krzyż.

— Giulo zlituj się!

— Niema litości, umieraj!

— Ja nie Cecylia znakomita Rzymianka, ale Zorzina śpiewaczka, uzał się nademną.

— Próżne płacze, musisz umrzeć!

I gdy jego szaleństwo trwało dalej, porwał młotek, ćwieki i przebiwszy niemi jej ręce i nogi, zawiesił ją u słupa.

— Ha! ukończ to straszliwe opowiadanie, wołał kapitan Henryk, którego twarz oblała się zimnym potem. Czyś czarnoksiężnik dawnych wieków, że całą moc szlachetnego wina zniweczyłeś twojemi słowami.

— Czyliż nie sam pytałeś, co się stało z Zorziną.

— To prawda — któżby jednak spodziewał się podobnego rozwiązania dramatu.

— Poczekaj, ledwo pierwszą połowę wiesz rozwiązania, a więc opowiem ci drugą.

— Dajmy temu pokój, już i bez tego smutno mi na umyśle. Przyszedłem tutaj rozweselić się winem, tym drogim darem nieba, a oto nabijasz mi głowę grobową powieścią. Dosyć! Dosyć.

— Kiedy tak, to niebędziesz wiedział jakim sposobem Zorzinę wrzucono do morza.

— Co mówisz! to ciało kształtniejsze niż greckiej Wenery.

Tak, tak Mości panie. Ukończywszy malować swój obraz męczeństwa Cecylii, i bez podpisu przesławszy go w podarunku dla galeryi w Breścia, Giulio zdjął ze słupa to ciało, jak powiadasz kształtniejsze niż greckiej Wenery, położył je w poprzek na koniu i jechał prosto przed siebie, dopóki nie przybył nad morze adryatyckie, tu więc zdjął je i rzucał morskim rybom na pastwę.

— Krwawy geniusz Shakespeara niewymyśliłby nic okropniejszego. Ten Giulio, jest to zapewne tygrys z ludzką twarzą.

— Albo też nieszczęśliwy waryat.

— Więc go uniewinniasz.

— Lituje się nad nim.

— Cóż później z nim się stało?

— Zawsze godzien politowania. Naprzód rzucał się w odmęt głupstw najdziwaczniejszych. Lubo artysta, przecież zimny i spokojny, liczył więcej kochanek pomiędzy słynąciami śpiewaczkami, niż ktokolwiek inny z ludzi jego wieku i powołania. Wszakże przy najpiękniejszych czuł tylko wstręt i rozpacz. Zdawało się jemu że go przedziela od tych kobiet cień Zorziny, takiej jaką widział ją w swoim gabinecie, to jest umierającą śmiercią męczeńską, a przecież okrytą gazą i uwieńczoną kwiatami. Jednak dobrze mówileś kapitanie, dość tej grobowej powieści: — Pijmy dalej.



— Dość i picia. Wreszcie jużemy osuszyli butelkę i noc nadchodzi, a potem jeśli mam prawdę powiedzieć, ten szatan malarz mnie zajmuje. Gdzieby on był teraz.

— Kto wie — jak powiadają on jest tam zazwyczaj, gdziekolwiek może znaleźć wspomnienie lub pamiątkę Zorziny.

— Wszystko to bardzo dziwaczne.

— Bardzo dziwaczne, zgadzam się na to. Ale posłuchaj jeszcze; kiedyś powiedziano jemu „Giulo. ów człowiek którego Semiramis przeniosła nad ciebie, w Villi Montefiascone otrzymał od niej obrączkę czyli pierścień i zawsze go nosi przy sobie.” Od czasu powzięcia téj wiadomości, artysta ani na chwilę nieodwrócił swoich oczu od tego który skradł jego szczęście.

Ostatnie słowa człowieka w ciemnym płaszczu, wymówił wolno lecz groźnie, i tu właśnie otworzyły się oczy kapitanowi, powstał więc ze swego siedzenia i w straszném uniesieniu:

— Ty jesteś Giulo! zawołał. Ty morderca Zorziny! Od lat czterech twój płaszcz ciemny nawija mi się ciągle, i jak widmo wszędzie mnie ściga. Czas położyć koniec temu opętaniu. Każ niech ci przyniosą szpadę, rozprawiemy się mój panie!

Giulo, bo to był on sam, odpowiedział zimno:

— Każ lepiej podać drugą flaszkę wina i pijmy dalej kapitanie.

— Więc mało ci żeś zabójca. Chcesz jeszcze dowieść żeś podły. Czyliż odmówisz zmierzyć się ze mną z bronią w rękę. Co? bić się niechcesz!

— Bić się — odpowiedział malarz, byłoby zbyt zbytecznym. Wino które od dwóch godzin pijemy, jest doskonale zatrute.

*Karol Horáček*



Do

## WYDAWCY NIEZAPOMINATEK

PRZY PRZESŁANIU ARTYKUŁU.

*Tibi solis.*

**K**iedy do drzwi moich pukasz  
Lichych ziarenek u mnie szukasz  
I powiadasz: nic nie szkodzi  
Wszystko się tu razem zgodzi  
Odmówić ci nie wypada  
Ale bracie moja rada:  
Idź na niwy i obszary  
I z tamtąd zbieraj ofiary.

Moje ziarko w tłumie zginie  
Tak jak giną ich tysiące,  
I choć w owoc się rozwinie  
To przyjdą skwary gorące

I owoc się wczesnie spali  
 Nic go, nic go nie ocali.  
 O! tylko na jednej ziemi  
 To ziarnko może nie zginie!  
 Może się nawet rozplemi  
 Może pożytkiem zastynie.  
 A tem jest serce dzieciny  
 Tam moje ziarno zasiewam  
 To cel zabiegów jedyny  
 Z niego się plonów spodziewam.

## SZYMONEK.

### OBRAZEK MIEJSCOWY.

— „Zawsze sobie matulu wspominam z pociechą  
 „Zem tu pod tą słomianą urodzony strzechą,  
 Mówił Szymek, gdy ze szkół przyjechał do domu,  
 „O nic zazdrościć bogactw nikomu.“

— „Bóg ci zapłać mój synu“ odrzeczce matula  
 I dobrego Szymonka do serca przytula,  
 „Bóg zapłać, że ci chatka Ojców twoich droga;  
 „Siądź-że na tej ławeczce, prosta lecz chędogą,  
 „Cóż? czy się w naszej chatce co nie odmieniło?  
 „Zawsze ci tu, Szymonku, dobrze z nami było!



— „Oj dobrze, tu na trzonie ciepłego kominka  
 „Grzały się obwarzanki dla waszego synka.  
 „Zdała z mlekiem garnuszek. z ziemniaczkami rynka.  
 „Dobre to były czasy, ach matula droga!  
 „Tuście wcześniej me serce zwracali do Boga.  
 „Ten Pan Jezus rozpięty, obrazki do koła,  
 „Relikwije Świętych Pańskich, te święcone zioła  
 „Wszystko to nieraz w szkołach w pamięci się zbiegło  
 „Od złych myśli bronito, serca mego strzegło  
 „I wracam nieskażony w naszej chatki progi.“  
 — „Niech ci Bóg błogostawi, mój Szymonku drogi;  
 „Bądź skromny i cnotliwy, bądź matki pociechą  
 „Zawsze pomnij, żeś zrodzon pod słomianą strzechą  
 „Cnotliwego ubóstwa wstydzic się nic trzeba  
 „Pamiętaj że pokora prowadzi do nieba.“


*Stanisław Fachowicz.*



## GDZDOWNY OBRAZ

# NAJŚWIĘTSZÉJ MARYI PANNY

W SOKALW.

mnogich obrazów N. Maryi Panny cudami słynących, a w kraju Polskim w różnych miejscach znajdujących się, po Częstochowskim, najslawniejszym był obraz Sokalski. Istnienie jego sięga XIV<sup>go</sup> wieku, odtąd przez wszystkie następne czasy miał największą cześć w pobożnym narodzie, wyświadczając liczne korzającym się przed nim dobrodziejstwa, czy to ukojeniem cierpień ciała, czy pokrzepieniem zwątlatego ducha, czy pociechą we wszelkich strapieniach i frasunkach życia. W dniu 25 maja roku

bieżącego, w Wniebowstąpienie Pańskie, ogniem w kościele wszczętym, który gmachy ustronia świętego zniszczył, i Obraz ten cudowny spłonął. Gdy tym wypadkiem przedmiot czci tyłowiecznej niepowrotnej uległ zagładzie, właściwem będzie przeszłość jego jako téż i miejsca przypomnieć, i w krótkim skreśleniu przechować.

Kiedy Król Władysław Jagiełło przyjąwszy światło wiary Chrystusowej, Litwę do niej nawracał, znajdował się między nowo ochrzczoneymi malarz pewien *Jakób Wężyk*, w ówczas zawołany, gdyż i na królewskim dworze wiele obrazów, wizerunki królewskie i różne zdarzenia wystawiających, sporządził. Ten, na częstém malowaniu (roku 1,392) wzrok utraciłszy, Matce Boskiej Częstochowskiej ofirował się, i widzenie odzyskał. Wdzięcznością przejęty wróciwszy z pielgrzymki, postanowił obraz Matki Najśw. z pamięci, jak to umiał, odmalować. Przyspasabia więc cyprysową tablicę, lecz do pracy zabrawszy, schwycić podobieństw nie może. Dwakroć do Częstochowy powraca i zawsze napróżno. W tém gdy z trzeciej już pielgrzymki do domu przychodzi, znajduje na swój tablicy wizerunek, z zupełnem podobieństwem nie widomą ręką zdziałany. Niebieskie to malowidło złożył Wężyk w Sokalu, w cerkwi greckiej tamże będącej, gdzie sam téż osiadł i do końca życia pozostał.

Takie jest o początku świętego Obrazu, gminne podanie.

Później niewiadomo kiedy, w spaleniu przez napad tatarski miasta Sokala, i ciekiew owa zgorzała. Obraz wszakże w całości w popiołach znalazł się, umieszczony nadal w kościółku z balów dębowych, gliną zewnątrz wylepionych zbudowanym, a Katolickiemu kapłanowi w dozór powierzonym.

Szerząca się sława cudów świętego Obrazu, skłoniła złożonego ciężką chorobą Biskupa Chełmskiego Stanisława Gomolińskiego, do ofiarowania się Matce Boskiej Sokalskiej. Gdy zdrowie odzyskuje, odwiedza miejsce, a widząc zbyt trud jednego kapłana świeckiego, przy ciągłym natłoku pobożnych, sprowadza ze Lwowa *Braci Zakonnych S. Franciszka Obserwantów*, i w dozór im kościółek, a na własność przyległe grunta i łąki dnia 17 października 1599 r. oddaje. — Niedługo potem wybudowano obok kościółka kaplicę, do której dla lepszej od ognia ochrony, przy częstych hord dzikich najazdach, Obraz cudowny przeniesiony został.

Atoli złożone hojne ofiary, zwłaszcza wspomnianego biskupa Gomolińskiego, Jana Hrabiego Ostrogora Wojewody Poznańskiego, Anny Uchańskiej Wojewodziny Bełzkiej, Hieronima Jazłowieckiego Starosty Sokalskiego i wielu innych, dozwoliły zacząć się wzniesieniem właściwszej budowy. Zaczęto



więc stawiać istnący w dalszych czasach kościół i klasztor, w miejscu kościółka pierwotnego i założony kamień węgielny przez biskupa Chełmskiego Jerzego Zamojskiego, i przez niego w dniu 14 kwietnia 1611 r. ukończona budowla poświęcona. Na wyspie Bugiem i odnogą onego czyli rzeczką Ratą utworzonej, po lewej stronie głównego koryta rzeki, wśród wesołych błoni i łąk zieleniących się, wznosi się ów przybytek okazały. Ustronność miejsca, miłe i wesołe jego położenie, poważne kształty świętych gmachów, cichość okoliczna szmerem wody lub dźwiękiem kościelnego dzwonu tylko przerywana; wszystko to razem przejmując duszę pewnym nadziejskim uczuciem, odrywając od światowego gwaru, usposabia do pobożnego dumania. Nie dziw że tu bliższy z Niebem stosunek, że łatwiejsze wymodlenie łaski, przebaczenia, otuchy! — Częste napady nieprzyjacielskie, powodowały wystawienie budowy klasztoru w kształcie twierdzy; otacza go mur silny czterema po bokach wieżami wzmocniony; od strony zachodniej ciągnie się jeszcze mur podwójny. Trzy bramy piętrowe przystęp do klasztoru dają. Sam kościół ołtarzem wielkim ku wschodowi obrócony, okazałej budowy, z trzech części się składał to jest z nawy głównej i dwóch pobocznych, które wszystkie wzniosłe pokrywały sklepienia. W ołtarzu nawy bocznej, po lewej stronie od wschodu kościoła, umie-

szczony był Obraz cudowny Najświętszej Panny. Nad drzwiami wchodowymi był chór obszerny, organy większe mieszczący; ołtarz Najśw. Panny miał swój oddzielny chór, z organami mniejszemi. Potężna wieża, zégarem opatrzona, wznosiła się nad kościołem, od strony ołtarza wielkiego. Obok świątyni ciągnęły się zabudowania klasztorne, tudzież mieszkanie gościnne biskupie.) Blacha miedziana i dachówka polewana sprowadzone z Gdańska, pokrywały silne te i poważne gmachy. — Jest tu dosyć znaczny z dawniejszych czasów księgozbiór, ważne historyczne i teologiczne księgi posiadający: oszczędził go ogień, lecz pastwą molów być nieprzestaje, odwiecznym kurzem przyłożony, od wilgoci butwiejący. Archiwum klasztorne posiadało niemało dyplomatów, nadań królewskich i innych, które w znacznej części w pożarze spłonęły. Tamże jest ciekawa księga, dzieje klasztoru i cudownego Obrazu obejmująca, w ciągu czasów przez miejscowych zakonników w kształcie dziennika utrzymywana. Z tego to właśnie źródła piszący głównejsze zebrane tu wiadomości wyczerpał. Wreszcie po różnych komnatach, były liczne wizerunki znakomitszych w przeszłości panów i klasztoru dobrodziejów; z tych niektóre uszły w całości od ogólnej ognia klęski.

Wielokrotne a ciągle doznawane cuda i łaski w chorobach, przypadkach i innych życia przygo-

dach u cudownego Obrazu, były powodem Józefowi Felicyanowi Potockiemu Strażnikowi W. Kor., do wstawienia się u Biskupa chełmskiego Alexandra Antoniego Fredry, tudzież Arcybiskupa Jana Skarbka, za sprawdzeniem i na jaw wykazaniem cudów Matki Boskiej Sokalskiej. Wyznaczona na dniu 19 marca 1723 r. przez Biskupa chełmskiego Kommissya, pod przewodnictwem X. Ożgi Nominata później Biskupa kijowskiego, w celu zbadania na miejscu cudów przez Matkę Boską Sokalską zdziałanych, w przytomności zjazdu znakomitych osób, niemniej zesłanej przez Arcybiskupa lwowskiego podobnej kommissyi, czynność tę uroczyście odbyła. Potwierdzone przez Biskupa chełmskiego dzieło, Papiężowi Innocentemu XIII końcem uznania cudowności Obrazu Sokalskiego przełożone zostało. Przyznanie to, za wdaniem się Króla Augusta II i wielu panów polskich, uzyskane od Papięza, a koronacya obrazu d. 8 września 1724 r. nastąpiła. Na pamiątkę tego zdarzenia wybito wspólnie dwa medale, których obu odrysy i opis widzieć w szacownych dziełach Bentkowskiego (Nr 598) i Hr. Raczyńskiego (Nr 464, 465).

Obraz cudowny Sokalski był przez wszystkie czasy przedmiotem szczególnego nabożeństwa nie tylko prostego ludu, lecz i najznakomitszych w kraju osób, ciągle nawiedzany i wielbiony. R. 1651 Król Jan Kazimierz w czasie wojny z kozakami, stanął był

18\*

obozem pod Sokalem, i podtenczas Obrazowi cudownemu hołd złożył. Odwiedzin tych pamiątkę widzieć można dziś jeszcze na ścianach zakrystyi kościelnej w malowidłach ściennych, lubo pod względem sztuki mniej zaletnych. R. 1655 Bohdan Chmielnicki Hetman kozacki, pustoszenia po Polsce szerzący, podstąpił był pod klasztor Sokalski. Widząc że nie tak łatwe obronnego miejsca zdobycie, zapragnął by do klasztoru z kilką tylko ludźmi mógł być wpuszczony, co téż uzyskał. Niesie podanie, jakoby przy odślonięciu Obrazu, taka nań jasność padła, iż oślepl, i przez godzin kilka zaniewidział. Uznając w tém karę Bożą nad sobą, poczał za grzechy żałować, bijąc się w piersi i pokłony czyniąc. Gdy tak modłącemu się wzrok powrócił, tknięty bojaźnią i szczególném ku N. Panie Sokalskiej nabożeństwem, złożył jój w darze duży kufel srebrny, talarami napełniony. Dzban ten do ostatnich czasów przechowywany był w skarbcu klasztornym, dosyć prostej roboty, mieścił na przodzie wyryty wizerunek Chmielnickiego, z okólnym napisem dar jego objaśniającym. Tę pamiątkę oglądał jeszcze niedawnemi laty piszący; lecz zatraconą została dozorujących niedbałością. W dalszych czasach Król August II, zwiedził takż kościół i klasztor Sokalski. — Między ciekawościami miejscowemi, okazywano téż dar Cesarzowój Maryi Teresy, ornat własnoręcznie sporządzony, jako ofiarę Pa-



tronce niegdyś całego kraju, którego część przeszła była świeżo w posiadłość tej Monarchini.

W czasie najazdu Szwedzkiego za panowania Króla Augusta II, klasztor tutejszy uległ r. 1704 przygodzie, którą współczesny pisarz w następujący opowiada sposób: „General Steinbock exekwował tamte kraje (ruskie) w kilka tysięcy ludzi, zatem przyszedł do Sokala, gdzie do bernardyńskiego klasztoru bardzo wiele szlachty schroniło się było z sprzętami ich, i znaczne depozyta różnych panów tam były; więc General Steinbock przybiegł tam do Sokala nagle, udając że przed podjazdami Króla Augusta uchodzi; zatem prosił OO. Bernardynów Sokalskich, aby mu wozy jego przyjeśli do klasztoru, których dla ciężkości uwięzić nie mógł niby. Na co niespodziewając się zdrady pozwolili, i tak wprowadził wozy do klasztoru, wsadziwszy w każdy 10 muszkieterów, a skórami poprzykrywał z wierzchu, a tym sposobem wysadziwszy ludzi bramę odebrał, i na wiele milionów w depozytach zabrał panom różnym i okolicznej szlachcie.” (Erazm Otwinowski, Pamiętniki..... str. 78).

Kościół Sokalski był przedtém składem znacznych bogactw, w drogich kamieniach, złocie i srebro, któreto skarby z hojności pobożnych z dawnych lat wzrastały. Świetniał niemi zwłaszcza sam Matki Boskiej ołtarz, suto drogim kruszczem i klejnotami obłożony, między którymi odznaczały

się gdańskiej roboty szczerosrebrne świętych posągi. Opisy tych bogactw przechowała miejscowa kronika. Pomijając inne, dość będzie wypisać tu choć jedną wzmiankę: „A. D. 17 32 Sub Guardianatu P. Ignatii Orłowski, JW. JMP. Michał Potocki Wojewoda wołyński syndyk generalny prowincyi, motus pietate et affectu erga hunc S. locum, y mając tesz do mnie niegodnego affekt dobry, będąc u niego w skarbcu Pańskim, gdym widział szablę bogatą dyamentami suto sadzoną, wyrzekłem iżby z tej szabli była piękna korona N. P. Sokalskiej. Bez odmowienia zaraz przyobiecał, iakosz zaraz koronę robić kazał, y gdy niedostawało kamieni, kupował różne y co tylko miał w skarbcu swoim klejnotów, wszystkie na koronę wydał. Laudanda hujus Benefactoris pietas, posteris ostentanda. Ta korona kosztuie z złotem, rzemieślnikiem y z kamieniami plus sto tysięcy. Gdyż za ieden kamień dyament, dał y zapłacił JW. P. D. 900 czerw. złotych. Ten kamień iest wpośrodku korony. Oddano tę koronę do skarbcu N. Panny.” — W początku bieżącego wieku, w chwilach wojen i wysień ówczesnych, klasztor tutejszy srodze z kosztowności swych, przez krajową władzę ogołcony został.

Miasteczko samo Sokal, zbudowane niegdyś na lewym brzegu rzeki Bugu, wielokrotnie napadami Tatarów i Kozaków pustoszone, gdy najazdem je-

dnym spalone zostało, na prawy brzeg rzeki przeniesiono. W końcu XVI wieku starostwo Hieronima Jazłowieckiego; w wieku XVII Potockich. Znajdują się tu dwa murowane, kształtnej budowy kościółki: jeden przedtém farny, w zeszłym wieku spalony, i dotąd nieodnowiony; drugi dawniej Pannien Brygidek z klasztorem, na kościół farny zamieniony. Za miastem w stronie północnej wznosi się obszerny okop, którego usypanie Chmielnickiemu przypisują. Święcki mylnie mieści Sokal w województwie wołyńskiem, gdyż do bełzkiego zawsze należał.

Pisałem w lipcu 1843 r.

*Ed. Br. Pastawiecki.*



## WSPOMNIENIE.

POWIASTKA Z PODANIA.



**D**łóż i dwór naszej Podstoliny (rzekł Edward do siedzącego na bryczce Zbigniewa) zdala bije łuna z kominkowego ognia. — Dalej Wojciechu! popędzaj co żywo, żebyśmy niechybili kolacyjki wiejskiej.

Wojciech, wążacz potężny, świsnął, trząśł z biczem, i zajechał przed ganek, Edward wyskoczył pierwszy, za nim Zbigniew, i weszli razem do gościnnéj izby.

Był to pokój obszerny: piec staroświecki z zielonych kafli rozpierał się w rogu przy kominie i barwą swoją przypominał wiosnę, bo ściany zimową białością świeciły. Stół duży dębowy stał na środku, już nakryty do wieczery: siwy kreden-



cerz z serwetą na ramieniu trzymał w ręku półmisek gorących, woniących zrazów.

— W sam czas, szepnął Zbigniew.

— Dzięki Bogu odrzekł Edward uradowany, nie lubię głodny trafiać po harapie.

Pan Mateusz kredencierz z uśmiechem radości powitał Edwarda.

— Daruj wielmożny paniczku, że ci nie oddaje należnej submissyi, ale tu zrazy gorące, a półmisek jeszcze gorętszy.

— Właśnie dobrze że gorące, zawołał wesoło Edward, bośmy djable głodni. Do tych zrazów przydzwigaj panie Mateuszu z butelczynę z czasów *Popiela*, co w piwnicy obok swych rówiennic pleśniejnie daremnie.

Przerwało rozmowę poufałą starego domownika z Edwardem, nadejście Podstoliny, prowadzonej pod rękę z powagą przez starego barona. Za tymi szli w drugiej parze siwy Deputat z siostrzenicą pani domu, panną dwa razy pełnoletnią — zamykał poczet cały pan Antoni z tabakierą w ręku, domownik dawny dworu Podstoliny.

Uprzejmie powitała Edwarda; na przedstawienie Zbigniewa stanęła, dygnęła poważnie i podała rękę, którą młodzieniec z poszanowaniem ucałował.

— My jesteśmy z kuzynowani z sobą, wyrzekła do zdumionego Zbigniewa, a w jakim stopniu to później waszmości opowiem: teraz do kolacyi proszę.

Kiedy zasiedli w koło stołu zastawionego, baron przeciągnąwszy dumnym okiem po młodzieńcach, rzekł przerywanym głosem:

— Wasana mości Zbigniew, musi rodzić matka herbu róża, bo przypominam, że takiego używała herbu. I godnie, godnie, bo była to dziewczica jak prawdziwa róża, krew z mlékciem, a co za dowcip — jaka swawolnica! Pamiętam jak zawsze przypinała mi klocki na popielec, śmiejąc się z mego kawalerstwa, i fraka w którym się przestroił w miejsce żupana.

— Z przeproszeniem waszci mości baronie, rzekł deputat pokręcając siwego wąsa, a uczciwszy szanowne uszy pani Podstojiniej, głupstwo zrobił mości baronie: z poważnego człowieka zrobiłeś się filistynek.

— Prawdę możebym był przyznał, odpowiedział z uśmiechem baron, ale wtedy byłem młody, panny szydziły z żupanów i pasów, a wreszcie, widziałeś mości deputacie kiedy barona jakiego w kontuszu?

Zastanowił się chwilę deputat, mrugnął oczyma z pod brwi siwych i odrzekł:

— Dobry argument zaprawdę, ale bo też baronostwo to figiel niemiecki: dawniej mieliśmy książąt i grabiów, tym do twarzy był strój poważny, prawda, że do barona on nieprzystał, bo w baronostwie musi być zawsze obcisło i kuso.

— A cóż niewygadujesz panie bracie, przemówiła Podstolina, chcesz ugryść zawsze przymówką poczciwego barona, a wiesz jak to dobry człowiek, to gołąb', bo żółci niema.

Baron pocałował w rękę panią domu, a obracając się do deputata.

— Chociażes prawnik, przegrales sprawę miły sąsiedzie. Pod tarczą takiego obrońcy, śmiało waszeci zajrzę w oczy i rzucę nawet rękawicę do turnieju.

Uśmiechnął się deputat, schwycił za pas po lewicy jakby czego szukał, ale zaraz ochłonął z chwilowego zapału i skłaniając głowę.

— Submituję pani Podstolinie i tobie mój panie sąsiedzie.

— Zawsześ gorączka, wyrzekła Podstolina, uważając na poruszenia deputata; ale to familijna wada, i mój nieboszyk, iskra nie człowiek.

— Mój ś. p. pan brat stryjeczny zacny Podstoli— panie świeć nad jego duszą.... (westchnął — gdy Mateusz nalał mu kieliszek wytrawnego węgryna). Gdyby nie brak jego osoby, to w tym dworze nie znalazłbym żadnej zmiany. Taż sama gościnność co dawniej, rząd dobry, gospodarka i uprzejmość starodawna.

Podstolina skłoniła głowę na podziękowanie.

— A przecież nieraz waszec mówiles, że u niewiast długie włosy a rozum krótki.

— Protestuje w tym dworze, tu włosy i rozum długie.

— Figlarz z waszecia mój deputacie: tak samo prawisz mi komplimenta, jak niegdyś pannie Dorocie....

— A pani bratowo szanowna! były to czasy szczęśliwe, może lepsze dla nas obojga.

— Prawda, odrzekła Podstolina ze smutkiem opuszczając głowę, żył mój nieboszczyk.... i dzia-  
twa moja osiadała mi wieńcem. Wszystko mnie opuściło — sama w tym starym dworze, co jest pomnikiem naszych lat młodości! i gdyby nie łaska moich sąsiadów, co umilają tyle chwil gorzkich żywota, byłabym jak sucha brzoza, przy strumieniu łez moich.

Otarła oczy prędko, pan Antoni milczący dotąd świadek zażył tabaki, duże oczy wlepił w oblicze Podstoliny i wyrzekł na pół z płaczem.

— A pani Podstolino — a czy nas niemasz, a nie-  
ufasz że w miłosierdzie i opatrność boską!

Westchnęła Podstolina, wstała od stołu, i z uprzejmością podała rękę Zbigniewowi. Weszli do sali oświeconej jasnym płomieniem z komina i kilką świecami woskowymi domowego wyrobu.

Mateusz chcąc przypomnieć jak nic w tym domu nie zmieniono ze śmiercią Podstolego, wniósł na tacy opleśniałą butelkę. Pan Antoni na jój widok uśmiechnął się i zażył tabaki. Deputat po-



gładził czupryny, Baron odchrząknął przyjmując kieliszek podany przez Mateusza.

— Ach! to siostra rodzona tych butelek, rzekł Deputat, cośmy zapijali na fecie panny Doroty, kiedy ś. p. pan brat Podstoli wyprawiał ją honeste.

— Wieleż to lat będzie temu? zapytał Baron, podając do nalania próżny kieliszek Mateuszowi.

— Circa mości Baronie trzydziestu.

— A było to płaczu wiele, a śmiechu niemało: wymówił pan Antoni zażywając tabaki.

— To musi być ciekawa historia! zawołał wesoło Edward.

— Dla nas z młodszego pokolenia, dodał nieśmiało Zbigniew, takie zdarzenia, opowiedziane jeszcze usty tego, co miał w nim udział, są skarbem przeszłości, bo każde podanie upłynionych czasów, dodaje zarysów i szczegółów ciekawych, do wielkiego obrazu domowych dziejów naszych.

— Ciesz mię to mocno, zacny młody przyjacielu, że radzi jesteście posłuchać: z ochotą wam opowiem za pozwoleniem szanownej pani bratowój! I Deputat z zalotnością pocałował w rękę Podstolinę. Zaczę więc *ab ovo* jak to powiedają, a przezacni tu aktorzy obecni tego *intermedium* raczą wesprzeć pamięć moją jeżeli w czym uchybię.

Przysunął krzesło duże z poręczami bliżej komina, rozsiadł się w nim wygodnie, pogładził czu-

pryny, splunął, pokręcił węża, i włożywszy lewą rękę za pas srebrem przerabiany, zaczął.

— A więc tedy będzie temu *circa* lat trzydzieście, jakoś już pod jesień, bom zasiał pszenicę i żyto: własnem woły na zimowisko stawiał na oborze do wypasu, i dysponowałem jak stać mają, gdy od ś. p. pana brata Podstolego odebrałem list, abym przyjechał na parę dni, że się spodziewa dużo gości i pragnie abym miejsce czesnika, piwniczego i krajczego objął. Ho! ho! był to nie lada obowiązek w tym dworze — a miły Boże! gości bez liku. Mieszkała tam panna Dorota krewniczka brata Podstolego... Była to dziewczka gładka jak Dyanna, oczy czarne jak ciareczki, usta małe koralowe, zęby jak sznurek koralu, brwi jak skrzydła jaskółcze, nożka sarnia, tok ciała by ulany.....

— O mości Deputacie, taki opis z takim ogniem wart kielicha, zawołał wesoło Baron. Mateuszu daj ta spleśniałkiej.

— Niedziwota, rzekła Podstolina, pan brat palił do niej cholewki, smażył koperczaki.

Deputat opuścił smutnie głowę na piersi, nieprzyjął kieliszka wina, otarł łzę prędko, a westchnąwszy boleśnie, zadumał osowiały.

— Panie bracie mówcie dalej, przemówiła Podstolina, słuchamy i goście nasi słuchają. Deputat spojrział na Zbigniewa i Edwarda:

— Wy się dziwicie młodzi przyjaciele, że wspomnienie to wzrusza serce i łzę pędzi do oczu: wybaczcie: była to jedyna białogłowa, z którą mogłem być szczęśliwy, co mogła ciężki człowieczy żywot na tym świecie, w raj niebieski zamienić. *Ale Homo proponit Deus disponit* — święta jego wola! Nie byłbym przecież sam jak kołek doma; niemasz ręki przyjaznej coby w chorobie przytuliła, w smutku pokazała gwiazdę pociechy. Mawiał mi rodzic że: *śmierć i żona od Boga przeznaczona*: mnie śmierć nie minie, a małżonki nié mam i mieć nie będę. — Ale przystąpmy ad rem.

— A tym czasem, szepnął pan Antoni podając kieliszek, odwilż usta szanowny panie Deputacie.

Posłuchał dobrej rady, i już weselszy dalej prawił.

— Przybywam do dworu tego, gości już wiele, więcéj się jeszcze spodziewano. Zająłem się mojemi urzędami, i napociłem czoła nie mało. Po sutym obiedzie, kiedy strudzony spocząłem na kanapie, Podstoli przyszedł do mnie i rzekł: — „Panie bracie, waszec nic niewidzisz co się kluje: ten wysoki chłop co go zwą Hirabiczem, djable smali cholewki do naszej Dorotki, dasz waszec baczne oko, bo umie jedwabnemi słówkami przywabiać, a dziewczę młode i zalotne nieco uwierzy łatwie przysięgom: szkoda by było takiego kwiatka.“

Mróz zimny ścisnął mi serce; panna Dorota owo miluchne i skromne dziewczątko w niebezpieczeństwie, moje prawe oczko, miły Boże! Ściąłem zęby, pacholłkowi kazałem wyszlifować auguśtówkę, a przeżegnawszy się krzyżem świętym poszedłem na wywiady. Jakoś przeczuciem skręciłem do ogrodu, w ogrodzie była altana: podchodzę słyszę szepty: skradam się cicho — widzę jak u nóg Dorotki kłęczą Hrabicz, w gorących afektach. O mospanie, krew mi buchła do głowy, stanąłem na progu, i spojrzałem na tę parę w milczeniu.

— Mój Boże pan Dominik! krzyknęła Dorotka.

— Co wacan chcesz tu, zapytał dumnie Hrabicz.

Dorotka uciekła — ja stałem na progu.

— Co wacpan tu chciałeś, czy podglądać? czy przeszkadzać. Wiesz ty z szarego końca żupanisto, że i rąbać umiem, i strzelam niechybnie.

O to było za wiele! chociaż chłop wysoki, porwałem go za kark, zwinąłem nogą pod siebie.

— Nędzniku, krzyknąłem trzęsąc się w gniewie, czyś poto przestąpił gościnne progi mego brata, aby uwodzić jego wychowanek? A wiesz pogański synu że gdybym nieszanował świętego gościnności prawa, skonałbyś w powijkach moich.



Chciał się unieść, chciał się z mych kleszczy wy dostać, ale daremnie: zachował mimo to zu chwałstwo swoje.

— Żeś silniejszy widzę, ale żebyś czuł honor szlachecki nie wiem, powiniebyś broni uczciwszej wezwać na pomoc. Puściłem go — niechciałem być dłużej *dławidulą*, jak później mię nazwał pan brat Podstoli.

— Kiedy się do honoru odzywasz, znaj że i ja go znam, wybieraj broń czas i miejsce — rozpra wiam się lepiej.

— Więc jutro rano pałasz rostrzygnie.

Wybiegł prędko z altany, ja zasępiony przeszedłszy się kilka razy po ogrodzie chciałem wnijsć do sali, kiedy w cieniu przy ogrodowym ganeczku, usłyszałem szept cichy — *O samėj północy — trzy ciche świśnięcia — wszystko gotowo — nieodma wiaj mi mój aniele — przysięgam!* Reszty nie dosłyszałem ale był to głos Hrabicza, mignęła mi biała szata, poznałem Dorotę. — Ha! więc zmowa gotowa! Wbiegam na salę — Hrabicz jak by nic nie zaszło stał w kącie, Dorota opodal siedziała przy Podstolinie, ale zmieszana rzucając ciągle oczyma na niego. Gdy mnie zobaczyła stanęła w płomieniach, dała mi znak, stanąłem przy niej.

— Chwilkę rozmowy, zaklinam — w różowym pokoju.

Skłoniłem głowę i pobiegłem do pokoju, którego sufit w wieńce róż był malowany.

Zbijacém sercem czekałem chwilę, niedługo wbiegła, a jaka była wesoła, rzuciła na mnie wiązanką kwiatów, którą w rękę trzymała, ale widząc że żart taki nierozchmurzył zasepionego czoła, zbliżyła się do mnie, i rzewnym przemówiła głosem.

— Panie Dominiku, czy pan się gniewasz na mnie? I z dobrocią anielską podała mi rękę. Ucisnąłem i ucałowałem ją serdecznie. Ja wiem, mówiła dalej spuszcżając oczy w ziemię, że mnie kochasz.

Zimno i gorąco zrobiło mi się do razu, ja jój nieśmiałem tego powiedzieć, a ona mi to w oczy prawiała. Zacerwieniłem się powyżej uszu, zapomniałem języka, ulgnał mi jak w kłakach. Ale musiałem wiele mówić oczyma, temi wiernymi posłami od serca, bo jój się łzy zakręciły.

— Ja cię kocham panie Dominiku jak brata, nie mam tajemnicy przed tobą, wiesz już wszystko.

Przyszedłem k' sobie; zdarzenie przed chwilą stanęło mi widnie przed oczyma.

— Tak! wiem wszystko na moje nieszczęście, ale on chce cię wykraść, uciec od mojej szabli chociaż sam wyzwiał, jest to nędznik i podły...

— Choćby był takim, odpowiedziała mi dumnie Dorota, to przez wzgląd na mój wybór, powinie-

neś go więcej szanować. Niechcesz być moim bratem, bądź więc moim wrogiem....

I nieczekając mojej odpowiedzi, niespójrawszy na mnie odeszła.

Zdurzałem — co tu robić — jak zapobiedz niebezpieczeństwu, głowa mi pałała, wybiegłem do ogrodu. Jak długo chodziłem nie wiem, ale kiedy ochłodziłem nieco i spojrzał na dwór, już w oknach ciemność świadczyła że wszyscy we śnie spoczywają. Ha! pomyślałem, zapewne już wszystko skończone, mojej Doroty niezobaczę więcej! Podchodzę bliżej, słyszę jęk cichy, potem bieganie ostrożne jakby kilku osób. Zaledwie stanąłem na progu ganku, gdy w ciemności ledwie dojrzałem, że jakaś postać osłonięta wychodzi cicho drzwi otwierając, chwyta mnie za rękę, i ztlumionym głosem mówi:

— Adolffie przebacz, niemogłam prędnąć, Podstolina.....

Poznaję głos Doroty, przytrzymuję jej rękę, silnie ściskam. — To twój brat, nie kochanek odrzekłem również z cicha. Zkośniała z przestrawu; uczułem chłód jej ręki, jękała i o mało nieupadła. Schwyciłem w ramiona i korzystając z tak miłej sposobności serdecznego ukradłem całusa. O jeszcze go pamiętam! jest to najmiłsze wspomnienie lat ubiegłych. Gdy tak cudeń słiczną Dorotę, nagle powstaje wielki hałas we dworze. rozwidnia się ciemność w oknach, budzą się wszy-

scy, zajaśniało jakby willuminacyi. A moja Dorota jeszcze się nieotrzeźwiła. Co tu robić, trudna sprawa; jak mnie zdybią razem co powiedzą, łapes więc na ręce moją dyanę i w nogi do altany, w drodze przecież przyszła do przytomności.

— Puść mnie, puść mnie! wyjęła słabym głosem.

Usłyszała wrzawę i krzyki we dworze: co to jest? zapyta strwożona.

— Szukają cię pewnie, myślą żeś uciekła z Hra-biczem.

— A więc chodźmy — niech się uspokoją: i podała mi rękę.

Prowadzę więc Dorotę, ale sam miałem minę winowajcy, bom się bał strasznie Podstolego: była to djabła gorączka. Wchodzim na ganek i prawiem nastąpił mu na nogi: ztruchlałem co mi powie.

— A to wy moje dzieci — a co złapałeś, widzialesz? No niewiesz? Dalej na koń....

— Dawaj konia, krzyknąłem, dalej chłopcy choćby w piekło. I do dwudziestu nas zbrojnych rozlecielim na cztery strony świata. Leciał za mną stary Matus kucharz w szlafmicy białej, z nożem za pasem przy fartuchu, dosiadłszy gniadosza od bronny, gnał co siły. Kiedy już odsadziłem z pół mili krakowskiej, pytam go:



— Matusu! a gdzie pojedziem dali? bośmy właśnie na rozstajnych stanęli drogach pod *figurą*.

— A ja nie wiem Wielmożny panie!

— A kogo i co mamy łapać?

— I tego niewiem Wielmożny panie.

— Jesteś osioł! zawołałem rozgniewany i śmiejąc się później: a czegożeś tak sadził w tę stronę na gniadoszu, żem ledwie cię dogonił.

— Albo ja wiem Wielmożny panie, widziałem tylko że inni w tamte rozlecieli strony, a że ja nie owca, pognałem w tę stronę w którą żaden nie skoczył.

— Masz rozum Matusu: ale co mamy łapać.

I stanęliśmy pod krzyżem. Matus zdjął szlafmycę, ja czapkę, przeżegnalim się razem.

— Czy nic niewiesz, przecie mówiono że kogoś porwano.

Matus uderzył się w łysinę: — A prawda Wielmożny panie, to pannę Dorotę porwali zbójcy! Ale szkoda że niemamy psa, co wedle powiastki, ślad ludzki wytropi.

— Panna Dorota doma. Wracajmy powoli.

Zwróciłim człapiem kłusika, gdy ekonom wąsacz by sum dogania nas i woła: „Złapaliśmy! już prowadzą!

Spójrzałem, prawda! — z dziesięciu konnych prowadzi pojazd w dzielną piątkę zaprzężonych: dojeżdżamy, patrzę aż tam siedzi Hrabicz błady jak

trup, obryzany błotem i otulona kołdrą..... moja pani bratowa, kochana nasza Podstolina.

I powstał Deputat, zbliżył się i w rękę z uszanowaniem pocałował.

Podstolina uśmiechnęła się rada.

— Teraz, wyrzekła, ja Waszeciom skończę co zaczął pan Deputat. Kiedy wieczór już późny, było popółnocku, ja z moim Janem, ustąpiwszy małżeńskie komnaty dla podkomorstwa, przenieśliśmy się do alkowy Doroty. Niewiedział o tém ani Hrabicz ani Dorotka. Mój pan małżonek, świeć panie nad jego duszą, wymknął się jeszcze fetować swoich gości. Ja zmówiwszy pacierz zgasiałam świece i ległam na łożu. Nagle chłód mię owiał, czuje z przestachem że ktoś mię z głową w kołdrę obwija, porywa na ręce i nie drzwiami wynosi. Jak Waszeć widzisz, mówiła obróciwszy się do Zbi-gniewa, byłam zawsze szczupłą i jednej figury z Dorotką, wreszcie pod kołdrą grubą trudno rozetnać. Tak niesiona przez ogród, przełożona ostrożnie przez płoty i parkan, uczułam że jestem w po-jeździe i głos słyszę *gnaj co siły!* — Tak lecielim! przecież wydobyłam nieco głowy. — „*Co to jest na miłość boską.*” Hrabicz poznał do razu omyłkę, stój! stój! krzyknął na woźnicę, a gdy ten zaledwie mógł nieco powstrzymać rozhukane konie, oskoczyli nas jezdzy, wyciągnęli Hrabicza z pojazdu, związali służbę jego. Tak napowrót wrócili:

drżałam z obawy, co zrobi mój Podstoli z uwodzicielem: on sam był blady jak chusta.

— Ratuj mnie pani! ja bez Doroty umrę!

Żał mi go było — w cichości modliłam się gorąco. Zajeżdżamy przed ganek, mój Jan sam mnie wyniosł i zaniósł do łoża, na Hrabicza ostro spojrział. Ekonom wziął go z sobą i zamknął w lamusie, drżałam z zimna i ze strachu: płakałam, ale Podstoli rozechmurzył czoło, uściskał mnie i rzekł wesoło:

— Dosyć płaczu, bo i Dorota tam szlocha! Teraz trzeba trochę i śmiechu. Zawołać mi tu pana Dominika! No skończę panie Deputacie, bo wiesz to niżli ja lepiej.

Deputat pogładził czupryny; — przyszedłem więc przed pana brata: wziął mię na stronę i długo prawił na ucho. Opuściłem smutnie głowę, bo mi to nakazywał robić o czym ani mi się śniło. Podstarości polecił po Proboszcza: pchnąłem brykę do Krakowa po bakalje i słodycze: nad ranem wszyscy spoczęli snem utrudzenia, jam jeden czuwał: bo jakżesz mogłem zasnąć, słysząc na górze gdzie mieszkały panny płacz i szlochy Doroty. Słońce z po za lasu poczęło wschodzić, wracam do oficyny i słyszę przy lamusie łkanie: podsuwam się i widzę Dorotę, jak pod kratowanym oknem stojąc płacze, i podaje jadło więźniowi.

— Nie masz już dla mnie nadziei, ona go tylko kocha! Ale teraz dobra pora: zemszczę się lub zginę. Biegnę do ekonoma co miał klucz od spi-chrza, i z nim i z dwoma parobkami wracamy. Już nie było Doroty — tym lepiej pomyślę sobie. Otworzyłem drzwi.

— Wychodź Hrabiczu, przed parą godzinami wyzywałeś, otóż umówiona godzina. Potém wrócisz tu Waszecz czekając właściwego sądu.

— Dobrze, odrzekł więzien słabym głosem, ale nie mam broni.

— Wszystko gotowe; dobyłem z pod oponczy dwie augustówki: ale dasz mi verbum nobile, że szabli co ci użyczę nieużyjesz do zastłnienia swojej ucieczki.

— Podał mi rękę, wyśliśmy razem: na okólniku przed stodołą była ładna murawa, tuśmy do rozprawy stanęli. Odżył nieco Hrabicz, otarł widać gorące czoło rosą z murawy, dobył szablę z pochwy i stanął. Dostałem i ja z węzownicy swojej szerpenty, zrobiłem krzyż święty na ziemi.

— No zaczynajmy mości panie, zawołałem: owoż już i słońko przyświeca nam dobrze.

Raz, dwa, trzy — dostałem po czole kręse djabla, robił cięcia ale i jemu wypadła szabla z ręku: jam się schwytał za głowę, on za rękę.

— Teraz sza i zgoda, podałem mu rękę, wyciągnął do mnie lewicę, bo prawa krwią cała



zalana. Ekonom był cyrulikiem: Hrabicz wrócił do lamusa, ja ze łbem obwiązanym już nie tak na niego zawzięty poszedłem do swej izby.

Nie wyszedłem na obiad, bo rana kaducznie mi krwawiła, za ledwie octem i pajęczyną przecież nieco utamowano. A tu już i wieczór trzeba było wykonać Podstolego rozkazy. Niewiem z kąd dowiedział się o wszystkim, snąc zausznił ekonom wypaplał wszystko: przyszedł do mnie, spojrzął na łeb obwiązany.

— Co to Waści? rzekł jakby z niechcenia, czy głowa boli?

Po minie poznałem że wie, skłoniłem się pokornie i wyznałem wszystko.

— Głupstwo! głupstwo Waszeć robi! i to dla tej szalonej dziewczyny? A czy Waść wykonał moje polecenia?

— Już wszystko gotowo.

— No dobrze! przystroj się panie bracie lepiej, tak zrób jakiem mówił.

Ledwem wyszedł, nadbiega Dorota z płaczem.

— Panie Dominiku, on zamknięty i tyś go ranił: to trzeba być tygrysem nie człowiekiem. Jak pocznie lkać i szlochać, zgłupiałem, upadłem na kolana — całowałem ręce, pokazałem wreszcie ranę.

— I on ranny, mówiła z płaczem a któż go zranił, ten com go jak brata rodzonego kochała: o mój Boże!

Niemogłem wytrzymać takiego wyrzutu.

— Panno Doroto! ty go kochasz, a cóż się ze mną stanie — ze mną co cię Kocham jak anioła, ja umrę z żalu po tobie.

Spojrzała litośnie na mnie, podała rękę i wybiegła jak sarna.

W sali zajaśniało światło — na chórze brzmi muzyka: Hrabicz siedzi tymczasem w lamusie. Dorota jeszcze płacze na górze. Nagle ucicha kapela. Makaty uchylają co drzwi zasłaniały domowej kaplicy, a przy ołtarzu oświeconym stoi przybrany kapłan: pani Podstolina prowadzi Dorotę przybraną jak do ślubu, Podstoli wiódł Hrabicza — wszyscy patrzą zdumieni. I weszli do kaplicy, połączył ich rękę kapłan, związał stułą, byli małżonkami.

Zaćmiło mi się w oczach, o mal nie padłem: zrozumiał brat Podstoli co się ze mną święci, pochwycił silnie za ramie i wprowadził do sypialnej komnaty. Tu uściskał mię serdecznie, otarł łzy i rzekł:

— Panie bracie! wiem co cierpisz! ale widać że tak Bóg chciał; pomnij żeś mężczyzna, zbudź odwagę w rozmiękczałém sercu: ja niemogłem inaczej! I cóż było robić, mówił chodząc po pokoju

szérokim krokiem, ona go kocha — a wiesz gdzie białogłową gorący afekt unieść może: trzeba pamiętać i na honor familijny. Teraz jeśli źle trafiła niech sama na siebie narzeka, jeśli dobrze podziękuje Bogu: ale nie było sposobu z tą dziewczyną. Idź że mi panie bracie, słyszę kapelę, przetańcz z nią choćby raz tylko a jeśli cię serce bardzo zaboli, to popłacz ale w kącie żeby nikt nie widział.

I znów mię uściskał. Odetchnąłem swobodnie, pobiegłem na salę, odbiłem Dorotę, i oddałem panu młodemu: sam zaś nieczekając ochoczej uczyt uciekłem do swej izdebki...

— A płakał rzewnie jak bóbr, dodała Podstolina, bo go moja panna wyprawna wypatrzyła.

— Czy była szczęśliwa? zapytał Zbigniew.

Deputat machnął ręką, odwrócił głowę i chwilę milczał, potem rzekł:

— Szczęśliwa! otóż że nie! opuścił ją nędznik w rok potem! ona go kochała, wyplakała oczy, i w drugim roku w same święta Bożego Narodzenia umarła! Tak jój zapłacił serdeczną miłość! Biedna Dorota! Zakrył twarz rękoma.

Podstolina westchnęła smutnie. — Corocznie odwiedzamy jój mogiłę, pan brat modli się, i zawsze rzuca wieniec kwiatów, które na ten cel chowa jedyne. W przeszłym roku nie byłam na grobie Doroty, śnieg padł ogromny i mróz był wiel-

ki. Z panem Antonim pošli razem, za ledwie dostali się do mogiły: pracowali długo nim odgarnęli śnieg twardy — przecież na krzyżu zawiesił wianek zmarzłych kwiatów.

— A pan Deputat, odezwał się pan Antoni, płakał jak dziecię klęcząc na grobie.

— Biedna Doroto: jęknął z cicha Deputat! byłaś stworzona do miłości — nie znalazłaś serca! Twoje godziny życia liczyłaś na lzy — dnie na boleści!

Biedna Doroto!

*H. Wł. Wojcicki.*







Drawn by G. Callot.

Engraved by C. Heath.

<http://rcin.org.pl>



## ZAMEK GRIGHTOUN,

W SZKOCYI.

Wyjątek z poematu Waltera-Skotta

pod tytułem:

**M A R M I O N .**

(Z ryciną).



Marmion, powieść z czasów bitwy pod Flodden-Field, gdzie w roku 1513 wojsko szkockie do szczytu prawie zniesioném przez Anglików zostało, a Jakób IV Król Szkocki zginął, należy do celujących poematów sławnego romanso-pisarza. Prześlicznym a wiernym jest obrazem owój epoki, kończącej już wieki średnie.

Lord Marmion wysłany przez Henryka VIII Króla angielskiego do Jakóba IV Króla Szkocyi

zżądaniem od ostatniego objaśnień w jakim celu zgromadza wojsko i czyni przygotowania wojenne, spotkał w drodze sir Dawida Lindesay, naczelnika heroldów, który z polecenia Jakóba zaprosił lorda Marmion do zamku Crichtoun, o mil siedm od Edyburga, gdzie miał czekać na wyznaczenie dnia, w którym przypuszczony będzie przed oblicze Króla.

Zamek Crichtoun zbudowany jest na wzgórzu wśród powabnej doliny, u stóp którego spływają wody rzeki Tyne i tworzą czarne i głębokie jezioro, ocienione wierzbami i olchą; potem wymykają się wązkim korytem żeby znowu skropić równinę. Wieże owego zamku rozmaitych sięgają wieków; różnorodna ich architektura świadczy, że różne ręce je wzniosły: ogromny jest to gmach, który się opierał zbrojnym bandom Duglasa, jakie gniew i zemsta nasyłały.

„Crichtoun! lubo na błotnistém twém podwuzru tylko ślad leniwego wołu lub beczącego stada dostrzegać się dziś daje, ale gotyckie twoje wieże, chociaż wyszczerbione, niemniej zachwycały pieśni minstrela. Często wśród twoich murów tłumaczyłem sobie tajemnicze znaczenie' godeł malowanych na twych herbach, chwalebnych tarcz herbownych, szczątków staroświeckiego i grubego przepychu. Jeszcze niezniszczył czas pięknej twojej rycerskiej galeryi, ani ślicznej rzeźby kamiennych twoich wschodów, ani

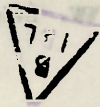


powabnego portyku od dziedzińca.... Spuścić się jeszcze można ze drzeniem w czarne podziemia, gdzie jęczeli niegdyś więźnie, światła dziennego pozbawieni; lub z blanków twoich murów zielonością pokrytych, ścigać wzrokiem ruchomą wstęgę, jaką tworzą spokojne nurty rzeki Tyne!“

Rycina przedstawia lorda Marmion opowiadającego sir Dawidowi Lindsay dziwną przygodę, jaka przed kilką dniami go spotkała, to jest fatalny pojedynek z istotą jak mniemał nadprzyrodzoną. straszném widmem. Dopiero później przekonał się że nie z widmem walczył, ale z najzaciętszym wrogiem, którego sam był dawniej okrutnie pokrzywdził.

K O N I E C .

	Stron.
<b>Odyniec Ant. Edw.</b> Pożegnanie Konrada z Me- dora. Wyjątek z powieści lorda Byrona: Korsarz. Z ryciną . . . .	93
<b>Paszkowski Józef.</b> Wyciąg z drugiej czę- ści Fausta . . . . .	53
<b>Paprocki Ludwik.</b> Francuzi i Francuszczy- zna na dworze Jana Kazimierza Króla Polskiego. Powieść histo- ryczna . . . . , . . . . .	99
<b>R... z G... Łu...</b> Ustęp z dzieła nazwanego: Gó- ry i doliny . . . . .	70
<b>Rastowiecki Edw. Br.</b> Cudowny obraz Naj- świętszej Maryi Panny w Sokalu. . .	204
<b>W... E...</b> Napis w Ojcowie . . . . .	33
<b>Wójcicki Kazimierz Wład.</b> Wspomnie- nie. Powiastka zpodania . . . .	214







P.J. 659





N.P.T.659

1844

